

Jean Baudrillard

O UWODZENIU

Przełożył

Janusz Margański

Sic!

092.6
elohyem

Tytuł oryginału i podstawa przekładu
Jean Baudrillard, *De la séduction*. Éditions Galilée, Paris 1979

Copyright © Éditions Galilée, Paris 1979
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Sic!,
Warszawa 2005
Copyright © for the Polish translation by Janusz Margański
& Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2005

Projekt okładki i stron tytułowych
Jacek Staszewski

Redakcja i korekta
Zespół



31006

Wydanie pierwsze
Warszawa 2005

Wydawnictwo Sic! s.c.
ul. Chełmska 27 m. 23
00-724 Warszawa
tel./faks: (22) 840 07 53
e-mail: biuro@wydawnictwo-sic.com.pl
<http://www.wydawnictwo-sic.com.pl>

Łamanie komputerowe: Borgis, 02-795 Warszawa
ul. Kazury 2c m. 6, tel./faks: (22) 648 65 62

Druk i oprawa: Drukarnia Naukowo-Techniczna SA
03-828 Warszawa, ul. Mińska 65, tel.: (22) 331 38 40

Uprzejmie informujemy, że tekstów niezamówionych nie odsyłamy
i nie przechowujemy.

Na uwodzeniu ciąży niezatarte piętno losu. Dla religii było strategią diabła, realizowaną za pomocą czarów lub miłości. Niezmiennie też dotyczyło zła. Albo świata. Jest światową sztuką. To przeżycie w niezmiennym kształcie utrzymywało się w moralistycznej filozofii, a dzisiaj pokutuje w psychoanalizie i w dążeniu do „wyzwolenia pożądania”. Na paradoks jednak zakrawa fakt, że pomimo reklamowania seksualności, zła i perwersji, i tego, że często wręcz programowo czci się dziś zmartwychwstanie wszystkiego, co wyklęte, uwodzenie pozostaje w cieniu – dokąd wycofało się chyba na dobre.

Wiek XVIII bowiem jeszcze o nim rozprawiał. Nawet w sferach arystokratycznych budziło, obok pojedynku i honoru, żywe zainteresowanie. Położyła temu kres rewolucja burżuazyjna (a wszystkie późniejsze nieodwołalnie to potwierdziły, gdyż każda rewolucja unieszkodliwia najpierw uwodzicielską moc pozoru). Epoka mieszczańska oddaje się naturze i produkcji, sprawom nader obcym uwodzeniu, a nawet śmiertelnie dlań groźnym. Toteż nic dziwnego, że uwodzenie, podobnie jak seksualność, zgodnie z tym, co mówi o niej Foucault, wyrosło z procesu produkcji (dyskursu, słowa pożądania), choć było w nim jeszcze głębiej ukryte. A przecież żyjemy w epoce promowania natury – dobrej natury dawnej duszy, dobrej natury rzeczy materialnych lub natury psychicznej pożądania – natura dochodzi swego, przebijając się przez wszystkie metamorfozy stłumień, wyzwalać wszelkie moce – psychiczne, społeczne czy materialne.

Otóż uwodzenie wcale nie należy do porządku naturalnego, lecz do porządku sztucznego – nie pochodzi ze świata sił, lecz ze świata rytuałów i znaków. Dlatego przecież wszystkie wielkie systemy produkcji i interpretacji nieprzerwanie wyłączały je z siatki pojęć – na szczęście dla uwodzenia, ponieważ nadal nawiedzało je z zewnątrz i z głębi tego zapomnienia groziło im zniszczeniem. Uwodzenie niezmiennie czyha na zbożny ład, choćby i ład produkcji czy pożądania. Wszystkie ortodoksje niezmiennie utożsamiają uwodzenie z czarami i sztuczkami, czar-

na magią, sprzeniewierzającą wszystkie prawdy, sztuką zaklania znaków, eksponowaniem ich złowróżbnego sensu. Takie zapadanie się we własne znaki, ich nieoczekiwana inwersja stanowi zagrożenie dla każdego dyskursu. Dlatego też wszystkim dyscyplinom, które aksjomatycznie traktują spójność i celowość swych dyskursów, pozostają już tylko egzorcyzmy. I właśnie tu uwodzenie przenika się z kobiecością, z którą też niezmiennie jest utożsamiane. Wszak nieoczekiwana przewrotność kobiety od zawsze prześladowała mężczyznę. Uwodzenie i kobiecość to nieuchronny rewers seksu, sensu, władzy.

Współczesny egzorcyzm jest brutalniejszy i bardziej usystematyzowany. Wchodzimy w epokę rozwiązań ostatecznych, dotyczących na przykład rewolucji seksualnej, produkcji i zarządzania wszelkimi progowymi i podprogowymi przyjemnościami, mikropocesami pożądania, których ostatnim awatarem jest kobieta, która samą siebie stwarza – jako kobietę i jako pieć. Koniec uwodzenia.

Albo triumf uwodzenia łagodnego, niewinna, rozmyta feminizacja i erotyzacja wszystkich stosunków w rozluźnionej rzeczywistości społecznej.

Albo ani jedno, ani drugie. Gdyż nic większego nad uwodzenie, nawet porządek, który je niszczy.

1. Ekliptyka seksu

Nic mniej pewnego dzisiaj niż seks, pomimo uwolnienia jego dyskursu. I nic mniej pewnego od pożądania, pomimo powszechności jego wyobrażeń.

W przypadku seksu ta powszechność bliska jest kompletnemu rozproszeniu. Otóż i tajemnica wzmożonej produkcji seksu, jego znaków, hiperrzeczywistości rozkoszy, zwłaszcza kobiecej: zasada niepewności objęła rozum zarówno seksualny, jak polityczny i ekonomiczny.

Stadium wyzwolenia seksu jest zarazem stanem jego nieokreśloności. Żadnych braków, żadnych zakazów, żadnych ograniczeń: kompletna erozja zasady odniesienia. Rozum ekonomiczny żywi się niedostatkiem, zanika po osiągnięciu swego celu, jakim jest likwidacja widma niedoboru. Także pragnienie żywi się brakiem. Gdy tylko przechodzi w żądanie, gdy rozwija się bez ograniczeń, obywa się bez rzeczywistości, bo i bez wyobraźni – jest wszędzie, choć objawia się w uogólnionej symulacji. Oto widmo pragnienia nawiedzające obumarłą rzeczywistość seksu. Seks jest wszędzie, tylko nie w seksualności (Barthes).

W mitologii seksualnej przesunięciu w stronę kobiecości towarzyszy przejście od ogólnej określoności do nieokreśloności. Kobiecość nie zastępuje męskości w sensie zastępowania płci, zgodnie z jakąś strukturalną inwersją. Zastąpienie oznacza tu kres określonego przedstawiania płci, upłynnienie prawa rządzącego różnicą płci. Wyniesienie kobiecości oznacza apogeum rozkoszy i rozbicie zasady określającej rzeczywistość płci.

A więc to kobiecość budzi namiętność w tym śmiertelnym splocie hiperrzeczywistości seksu – tak jak kiedyś, lecz akurat w odmiennej perspektywie – ironii i uwodzenia.

Freud ma rację: istnieje tylko jedna seksualność, tylko jedno libido – męskie. Seksualność tworzy mocną, dyskryminującą strukturę, której centrum wyznaczają fallus, kastracja, ojcowskie imię, wyparcie. Innej nie ma. Nie ma co marzyć o seksual-

ności niefalicznej, nieograniczonej, nienacechowanej. Ta struktura udaremnia pragnienie utworzenia przed kobiecością granicy i nie dopuszcza mieszania kategorii. Albo struktura, w której kobiecość jest całkowicie wchłaniana przez męskość, zachowuje tożsamość, albo zapada się i zostaje wyzerowana – nie ma ani męskości, ani kobiecości. I te procesy zachodzą dzisiaj jednocześnie: erotyczna wielostronność, nieskończona potencja pragnienia, rozgałęzienia, dyfrakcje, napięcia libidalne – wszelkie alternatywne warianty wyzwolielielskie, nadciągające z rubieży uwolnionej od Freuda psychoanalizy, bądź z rubieży samego požądania uwolnionego od psychoanalizy: w tle wrzenia ogarniającego paradygmat seksualny wszystko się zbiega w niezróżnicowanej strukturze i jej potencjalnej neutralizacji.

Rewolucja seksualna stanowi dla kobiecości pułapkę – kobiecość bowiem zostaje zamknięta w tej samej strukturze, która – o ile jest mocna – skazuje ją na negatywną dyskryminację, bądź – gdy jest słaba – przygotowuje jej szyderczy triumf.

Jednakże kobiecość jest gdzie indziej i zawsze gdzie indziej była – i w tym właśnie tkwi tajemnica jej siły. Skoro można powiedzieć, iż coś trwa tylko dlatego, że jego esencja jest nieadekwatna względem esencji, wobec tego należy stwierdzić, iż kobiecość uwodzi, ponieważ nigdy nie jest tam, gdzie, jak mniema, jest. Nie jest więc już bohaterką opowieści o cierpieniu i ucisku, w której ją obsadzano – historii męki kobiet (choć podstępnie się w niej ukrywa). Cierpi poniżenie tylko wtedy, gdy wpisuje się ją w tę strukturę i w jej ramach gnębi, co też rewolucja seksualna z jeszcze większym dramatyзмом czyni: ale mocą jakiegoż to dziwnego współnictwa (a jakże, męskiego) mamy wierzyć, że jest to historia kobiecości? Wyparcie jest już w nią wpisane, w opowieść o niedoli seksualnej i politycznej kobiet, pomijając wszelkie inne siły i rodzaje suwerenności.

Istnieje alternatywa wobec seksu i władzy, być może nieznamna psychoanalizie, ze względu na jej seksualną aksjomatykę, i tę alternatywę, owszem, wyznacza porządek kobiecy, zarysowujący się poza opozycją męskie/żeńskie – ta bowiem z istoty i zamierzenia jest męska i nie sposób jej przenicować, zarazem jej nie likwidując.

Siłą kobiecości jest uwodzenie.

Dzięki zmierzchowi psychoanalizy i seksualności jako struktur mocnych oraz ich oczyszczeniu w ramach przestrzeni psychicznej i molekularnej (będącej właśnie przestrzenią ich definitywnego wyzwolenia), można dostrzec inną przestrzeń (równoległą, w tym sensie, że nigdy nie przecinającą się z tamtymi), której nie interpretuje się już w kategoriach relacji psychicznych czy psychologicznych, czy w kategoriach wyparcia bądź nieświadomości, lecz w kategoriach gry, wyzwania, relacji właściwych pojedynkowi i strategii pozorów: w kategoriach uwodzenia – nade wszystko nie w kategoriach struktury i wyróżniających opozycji, lecz w perspektywie właściwej uwodzeniu inwersyjności – przestrzeń, w której kobiecość nie jest przeciwieństwem tego, co męskie, lecz tym, co męskość uwodzi.

Kobiecość nie jest członem nacechowanym ani nienacechowanym uwodzenia: nie obejmuje już „autonomii” pragnienia czy rozkoszy, utraconej jakoby (?) autonomii ciała, słowa czy pisma, nie upomina się o swoją prawdę, lecz uwodzi.

Oczywiście ta suwerenność uwodzenia może, mocą konwencji, nosić miano kobiecej, podobnie można by utrzymywać, że seksualność jest zasadniczo męska, istotne jednak jest to, że ta forma istniała zawsze – zdalnie projektując kobiecość jako nic, coś, co nigdy się nie „wydarza”, nigdy nie jest tam, gdzie się wydarza (a na pewno nie w „feministycznych” rewindykacjach) – to zaś nie w perspektywie psychicznej czy biologicznej biseksualności, lecz transseksualności właściwej uwodzeniu, którą usiłuje okiełznać cała organizacja seksu, zaś sama psychoanaliza, mająca aksjomatycznie strukturę seksualności, nie jest z tego powodu zasadniczo zdolna do rozprawiania o czymkolwiek innym.

Co ruch kobiecej kontestacji przeciwstawia strukturze falokratycznej? Autonomię, różnicę, specyfikę požądania i rozkoszy, inny stosunek do kobiecego ciała, mowy, pisma – ale bynajmniej nie uwodzenie. Uwodzenia kobiety wstydzą się, gdyż oznacza sztuczne eksponowanie własnej cielesności, poddaństwo lub prostytutkę. Nie dostrzegają tego, że uwodzenie oznacza panowanie nad przestrzenią symboliczną, podczas gdy władza doty-

czy jedynie przestrzeni rzeczywistej. Suwerenność wpisana w uwodzenie jest niewspółmierna z posiadaniem władzy politycznej lub seksualnej.

Ruch feministyczny łączy z porządkiem prawdy dziwne i zagorzałe współnictwo. Albowiem uwodzenie zwalcza się i odrzuca jako sprzeniewierzenie prawdy o kobiecie, tej, która ostatecznie jest wpisana w jej ciało, w jej pożądanie. Za jednym zamachem zostaje skasowany ogromny przywilej, jakim cieszy się kobiecość: to, że nigdy nie miała dostępu do prawdy, do sensu, i pozostawała absolutną władczynią królestwa pozorów. Uwodzenie posiada immanentną zdolność pozbawiania rzeczy ich prawdy i włączania jej w grę, w grę czystych pozorów i obracania wniwecz wszelkich systemów władzy i sensu: zdolność przenicowywania pozorów, igrania ciałem jako pozorem, a nie otchłannym pożądaniem – pozory wszak można przenicować – i w tej właśnie płaszczyźnie okazuje się, że systemy są kruche i wrażliwe, i że sens poddaje się tylko zauroczeniu.

Anatomia to przeznaczenie, mawiał Freud. Zdziwienie może budzić to, że fakt odrzucenia przez ruch kobiecy tego przeznaczenia, z definicji fallicznego i przypieczętowanego przez anatomię, ujawnia alternatywę, która w zasadzie zachowuje charakter anatomiczny i biologiczny:

„Rozkosz kobiety nie sprowadza się do wyboru między klitoralną aktywnością i waginalną pasywnością. Pieszczota waginalna nie musi wypierać pieszczoty klitoralnej. Obie w sposób niepowtarzalny współdziałają, przynosząc kobiecie rozkosz... Między innymi... pieszczota piersi, dotykanie sromu, rozchylenie warg, ruch posuwisto-zwrotny wywierający nacisk na tylną ściankę waginy, muskanie szyjki macicy etc. w celu wywołania przyjemności specyficznie kobiecych” (Luce Irigaray).

Babskie gadanie? Niezmiennie jednak zakorzenione w anatomii i w ciele. To, co specyficznie kobiece, ujawnia się w dyfrakcji stref erogennych, w erogencji zdecentralizowanej, wielowymiarowej, rozprzestrzeniającej się rozkoszy i przeobrażaniu

się dzięki pożądaniu całego ciała: to *leitmotiv* każdej rewolucji seksualnej i kobiecej, lecz także całej naszej kultury ciała – od *Anagramów* Bellmera do Deleuze’owskich rozgałęzień kombinatorycznych. Zawsze jest to sprawa ciała, jeśli nie w sensie anatomicznym, to przynajmniej organicznym i erogennym, ciała funkcjonalnego, którego przeznaczeniem – nawet w tej formie rozczłonkowanej i metaforycznej – jest rozkosz, zaś naturalnym przejawem – pożądanie. Stąd jedno z dwojga: albo ciało jest w tym wszystkim ledwie metaforą (ale o czym wobec tego mówi rewolucja seksualna i cała nasza kultura, która stała się wszak kulturą ciała?), albo wraz z mową ciała, wraz z mową kobiety zostaliśmy ostatecznie wtajemniczeni w los anatomiczny, w anatomię jako przeznaczenie. Nie ma mowy o jakimś radykalnym przeciwstawieniu się freudowskiej formule.

W żadnym razie nie chodzi o uwodzenie, oddziaływanie ciała poprzez sztuczność, a nie pożądanie, ciała uwiedzonego, ciała do uwiedzenia, ciała odseparowanego w chwili namiętności od jego prawdy, owej etycznej prawdy pożądania, która nas nawiedza – jakże poważnej, głęboko religijnej prawdy ciała, którą dzisiaj ucieleśnia ciało, a dla której uwodzenie jest złem i sztucznością tak samo, jak ongi dla religii – w żadnym razie nie chodzi o ciało wydane na pastwę pozorów.

Otóż jedynie uwodzenie radykalnie przeciwstawia się anatomii jako przeznaczeniu. Tylko ono narusza dystynktywną seksualizację ciała i zakłóca nieuchronnie związaną z nią falliczną ekonomię.

Ruch rozwijany w przekonaniu, że systemy można obalić od strony infrastruktury, grzeszy naiwnością. Uwodzenie działa inteligentniej, niejako samorzutnie, z oslepiającą oczywistością, nie potrzebuje poszukać dowodów i uzasadnień dla siebie – objawia się automatycznie i przenicowuje całą rzekomą głębię rzeczywistości, całej psychologii, anatomii, prawdy, władzy. Wie, i to jest tajemnicą uwodzenia, że nie ma anatomii, nie ma psychologii, że wszystkie znaki są odwracalne. Nic doń nie należy, oprócz pozorów – wymyka mu się wszelka władza, lecz uwodzenie przekształca w nią wszystkie znaki. Czy można się mu przeciwstawić? Oto faktyczna i jedyna stawka: panowanie i strategia pozorów przeciwko potędze bytu i rzeczywistości. Nie spo-

sób wygrywać bytu przeciwko bytowi, prawdy przeciwko niej samej: obalanie fundamentów to pułapka, a przecież wystarczy trochę pomanipulować pozorami.

Otóż kobieta jest tylko pozorem. I właśnie jako pozór kobiecość szachuje męską głębię. Kobiety, miast przeciwstawiać się takiej „uwłaczającej” etykietce, powinny raczej dać uwieść się tej prawdzie, gdyż w niej tkwi sekret ich siły, którą mogą utracić, przeciwstawiając głębi męskości głębi kobiecości.

Przeciwieństwem męskiej głębi nie jest właściwie powierzchwnia utożsamiana z kobiecością, lecz kobiecość jako nierozróżnialność powierzchni i głębi. Albo też nierozróżnialność tego, co autentyczne, i tego, co sztuczne. Takie zasadnicze stwierdzenie, zawierające w sobie cały sens uwodzenia, wypowiedziała Joan Rivière w artykule *La Féminité comme masquerade* („La Psychanalyse”, nr 7): „Kwestia kobiecej autentyczności czy powierzchowności i tak sprowadza się do jednego”.

I dotyczyć to może wyłącznie kobiecości. Męskość bowiem uznaje niewzruszone rozróżnienie prawdziwości i jej bezwzględne kryterium. Męskość to pewność, kobiecość to nierozstrzygalność.

Otóż to stwierdzenie dotyczące kobiecości, iż samo rozróżnienie między tym, co autentyczne, i tym, co sztuczne, traci w niej rację bytu, zarazem definiuje – rzecz osobliwa – przestrzeń naśladowania: tutaj nie ma bowiem już miejsca na ewentualne rozróżnienie między rzeczywistością a jej modelami – jak istnieje tylko realność, którą emanują naśladowane modele, tak istnieje tylko kobiecość pozorów. Podobnie bowiem jak w jej przypadku, naśladowanie oznacza nierozstrzygalność.

Ta osobliwa zbieżność wskazuje na właściwą kobiecości dwuznaczność: całkowicie potwierdza naśladowczość, a równocześnie oferuje jedyną możliwość wyjścia poza naśladowanie – właśnie poprzez uwodzenie.

Wieczna ironia wspólnoty

*Ta kobiecość,
wieczna ironia wspólnoty.*

Hegel

Kobiecość jako zasada niepewności.

To ona zakłóca układ biegunów seksualności. Nie jest biegunowym przeciwieństwem męskości, lecz uchyla dystynktywne rozróżnienie, a więc i samą seksualność ta bowiem jak wcielała się w dziejach w męską fallokrację, tak jutro może się wcielić w fallokrację żeńską.

Jeśli kobiecość jest zasadą niepewności, to jej chwiejność nasila się, gdy niepewność rośnie, jak choćby w zabawie w kobiecość.

Transwestytyzm. Ani homo-, ani transseksualiści, bo właśnie zabawa nierozróżnialnością jest tym, co lubią transwestyci. Źródłem uroku, jaki wywierają, także w stosunku do siebie, jest seksualne rozchwianie, a nie, jak się przyjęło, czar, jaki nawzajem wywierają na siebie obie płcie. Tak naprawdę nie kochają ani mężczyzn/mężczyzn, ani kobiet/kobiet, ani tych, którzy sami się określają przesadnie jako istoty seksualnie odrębne. Warunkiem istnienia płci jest bowiem podwajanie przez znaki bytu biologicznego. W tym zaś przypadku znaki funkcjonują osobno, nie można więc mówić w sensie ścisłym o płci, transwestyci zaś lubują się właśnie w owej grze znaków, roznamiętnia ich możliwość uwiedzenia samych znaków. Wszystko u nich jest makijażem, teatrem, uwodzeniem. Sprawiają wrażenie ludzi opętanych przez grę płci, przede wszystkim jednak przez samą grę, a jeśli wydaje się, że seksualność naznacza ich życie w większym stopniu niż nasze, to dlatego, że seksualność jest w ich przypadku grą totalną – grą na gesty i zmysły, ponadto grą rytualną, pełnym egzaltacji, ale i ironii, wyzwaniem.

Nico nie wydawałaby się tak piękna, gdyby jej kobiecość nie była od początku do końca odgrywana. Emanowała z niej nie tylko uroda, jakże wzniosła, lecz także zupełnie inny uwodzicielski czar. Stąd rozczarowanie, gdy okazało się, że jest fałszy-

wą *drag queen* – najprawdziwszą kobietą bawiącą się w przebie-
ranę. Nie-kobiecie udającej kobietę łatwiej poruszać się wśród
znaków i doprowadzić uwodzenie do skrajności niż kobiecie
prawdziwej, już usprawiedliwionej przez własną płć. Tylko
nie-kobieta udająca kobietę może wzbudzić czystą fascynację,
ponieważ sam/a jest bardziej uwodzicielska niż seksualna. Fa-
scynacja mija, gdy ujawnia się rzeczywista płć, choć oczywiście
wtedy może dojść do głosu inne pożądanie, które jednak nie bę-
dzie eksplorować owej doskonałości, którą zawierać może wy-
łącznie sztuczność.

Uwodzenie zawsze góruje niezwykłością i wzniosłością nad
seksem i właśnie do niego przywiązujemy najwyższą wagę.

Podłoża biseksualności nie należy szukać w transwestyty-
zmie. Albowiem płcie i orientacje seksualne – pomieszane czy
ambivalentne, nieokreślone czy inwersyjne – zachowują swoją
realność i poświadczają istnienie psychicznej rzeczywistości
płci. Natomiast zaciera się tutaj sama definicja seksualności.
I nie jest to gra perwersyjna. Perwersyjność polega na odwróce-
niu członów relacji, tymczasem tutaj nie ma członów, które da-
łoby się odwrócić, są tylko znaki, które można uwieść.

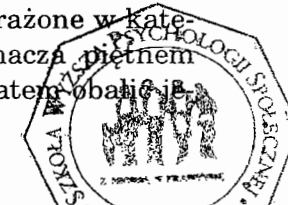
Nie należy też szukać odpowiedzi w nieświadomości czy
w „utajonym homoseksualizmie”. Stara kazuistyka utajenia,
sama będąca wytworem seksualnego imaginarij powierzchni
i głębi, zawsze podsuwa diagnozę objawową i zakłada możliwość
poprawy. Sformułowanie „to nie ma nic wspólnego z utajeniem”
całkowicie podważa samą hipotezę ukrytej rozstrzygającej in-
stancji płci, hipotezę głębokiej gry fantazmatów, która urucha-
miałaby toczącą się na powierzchni grę znaków. Tymczasem
przeciwnie, wszystko rozgrywa się w tym zawrotnym odwróce-
niu, polegającym na przeistoczeniu płci w znaki będące tajem-
nicą uwodzenia.

Być może nawet uwodzicielskie zdolności transwestyty po-
chodzą wprost z parodii – operującej nadznaczeniowością paro-
dii płci. Prostytucja transwestyty nabierałaby zatem innego
sensu niż pospolita prostytucja kobiet. Bliższa byłaby uświęco-
nej prostytucji starożytnych (czy świętego statusu hermafrody-
ty). Kojarzy bowiem makijaż i teatralność w rytualnej i parody-
stycznej demonstracji płci, która nie zna rozkoszy.

Samo uwodzenie podszyte jest w tym wypadku parodią,
w której ujawnia się nieprzejednana drapieżność wobec kobiet,
a którą można by interpretować jako zaaranżowany przez męż-
czyzną zabór atrybutów uwodzenia, jakimi posługuje się kobie-
ta. Transwestyta odtwarzałby w ten sposób sytuację pierwotne-
go wojownika – który uwodzi w pojedynkę, gdy kobieta jest ni-
czym (w tym miejscu przychodzi na myśl faszyzm i jego podo-
bieństwo do transwestytyzmu). Ale czyż nie chodziłoby tu ra-
czej o unieważnienie płci niż jej uzupełnianie? I czy nie oznacza-
łoby to, że męskość, małpując kobiecość, rezygnuje ze swego
statusu i swych przywilejów, żeby stać się kontrapunktowym
elementem rytualnej gry?

Ta parodia kobiecości nie jest w żadnym razie aż tak okrut-
na, jak mogłoby się wydawać, ponieważ chodzi o kobiecość wy-
kreowaną w męskiej wyobraźni i przez mężczyzn inscenizowa-
ną – także w ich fantazjach. Kobiecość przerysowana, zdegrado-
wana, sparodiowana (w Barcelonie *drag queens* mają wąsy i ob-
noszą się z owłosionymi torsami) ma oznaczać, że w tym społe-
czeństwie sprowadza się zaledwie do znaków, którymi ją przy-
strajają mężczyźni. Przesadne naśladowanie kobiecości ma
oznaczać, że kobieta jest tylko modelem męskiego naśladowa-
nia. Odgrywanie kobiety to zarazem wyzwanie rzucone modelo-
wi kobiecemu poprzez zabawę w kobietę, wyzwanie rzucone ko-
biecie za pomocą kobiety/znaku i niewykluczone, że taka żywa,
fingowana demaskacja, balansująca na granicy sztuczności, od-
grywająca, a zarazem udaremniająca działanie mechanizmów
kobiecości, jest wyrazistsza i radykalniejsza niż wszystkie ide-
ologiczno-polityczne roszczenia kobiecości „wyalienowanej
w swoim jestestwie”. A zatem kobiecość rzekomo nie posiada je-
stestwa (natury, stylu, właściwych sobie rozkoszy, ani, jak ma-
wiał Freud, właściwego sobie libido). Na przekór wszelkim pró-
bom znalezienia autentycznej kobiecości, języka kobiety etc.,
twierdzimy, że kobieta jest niczym i że w tym tkwi jej siła.

I jest to reakcja bardziej wyrafinowana niż frontalny odpór,
z jakim teoria kastracji spotyka się w feminizmie. Teorii tej bo-
wiem przeciwstawione zostaje przeznaczenie wyrażone w kate-
goriach symboliki, a nie anatomii, które naznacza dietnym
wszelką możliwą seksualność. Tę regułę może zatem obalić



dynie parodia, eksponowanie ekscentryczności znaków kobiecości, podwojenie znaków, ucinające biologiczne czy metafizyczne nierozstrzygalności płci: tym właśnie jest makijaż – triumfującą parodią, rozwiązaniem odwołującym się do przesady, polegającym na przejawianym powierzchniowym naśladowaniu owego naśladowania głębokiego, jakim jest właśnie symboliczne prawo kastracji – transseksualną grą uwodzenia.

Ironia sztuczności: władza cechująca kobietę stosującą makijaż lub prostytuującą się, związana z umiejętnością przejawiania rysów, przeobrażania ich w coś więcej niż znaki, oraz – poprzez wykorzystanie fałszu, nie jako przeciwieństwa prawdy, lecz fałszu jeszcze większego – osiągania w ten sposób apogeum seksualności, a zarazem pogrążania się w żywiole naśladowania. To ironia dookreślająca charakter kobiety jako idola czy obiektu seksualnego: kładzie kres grze płci i jako zamknięta doskonałość przywraca mężczyźnie, panu i władcy rzeczywistości seksualnej, jego przezroczystość jako podmiotowi wyobrażonemu. Jest to ironiczna władza przedmiotu, którą kobieta traci, uzyskując nominację na podmiot.

Cała męska władza sprowadza się do produkowania. Wszystko, co zostaje wytworzone, choćby kobieta jako istota żeńska, należy do rejestru władz męskich. Jedyną natomiast nieodpartą władzą żeńską jest zdolność uwodzenia. Kobieta sama w sobie jest niczym i niczego na własność nie posiada – z wyjątkiem zdolności uchylania władzy produkowania. Tę jednak uchyla zawsze.

Zresztą, czy władza falliczna w ogóle istniała? Czy cała ta historia patriarchalnej dominacji, fallokracji, prastarego przywileju męskości nie jest aby wyssaną z palca opowieścią? I to poczynając od tego, że wymianę kobiet w społeczeństwach prymitywnych idiotycznie interpretuje się jako pierwszy etap dziejów kobiety-przedmiotu. Wszystko, co na ten temat opowiadano – cały ten uniwersalny dyskurs o nierówności płci, będący leit-motivem egalitarnej i rewolucyjnej nowoczesności, słyszalny do dzisiaj, wzmocniony przez siły udaremionych rewolucji – to jeden wielki nonsens. Wszelkie pozory słuszności posiada nato-

miast hipoteza przeciwna, która ponadto jest pod pewnym względem ciekawsza – że mianowicie kobiecość nigdy nie zajmowała pozycji zdominowanej, lecz zawsze dominującą. Kobiecość nie jako płć właśnie, lecz jako forma idąca w poprzek płciowości i wszelkiej władzy, jako ukryta i niebezpieczna forma bepcłciowości. Jako wyzwanie, którego niszczące skutki wyczuwa się dzisiaj na całym obszarze seksualności. I czyż to wyzwanie obejmujące także uwodzenie nie było zawsze triumfalne?

W tym sensie męskość byłaby od początku tworem szczątkowym, wtórnym i kruchym, którego trzeba było bronić za pomocą obwarowań, instytucji i wybiegów. Twierdza falliczności posiada wszelkie znamiona warowni, to znaczy oznaki słabości. Trwa tylko i wyłącznie dzięki fortyfikacjom, jakie tworzy jawna seksualność, teleologia seksu wyczerpująca się w reprodukcji lub rozkoszy.

Można zaryzykować hipotezę, iż kobiecość to płć jedyna, a męskość istnieje tylko o tyle, o ile nadludzkim wysiłkiem się z niej wyrывa: chwila nieuwagi i ponowny upadek w kobiecość. Można by więc mówić o kategoriycznym uprzywilejowaniu kobiecości i definitywnej ułomności męskości – na szyderstwo zakrawa dążenie do „wyzwolenia”, kończące się zgodą na wątłą „władzę”, ekscentryczny, paradoksalny, paranoiczny i nużący status, jakim cieszy się męskość.

Baśń seksualna odwraca porządek baśni fallicznej, w której kobieta powstaje z mężczyzny w efekcie odejmowania (żebra) i powiada, że to mężczyzna pochodzi od kobiety – mocą wyjątku. Ta baśń z powodzeniem znalazłaby oparcie w analizach przedstawionych przez Bettelheima w *Ranach symbolicznych*: swoją władzę i instytucje mężczyźni ustanowili jedynie po to, by przeciwstawić się pierwotnym, o wiele wyższym możliwościom kobiety. Motorem nie jest więc zazdrość o penis, lecz przeciwnie – męska zazdrość o kobiecą zdolność wydawania potomstwa. Ów kobiecy przywilej okazał się niewybaczalny, więc należało za wszelką cenę wymyślić nowy męski ład – społeczny, polityczny, gospodarczy, w ramach którego można by ów naturalny przywilej okroić. W porządku rytualnym zwyczaję zawłaszczania oznak płci przeciwnej kulturowane są na ogół przez mężczyzn: są to ofiarowania, okaleczenia, sztuczne waginizacje, obrzędy kuwady itp.

Wszystko to jest przekonywujące na miarę paradoksalności samej hipotezy (przecież ciekawszej niż się przyjęło), która jednak w istocie sprowadza się do odwrócenia członów i przedstawienia kobiecości jako substancji pierwotnej, swego rodzaju antropologicznej infrastruktury. Przekształca uwarunkowania anatomiczne, choć zarazem utrwała je jako przeznaczenie – i „ironia kobiecości” ponownie ginie.

Owa ironia ginie, gdy kobiecość ustanawia się jako płęć i to przede wszystkim po to, by ujawnić ucisk, jakiemu podlega. Wieczne złudzenie oświeceniowego humanizmu dążącego do wyzwolenia płci uciśnionej, uciśnionej rasy i klas uciśnionych na warunkach określonych przez ich poddaństwo. Niech kobiecość stanie się płcią na własnych prawach! Niedorzeczność, jeśli nie formułuje się tego ani w kategoriach płci, ani władzy.

Kobiecość nie należy ani do porządku równoważności, ani do porządku wartości: a więc nie rozmywa się we władzy. Nie jest nawet wywrotowa, jest odwracalna. Władza natomiast rozmywa się w kobiecej odwracalności. O ile więc na płaszczyźnie „faktów” nie sposób rozstrzygnąć, co, męskość czy kobiecość, dominowało na przestrzeni wieków (i znowu okazuje się, że teza o ucisku kobiecości opiera się na karykaturalnym micie fallokratycznym), o tyle jest oczywiste, że na płaszczyźnie seksualności forma odwracalna przewyższa formę linearną. Forma wykluczona skrycie dominuje nad formą panującą. Forma uwodzicielska – nad produkcyjną.

W tym sensie kobiecość znajduje się po tej samej stronie, co szaleństwo. Szaleństwo jednak ze względu na swoją ukrytą dominację musi zostać podporządkowane normie (między innymi dzięki pojęciu nieświadomości). Kobiecość zaś ze względu na skrytą dominację musi zostać ponownie włączona w obieg i poddana normie (zwłaszcza jeśli chodzi o wyzwolenie seksualne).

I o rozkosz.

Jedną z często eksponowanych cech ucisku kobiet jest to, że zostały obrabowane z rozkoszy, pozbawione przyjemności seksualnej. Wszyscy powinniśmy niezwłocznie przystąpić do naprawienia tej rażącej niesprawiedliwości w rytmie biegu długo-

dystansowego lub seksualnych wyścigów. Rozkosz nabrała walu potrzeby i prawa podstawowego. Choć jest najświeższym z praw człowieka, dostąpiła godności imperatywu kategorycznego i przeciwstawianie się mu jest rzeczą niemoralną. Ów imperatyw nie posiada jednak kantowskiego uroku teleologii bez telosu. Narzuca się jako regulacja i samoregulacja pożądania, toteż podobnie jak prawa nie wolno go lekceważyć.

Oznacza to jednak również niedostrzeżenie zwrotności rozkoszy, a więc tego, iż w przypadku braku czy odmowy rozkoszy natężenie może wzrosnąć. I właśnie gdy cel seksualności odzyskuje swój niewymuszony charakter, pojawia się – jak je można nazwać – uwodzenie lub rozkosz. Albo też sama rozkosz staje się jedynie pretekstem dla innej, bardziej podniecającej, jeszcze namiętniejszej zabawy. Tak właśnie dzieje się w *Imperium zmysłów*, gdzie chodzi o dotarcie do granicy rozkoszy i jej przekroczenie – wyzwanie przewyższające działanie czystego pożądania, ze względu na jeszcze zawrotniejszą logikę i związek z namiętnościami, a nie samym popędem.

Równie zawrotne może jednak okazać się także odrzucenie rozkoszy. Kto wie, czy kobiety bynajmniej nie „ograbiane” z rozkoszy, od niepamiętnych czasów nie prowadziły własnej gry, triumfalnie rezerwując dla siebie prawo do seksualnej powściągliwości, to jest, czy aby ich głęboka wstrzemięźliwość nie oznaczała wyzwania, a raczej sprzeciwu, kwestionującego wyłączną męskość rozkoszy? Kto wie, jak dalece destrukcyjna była ta prowokacja i na ile wszechogarniająca. Skazany na samotną rozkosz mężczyzna, uganiający się za przyjemnościami i zajęty podbojami, nie zdołał przed nią umknąć.

Kto zwyciężył w grze tych przeciwnych strategii? Najwyraźniej mężczyzna i to na całej linii. Ale nie ma pewności, czy aby sam się nie pogubił i nie ugrzązł na tym terenie, podobnie jak na terenie władzy – uciekając przed siebie, gdzie żaden kapitał, żadna kalkulacja nie zapewni mu ocalenia, ani nie uchroni go od cichej rozpaczki z powodu tego, co mu umknęło. Ale koniec był nieuchronny i kobiety musiały odzyskać rozkosz. Trzeba było podjąć kroki zmierzające do wyzwolenia kobiet i zapewnienia im rozkoszy – kładąc kres temu nieznośnemu wyzwaniu, za sprawą którego rozkosz sama się unicestwiła w strategii wstrze-

mięźliwości. Albowiem rozkosz obywa się bez strategii: jest energią poszukującą ujścia. Jest więc zdecydowanie poniżej wszelkiej strategii: może zostać w niej wykorzystana w charakterze tworzywa, tak jak pożądanie w charakterze elementu taktycznego. To główny temat osiemnastowiecznej seksualności libertyńskiej, od Laclos do Casanovy i de Sade'a (nie wyłączając Kierkegaarda jako autora *Dziennika uwodziciela*), dla której seksualność to jeszcze ceremonia, rytuał i strategia, która dopiero później wraz z prawami człowieka i psychologią zanurzyła się w prawdzie objawionej seksu.

Mamy więc epokę pigułki i asygnaty na rozkosz. Koniec z prawem do wstrzemięźliwości seksualnej. Kobiety muszą sobie uświadomić, że pozbawiano je czegoś zbyt ważnego, by mieć opory (widma wszystkich „przegapionych” orgazmów) przed „racjonalnie uzasadnionym” przyjęciem pigułki. Na takiej samej zasadzie całe pokolenia broniły się przed szkołą, medycyną, ubezpieczeniem i pracą. Ta sama głęboka intuicja dotyczy spuścizny, jakie wywołuje nieograniczona wolność, swoboda wypowiedziania się i wolność odczuwania rozkoszy: wyzwanie, kolejne wyzwanie nie jest już możliwe, szantaż nieustannej erekcji (bez uwzględnienia tendencji do obniżania poziomu samej rozkoszy?) wyeliminował logikę symboli.

„Tradycyjna” kobieca seksualność nie została ani wyparta, ani objęta zakazem: kobieta niezmiennie zachowała swój status, nie została pokonana, nie pozostała też bierna, ale też nie marzyła o przyszłym „wyzwoleniu”. To pięknoduchy mówią z perspektywy czasu o kobietach jako istotach odwiecznie wyobcowanych, następnie wyzwolonych. I tkwi w tej wizji głęboka pogarda, taka, jaką okazywano w stosunku do „wyalienowanych” mas, które rzekomo były w stanie zdobyć się co najwyżej na egzystencję błędnej owcy.

Jakże łatwo kreśli się taki obraz kobiety wyobcowywanej na przestrzeni wieków, po to, by następnie pod auspicjami rewolucji i psychoanalizy otworzyć przed nią bramy pożądania. Jakie to wszystko proste i jakie w tej prostocie bezwstydnie – gorzej, istna emanacja seksizmu i rasizmu: litość.

Na szczęście kobiecość nigdy nie pasowała do tego opisu. Zawsze kierowała się własną strategią, strategią nieustannego i zwycięskiego wyzwania (której najważniejszym przejawem jest uwodzenie). Nie ma co opłakiwać szkód, jakich kobieta doznała i dążyć do ich naprawienia. Nie ma co przywdziewać szat obrońców słabej płci. Nie trzeba też składać wszystkiego na karb wyzwolenia i pożądania, których rąbek tajemnicy został uchylony dopiero w XX wieku. Gra toczyła się nieprzerwanie na całego, z użyciem wszystkich kart i wszystkich atutów, na całej przestrzeni dziejów. I to nie mężczyźni ją wygrali, bynajmniej. Dopiero teraz kobiety zaczynają przegrywać, właśnie pod szyldem rozkoszy – ale to już całkiem inna historia.

Jest to współczesna historia kobiecości w kulturze, która wszystko wytwarza – rozmiłowanej w rozkoszy i rozgadanej. Awans kobiecości jako płci posiadającej własne prawa (równość praw, równość rozkoszy), kobiecości jako wartości kosztem kobiecości jako zasady niepewności. Ta strategia nadawania prawa, statusu i przydzielania kobiecej rozkoszy streszcza całe wyzwolenie seksualne. Przejawia się w ustawicznym eksponowaniu i prezentowaniu kobiecości jako płci, zaś orgazmu jako powtarzalnego dowodu płci.

Jasno wyraża to pornografia. Jako trylogia otwarcia, rozkoszy i znaczeniowości, pornografia promuje kobiecą rozkosz seksualną w sposób przejawiony tylko dlatego, że chce skutecznie ukryć niepewność, jaką wzbudza ów „czarny ład”. Koniec tej „wiecznej ironii wspólnoty”, o której mówił Hegel. Odtąd kobieta będzie doznawać rozkoszy i będzie wiedzieć dlaczego. Kobiecość ujawni się w całej okazałości – jako symbol orgazmu, orgazm zaś jako symbol seksualności. Żadnej niepewności, żadnych tajemnic. Zaczyna się radykalna obsceniczność.

Salo, czyli 120 dni Sodomy Pasoliniego – prawdziwy zmierzch uwodzenia: nieubłagana logika uchyla wszelką odwracalność. Wszystko jest w niej nieodwracalnie męskie i tchnie śmiercią. Nie można nawet mówić o współnictwie oprawców

i ofiar, ich rozwiązłej wymiennosci: beznamiętna tortura przeprowadzana bez jakiegokolwiek emocji, chłodna kalkulacja (gdzie wyraźnie widać, iż rozkosz to faktycznie wykorzystywanie ciała w sposób przemysłowy i przeciwieństwo wszelkiego uwodzenia: ekstrakt, techniczny produkt maszynierii ciał, logistyka doznawania rozkoszy, która prowadzi prosto do celu, odnajdując w końcu martwy obiekt).

Ten film stanowi ilustrację prawdy, iż w dominującym systemie męskim, w każdym dominującym systemie (który tym samym staje się męski), ucieleśnieniem odwracalności, możliwości gry i symboliczności jest kobiecość. *Salo* przedstawia świat całkowicie wyprany z tego minimum uwodzenia, które określa stawkę nie tylko seksu, lecz każdej relacji, w tym śmierci i jej zamiany (czego wyrazem jest w *Salo*, podobnie jak u Sade'a, panowanie sodomii). I właśnie tutaj wyraźnie widać, że kobiecość to nie płeć, przeciwstawiona drugiej płci, lecz coś, co oddaje płci pełnię praw i pełnię doznań, płci, która posiada monopol na seks – ogarniętej lękiem przed innością męskości, której płeć jest tylko formą odczarowaną: że kobiecość to uwodzenie. Uwodzenie jest grą, płeć jest funkcją. Uwodzenie należy do porządku rytualnego, płeć i pożądanie należą do porządku naturalnego. W męskości i kobiecości chodzi o starcie tych właśnie dwóch podstawowych form, a nie jakieś różnice biologiczne czy naiwną rywalizację o władzę.

Kobiecość to nie tylko uwodzenie, to także wyzwanie rzuczone męskości, w którym stawką jest płciowość, monopol na nią i na rozkosz, dotarcie do granic tej hegemonii i sprawowania jej nawet za cenę śmierci. Pod presją tego wyzwania nieprzerwanie ciężącego na dziejach seksualności w naszej kulturze, dzisiaj załamuje się nie mogąca mu sprostać fallokracja. Zagrożone jest bodaj całe nasze wyobrażenie o seksualności, ponieważ wznosi się wokół falliczności i pozytywnej definicji płci. Każda forma pozytywna dostosowuje się oczywiście do swojej formy negatywnej, lecz tę odwracalność uznaje za śmiertelne wyzwanie. Każda struktura może przystosować się do przewrotu lub przekształcenia, lecz nie do odwrócenia tworzących ją elementów. Taką odwracalną formą jest uwodzenie.

Nie chodzi o uwodzenie, z którym historycznie kojarzono kobiety zamknięte w getcie kultury gineceum, szminki i koronek, o uwodzenie odbite w lustrze sceny i kobiecej wyobraźni, grę płci i podstępu (choć akurat tutaj ocalał jedyny w kulturze zachodniej rytuał ciała, podczas gdy wszystkie inne, w tym grzeczność, zanikły), lecz o uwodzenie jako ironiczną, alternatywną formę, która rozbija referencyjność płci, nie o przestrzeń pożądania, lecz gry i wyzwania.

W najbanalniejszej uwodzicielskiej rozgrywce zarysowuje się taki oto schemat: umykam, to nie ty sprawisz mi rozkosz, lecz ja zabawię się tobą, i ograbię cię z rozkoszy. Gra niepewności, która chyba nie jest wyłącznie strategią seksualną. Jest bowiem raczej strategią przemieszczenia (*se-ducere* – uwieść – zaprowadzić na ubocze, sprowadzić z drogi), polegającą na sprzeniewierzeniu prawdy płci: grać to nie to samo, co doznawać rozkoszy. Uwodzenie jako namiętność oraz gra w przestrzeni znaków posiada pewną suwerenność i w dłuższej perspektywie zwycięża, ponieważ tworzy porządek odwracalny i nieokreślony.

Uroki uwodzenia to o wiele więcej niż w chrześcijaństwie pocięcha, jaką przynoszą radości życia. Tę radość niekiedy traktuje się jako cel naturalny – stąd ataki wściekłości, gdy nie udaje się go osiągnąć. Jednakże kochanie nie ma nic wspólnego z popędem, chyba że chodziłoby o ujęcie libidalne naszej kultury, które zakładałoby, iż kochanie jest wyzwaniem i stawką – kochać to rzucić innemu wyzwanie, by odwzajemnił miłość; zaś być uwiedzionym, to rzucić innemu wyzwanie, by dał się uwieść (nie ma świetniejszego argumentu niż zarzucenie kobiecie, iż nie sposób jej uwieść). W tej perspektywie innego sensu nabiera perwersja: to udawanie, iż zostało się uwiedzionym, podczas gdy w ogóle nie jest się na nie podatnym.

Prawo uwodzenia to przede wszystkim reguła nieprzerwanej rytualnej wymiany, wzajemnej niekończącej się licytacji uwodzającego i uwodzonego, która nie może dobiec końca, gdyż granica określająca zwycięstwo jednej strony i porażkę drugiej jest nieczytelna i dopiero śmierć kładzie kres kolejnym rzuconym innemu wyzwaniom potęgującym uwiedzenie i zakochanie. Natomiast sam seks kończy się prędko i banalnie: orgazmem jako bezpośrednim przejawem zaspokojenia pożądania.

Tak pisze Roustang w *Un destin si funeste* (s. 142–143):

„W analizie ujawnia się wielkie niebezpieczeństwo, jakie może ściągnąć na siebie człowiek, który spełnia żądanie kobiety oczekującej rozkoszy. Jeśli poprzez pożądanie kobieta zmienia niezmiennosc, w której mężczyzna nie może jej nie zamykać, jeśli sama staje się natychmiastowym i nieokleznym żądaniem, jeśli już nie tkwi w tym zamknięciu i ono jej już nie krępuje, wówczas mężczyzna zostaje doprowadzony do stanu bliskiego samobójstwa. Żądanie niecierpiące zwłoki, wymówki, żądanie bezgraniczne pod względem siły i trwania, unicestwia absolut reprezentowany przez kobietę, kobiecą seksualność, a nawet kobiecą rozkosz... Kobięca rozkosz zawsze może zostać ponownie ubóstwiona, natomiast oczekiwanie rozkoszy przez kobietę, z którą mężczyzna jest związany, bez możliwości ucieczki, wywołuje u mężczyzny dezorientację oraz wrażenie czystej przypadkowości... Gdy pożądanie bez reszty przechodzi w żądanie, świat się wali i następuje rozpad. I to bez wątpienia jest powód, dla którego nasza kultura przykazała kobietom, by nie żądały niczego – dlatego, by nauczyły się niczego nie pożądać”.

A to „pożądanie bez reszty przechodzi w żądanie”? Czyżby nadal chodziło o kobiece „pożądanie”? Czy nie jest to charakterystyczny objaw szaleństwa, które niewiele ma wspólnego z „wyzwoleniem”? Cóż to za nowa żeńska forma bezgranicznego pożądania seksualnego, niepowstrzymane żądanie zaspokojenia rozkoszy? I tu właśnie odnajdujemy punkt graniczny, ku któremu pędzi nasza kultura – rację ma Roustang – przybierając formę samobójczej przemocy: co dotyczy zarówno mężczyzn, kobiet, jak i w ogóle seksualności.

„Nie zwracamy się do tych, którzy kochają wyłącznie kobiety; do tych, którzy kochają mężczyzn; tych, którzy kochają dzieci (starców, sadystów, masochistów, psy, koty)... Nowy bajownik, wyrafinowany i egocentryczny, domaga się uznania swojego rasizmu seksualnego, swojej seksualnej niepowtarzalności. Lecz sekciarstwu się przeciwstawiamy. Jeśli trzeba stać się mizoginem, by zostać pederastą; androfobką, by zostać lesbijką... jeśli

trzeba zrezygnować z nocnych rozkoszy, schadzek, jazdy autostopem, by uniknąć gwałtu, to w imię zwalczania niektórych zakazów trzeba będzie przywrócić inne tabu, zasady moralne, normy, osłony.

[...]

W naszym ciele nie doświadczamy jednej płci czy dwóch, lecz ich wielości. Nie widzimy mężczyzny czy kobiety, lecz antropomorficzną (!) istotę ludzką [...] Wszystkie stereotypowe bariery kulturowe, podziały fizjologiczne dotyczą nas jako istot cielesnych [...] Dzielimy się na mężczyzn i kobiety, dorosłych i dzieci, cioty, lesby i pedziów, dymających i dymanych. Nie godzimy się na to, by nasze bogactwo seksualne sprowadzone było do jednej płci. Nasz safizm to tylko jeden z aspektów naszej seksualności. Nie chcemy przykrawać swej tożsamości zgodnie w wymagania naszego społeczeństwa, to znaczy grać roli hetero, lesbijki, pedzia, czy tej wyznaczonej przez cały repertuar wytworów reklamy. Naszym pożądaniem nie kieruje zdrowy rozsądek”¹.

Nieokleznane szaleństwo seksualne, wzmożone pożądanie i oczekiwanie na zamówienie jego zaspokojenia – czy to aby nie obala tego, o czym pisał Roustang: o ile do dzisiaj przykazywano kobietom, by nie żądały niczego – dlatego, by nauczyły się niczego nie pożądać – to czy teraz z tego samego powodu nie każe się im żądać czego dusza zapragnie? Czyżby seksualne zaspokojenie pozwalało rozszyfrować cały czarny ład?

A zatem męskość leżałaby bliżej bieguna Prawa, natomiast kobiecość – bliżej bieguna rozkoszy. Ale czy sama rozkosz nie należy do aksjomatyki takiego rozszyfrowanego seksualnego uniwersum, którego wyzwolicielską i żeńską współrzędną stworzyło stopniowe osłabienie Prawa; rozkosz będąca przejawem Prawa osłabionego, Prawa, które, będąc ongi zakazem rozkoszy, przerodziło się w jej nakaz? Efekt odwrotnej symulacji: rozkosz, stając się następstwem działania Prawa, żąda jawnej autonomii. W przeciwnym razie Prawo upada i na jego gruzach podpisana zostaje nowa umowa, podyktowana przez rozkosz. Co ważne: nic się nie zmienia, a inwersja znaków jest wyłącznie następ-

¹ „Libé”, lipiec 1978, Judith Belladonna Barbara Penton.

stwem strategii. Taki jest sens obecnego przewrotu i uprzywilejowania bliźniaczej pary – kobiety i rozkoszy – kosztem męskości i zakazu rządzących ongi rozumem seksualnym. Wyniesienie kobiecości okazuje się idealnym instrumentem pozwalającym na bezprecedensowe uogólnienia i dokonanie dalszej kontrolowanej ekspansji rozumu seksualnego.

Nieoczekiwane zrzucenie przykrawa złudzenia ożywiającego pożądanie i wyzwolicielskie racjonalizacje. Marcuse:

To, co w systemie patriarchalnym uchodziło za kobiecą antytezę wartości męskich, faktycznie konstytuowałoby stłumioną społeczną i historyczną alternatywę – alternatywę socjalistyczną [...] Skończyć ze społeczeństwem patriarchalnym to tyle, co zerwać z przypisywaniem kobiecie specyficznym kobiecych cech, a tym samym przenieść te cechy na wszystkie sektory życia społecznego, obejmując nimi zarówno pracę zarobkową, jak i czas wolny. Wyzwolenie kobiety oznaczałoby więc jednocześnie wyzwolenie mężczyzny [...]

(Actuels, Galilée, s. 33)

Kobiecość wyzwolona i oddana na służbę do nowego zbiorowego Erosa (identyczny tryb postępowania, jak w przypadku popędu śmierci – ta sama znosząca dialektyka zrównania na płaszczyźnie nowego społecznego Erosa). Ale co się dzieje, gdy kobiecość, nie będąc bynajmniej zespołem specyficznych cech (co może się zdarzyć, gdy są stłumione, ale tylko wtedy), okazuje się, jako już „wyzwolona”, jedynie wyrazem erotycznej nieokreśloności i traci owe specyficzne cechy zarówno w sferze społecznej, jak i seksualnej?

Uwodzenie naznaczało kobiecość piętnem wszechmocnej ironii, równie wszechmocna jest ona dzisiaj ze względu na nieokreśloność kobiecości i ową dwuznaczność, która sprawia, że jej awansowi na podmiot towarzyszy nagłe zaostrenie jej statusu jako przedmiotu, jako uogólnionej pornografii. Dziwna zbieżność, o którą rozbija się ruch wyzwolenia kobiet, domagający się rozgraniczenia. Lecz jest to sprawa beznadziejna, gdyż znacząca jest właśnie zasadnicza dwuznaczność. Nawet tekst Roustanga, raczej dowartościowujący falę kobiecych żądań, nie

może ukryć niebezpieczeństwa, jakie dla kobiety stanowi przeobrażenie całego pożądania w żądanie. Jeśli bliskiego samobójstwu stanu wywołanego w człowieku przez to żądanie nie traktuje się jako argumentu rozstrzygającego, to nic nie pozwala odróżnić potwornego żądania zaspokojenia kobiecej rozkoszy od potworności jej całkowitego zakazywania w dawniejszych czasach.

Podobna dwuznaczność znamionuje również męskość i jej osłabienie. Popłoch, jaki wywołuje w mężczyźnie „wyzwolony” żeński podmiot, porównywalny jest jedynie z jego kruchością w obliczu pornograficznej otchłani „wyalienowanego” żeńskiego seksu, żeńskiego obiektu seksualnego. Niezależnie od tego, czy kobieta domaga się rozkoszy, „uświadamiając sobie racjonalność swojego pożądania”, czy oddaje się jej jako zdeklarowana prostytutka – jako podmiot lub przedmiot, wyzwolony bądź sprostytuowany – zawsze czyni to z nakazu płci, otchłannej pożądliwości, żarłoczności. Nieprzypadkowo cała pornografia kręci się wokół żeńskiego seksu. Dlatego że erekcja nigdy nie jest pewna (w porno nie ma scen impotencji, zostaje wyparta przez złudzenie bezwzględnej kobiecej gotowości). W seksualności, której osią staje się żądanie nieustannego popisywania się i wykazywania, zachwianiu ulegnie wyeksponowana pozycja mężczyzny. Natomiast kobieca seksualność ze względu na dostępność, otchłanność, wyzerowanie, pozostanie taka sama. Stałość kobiecej seksualności, wyraźnie innej od chwiejnej seksualności męskiej, przesądza o jej wyższości w dziedzinie przedstawiania fizjologii rozkoszy, wyobrażenia nieprzerwanej orgii, które oparowało nasze fantazje.

Wyzwolenie seksualne, tak samo jako wyzwolenie sił wytwórczych, właściwie nie ma końca. Domaga się obfitości, „sex affluent society”. Nie może tolerować niepowszechności dóbr seksualnych, tak samo jak dóbr materialnych. A tę właśnie utopijną ustawiczość i dostępność ucieleśnia żeński seks. Dlatego właśnie w tym społeczeństwie wszystko – wszelkiego rodzaju przedmioty, dobra, usługi, stosunki – zostaną sfeminizowane i na modłę żeńską zseksualizowane – w reklamie jest to kwestia nie tyle dorzucania seksu do, na przykład, pralek (co zakrawa na absurd), ile tego, że na obiekt nakłada się skojarzone z ko-

biecością wyobrażenia sugerujące ustawiczną dostępność, wykluczające niesprawność czy przypadkowość.

W pornografii seksualność zostaje usztywniona przez tę otchłanną monotonię, w której mężczyźni, gotowi do erekcji lub nie, pełnią rolę figurantów. W twardym porno nic w tej mierze się nie zmienia: to, co męskie, nie jest już ciekawe, ponieważ zbyt określone, zbyt nacechowane – fallus jako kanoniczny sygnifikant – a tym samym zbyt kruche. Fascynacja przenosi się ku *neutrum*, w stronę otchłannej nieokreśloności, ku seksualności zmiennej i rozproszonej. Czyżby historyczny odwet kobiecości po tylu wiekach tłumienia i oziębłości? Niewykluczone, ale pewniej już osłabienie znamienia seksualności, już to w wersji męskiej, która ongi ożywiała wyobrażenia związane z erekcyjnością, wertykalnością, wznoszeniem, wzrastaniem, produkowaniem itd., by współcześnie rozplątać się w obsesyjnym naśladowaniu tych wszystkich tematów – czyli seksualności żeńskiej, której ucieleśnieniem od niepamiętnych czasów było uwodzenie. Współcześnie za mechanicznym uprzedmiotowieniem znaków seksu kryje się męska kruchość i zwycięskie żeńskie wyzerowanie.

Współcześnie jesteśmy w istocie świadkami oryginalnej sytuacji gwałtu i przemocy – przemocy, jakiej na „bliskiej samobójstwa” męskości dopuszcza się wyzwolona z pęt kobieca zmysłowość. Nie jest to jednak powtórka – po zmianie ról – historycznej przemocy, jakiej na kobiecie dopuszczała się męska władza seksualna. Jest to raczej przemoc neutralizacji, depresji i rozsypki pierwiastka nacechowanego w obliczu inwazji pierwiastka nienacechowanego. Nie jest to przemoc zmasowana, ogólna, lecz przemoc odstraszania, przemoc *neutrum*, przemoc wyzerowania.

Tym też jest pornografia: przemocą seksu zneutralizowanego.

Porno w stereo

– Zabierz mnie do siebie i zerznij.
– Jest coś nieuchwytnego w twoim słownictwie, coś, co pozostawia wiele do życzenia.

Philip K. Dick, *The Schizos' Ball*

Przemieniając wszystko w rzeczywistość.
Jimmy Cliff

Trompe-l'oeil pozbawia realną przestrzeń jednego wymiaru i to właśnie sprawia, że uwodzi. Porno – przeciwnie, wzbogaca o jeden wymiar przestrzeń seksu i sprawia, że seks staje się rzeczywistszy od rzeczywistości – dlatego właśnie w porno nie ma uwodzenia.

Nie warto zastanawiać się nad fantazmatami nawiedzającymi pornografię (fetyszizm, perwersja, pierwotna scena etc.), gdyż przekreśla je nadmiar „rzeczywistości”. Może zresztą porno to tylko alegoria, to znaczy pomopowanie znaków, barokowa nadznaczeniowość, ocierająca się o „groteskę” (dosłownie: „groteskowa” sztuka ogrodów uzupełnia naturalność skał, tak jak pornografia uzupełnia obrazowość szczegółów anatomicznych).

Obsceniczność sama spala i pożera swój przedmiot. Przedmioty oglądane ze zbyt bliskiej odległości, tak, jak nigdy się ich nie postrzega – na szczęście dla nas nigdy nie obserwujemy funkcjonowania naszych genitaliów ani w tak bliskim, ani tak ogólnym planie. Wszystko to staje się zbyt prawdziwe, zbyt bliskie, by było prawdziwe. I właśnie to jest fascynujące, nadmiar realności, hiperrealność rzeczy. Jedyne fantazmat, o jaki chodzi w pornografii, o ile w ogóle o jakikolwiek, to nie seks, lecz realność, jej wchłanianie przez coś innego niż realność, przez hiperrealność. Voyeurizm pornograficzny to nie to samo, co voyeurizm seksualny, dotyczy bowiem przedstawienia i jego zaniku, jest upojeniem spowodowanym utratą sceny i inwazją obsceniczności.

W następstwie powiększenia szczegółu anatomicznego uchylony zostaje realny wymiar, dystans obserwacji umożliwia momentalną wyostrzoną reprezentację: przedstawienie seksu w stanie czystym, odartego nie tyle z uwodzicielskiej siły, co z samej potencjalności właściwej jego wyobrażeniom. Seks z tak bliska, że zlewający się z własnym przedstawieniem: gdzie znika w przestrzeni perspektywa, tam pierzcha złudzenie.

Jednakże obsceniczność to nie to samo, co pornografia. W swojej tradycyjnej wersji obsceniczność zawiera element transgresji, prowokacji czy perwersji. Igra z wyparciami za pomocą fantazji, których tematem jest przemoc. Wraz z wywołaniem seksualnym ten typ obsceniczności znika: tędy umyka „represyjna desublimacja”, o której pisał Marcuse (nawet jeśli nie przenika do obyczajów, to i tak mityczny triumf wyzwolenia, podobnie jak wczorajszy triumf wyparcia, jest całkowity). Nowa obsceniczność, podobnie jak nowa filozofia, wznosi się na gruzach starej i nabiera innego sensu. Nie jest grą z seksem pełnym przemocą, przemocą, która jest jej rzeczywistą stawką, lecz z z seksem zneutralizowanym przez tolerancję. Seks jest w niej przesadnie „przedstawiany”, lecz chodzi tu o przedstawienie czegoś, co zostało usunięte. Pornografia to jego sztuczna synteza, jego ceremonial, lecz nie celebacja. Coś neo lub retro, jak kto woli, jak ta zielona przestrzeń, która nieboszczkę naturę zastępuje chlorofilowym efektem i która z tego powodu uczestniczy w tej samej obsceniczności, co pornografia.

Nowoczesna nierealność nie należy już do porządku wyobraźni, lecz raczej do porządku referencji, prawdy, porządku trafności – polega na przemieszczeniu wszystkiego w absolutną oczywistość tego, co rzeczywiste. Niczym na obrazach hiperrealistycznych, gdzie można dostrzec zgrubienia skóry twarzy, widoczne zazwyczaj pod mikroskopem, nie uwodzące nawet powabem niezwykłości. Hiperrealizm to nie to samo, co surrealizm, to wizja osaczająca uwodzenie widzialnością. „Dajemy wam więcej”. Sprawdza się to już w kolorze – w filmie czy w telewizji: tyle dostajemy – kolor, blask, seks, wszystko wiernie oddane i z wszelkimi niuansami (jak w życiu!) – że nic dodać, czyli dać w zamian. Całkowite stłumienie: ponieważ otrzymujemy trochę za dużo, więc zabiera się nam wszystko. Miejcie się na

baczności, gdy z nawiązką zostaje wam „oddane” to, czego nigdy nie ofiarowaliście!

Przeraźliwe, klaustrofobiczne wspomnienie, obsceniczne, wspomnienie japońskiej kwadrofonii: sala z idealną klimatyzacją, fantastyczna technika, czterowymiarowa muzyka, przestrzeń nie tylko trójwymiarowa, posiadająca bowiem jeszcze czwarty wymiar głębi, przestrzeni wewnętrznej – techniczne szaleństwo przywracające doskonałość muzyki (Bach, Monteverdi, Mozart!), jaka nigdy nie istniała, której nikt nigdy w takiej postaci nie słyszał i która wcale nie została skomponowana z myślą o takim odbiorze. Zresztą jej się nie „słucha”, to coś zupełnie innego, dystans umożliwiający słuchanie muzyki na koncercie czy gdzie indziej zostaje zlikwidowany i muzyka dociera ze wszystkich stron, nie ma już przestrzeni muzycznej, jest symulacja całego otoczenia, pozbawiająca choćby minimalnej percepcji analitycznej określającej czar muzyki. Japończycy po prostu pomieszała, zresztą w najlepszej wierze, realność z wszelkimi możliwymi wymiarami. Gdyby potrafili opracować heksafonię, pewnie by ją mieli. Otóż właśnie ów dołączony czwarty wymiar pozbawia nas muzycznej rozkoszy. Coś innego zatem nas fascynuje (ale już nie uwodzi): techniczna perfekcja, „hi-fi”, tak samo obsesyjna i purytańska jak wierność małżeńska, choć w tym przypadku nawet nie wiadomo już, czego dotyczy ta wierność, skoro nie wiadomo, gdzie zaczyna się, a gdzie kończy realność, i nie sposób pojąć upojenia perfekcją, która upiera się, żeby ją odtwarzać.

Toteż technika sama sobie kopie grób, gdyż, doskonaląc środki syntezy, pogłębia kryteria analizy i definiowania – do tego stopnia, że absolutna wierność, kompletność względem realności zaczyna zakrawać na niemożliwość. Realność staje się upojnym fantazmatem wierności zatracającej się w nieskończonej znikomości.

W porównaniu choćby z *trompe-l'oeil*, który oszczędza na jednym wymiarze, „normalna” przestrzeń trójwymiarowa oznacza degradację, zubożenie poprzez nadmiar środków (wszystko, co jest realne lub chce za takie uchodzić, oznacza już taką właśnie degradację). Kwadrofonia, hiperstereo, *hi-fi* oznaczają degradację definitywną.

Porno to kwadrofonia seksu. Dorzuca trzecią i czwartą ścieżkę do aktu płciowego. To halucynacja wszechwładnego detalu – do takiego mikroskopowego obrazu zdążyła nas przyzwyczaić nauka, do voyeuryzmu podglądającego dokładność, niewidzialne struktury komórkowe w planie ogólnym, przyzwyczaiła nas do pojęcia nieubłaganej prawdy, której żadną miarą nie może być już wygląd, a którą można odsłonić jedynie za pomocą wyrafinowanej aparatury technicznej. Koniec tajemnicy.

Cóż bowiem ujawnia pornografia, ukazując nam trikowe obrazy, jeśli nie taką bezlitosną, mikroskopową prawdę seksu? Jest bezpośrednią pochodną metafizyki, która uznaje jedynie fantazmat prawdy ukrytej i jej objawienie, fantazmat „stłumionej” energii i jej wytwarzania – na obscenicznym scenie rzeczywistości. Stąd impas myśli oświeconej w obliczu pytania: czy pornografię należy cenzurować i stosować umiarkowane stłumienie? Trudno odpowiedzieć, ponieważ racja jest po stronie pornografii: przyczynia się do zniszczenia rzeczywistości, obłudnej iluzji rzeczywistości i jej obiektywnego wyzwolenia. Nie można wyzwolić sił wytwórczych, rezygnując z „wyzwolenia” brutalności płci: jedno jest tak samo obsceniczne jak drugie. Realistyczne zepsucie seksu, psucie pracy poprzez podporządkowanie jej wytwórczości – identyczne objawy, jedna walka.

Odpowiednikiem pracy przy taśmie jest japońska waginorama – bijąca zresztą na głowę każdy *strip-tease*: dziewczęta siedzą na skraju estrady z rozwartymi udami, a japońscy proletariusze w koszulkach bez marynarek (to widowisko popularne) wlepiają oczy i wtykają nos w waginy dziewcząt, by zobaczyć – co? Przeciskają się, żeby lepiej zobaczyć, a tymczasem dziewczyna łagodnie do nich przemawia, czasami *pro forma*. Cała reszta spektaklu – biczowanie, wzajemna masturbacja, tradycyjny *strip-tease* – błędnie wobec tej absolutnej obsceniczności, widoku wzbudzającego pożądanie dalece wykraczające poza chęć zdobycia. Wzniosłe porno: gdyby to było możliwe, daliby się tym dziewczynom pochłonać. Czyżby egzaltacja śmiercią? Niewykluczone, lecz przecież ci faceci równocześnie komentują, co widzą, i porównują poszczególne waginy i to bez chichów i uśmieszków, ze śmiertelną powagą, i nawet nie próbując dotknąć, chyba że dla zabawy. Żadnej lubieżności: zachowanie nad

wyraz poważne i dziecinne, widzowie płci męskiej bez reszty urzeczeni zwierciadłem żeńskiego organu – zupełnie jak Narcyz własną twarzą. Porno, wykraczając poza konwencjonalny strip-tizowy idealizm (może nawet dałoby się w tym przypadku mówić o uwodzeniu), przeradza się w swych najbardziej wysublimowanych postaciach w obsceniczną oczyszczoną, pogłębio-ną, głębszą, bardziej trzewną – dlaczego poprzestawać na nagości, na genitaliach, skoro obsceniczność to sprawa przedstawienia, a nie seksu, to należy zgłębić samo wnętrze ciała i trzewia; kto wie, jaką rozkosz przyniosłoby wizualne ćwiartowanie, widok błon śluzowych i mięśni gładkich? Nasza definicja porno jest jeszcze zbyt wąska. *Obscenum* ma niebywałą przyszłość.

Ale uwaga, nie chodzi o pogłębienie popędu, nie chodzi o orgię realizmu i orgię produkcji. Wściekłość (będąca być może także popędem, ale takim, który zastępuje wszystkie pozostałe), żeby wszystkich postawić przed sądem, żeby wszystko oddać pod jurysdykcję znaków. Żeby wszystko znalazło się w ich świetle, w blasku widzialnej energii. Żeby słowo zostało wyzwolone i żeby głosiło pożądanie. Nurzamy się w tej liberalizacji, będącej niczym innym jak procesem narastającej obsceniczności. Wszystko, co jest ukryte, i co jeszcze cieszy się statusem zakazu, zostanie wydobyte, wysłowione i stanie się oczywiste. Rzeczywistość potężniejsza, poszerza się, któregoś dnia cały świat stanie się realny, a kiedy rzeczywistość się upowszechni, wtedy nastąpi śmierć.

Symulacja pornograficzna: nagość to przecież zawsze tylko jeszcze jeden znak. Nagość przesłonięta odzieniem funkcjonuje jako odniesienie sekretne, dwuznaczne. Odsłonięta, wynurza się jako znak i powraca do obiegu znaków: nagość znaczy. Tak jest zarówno w przypadku twardego porno, jak i porno łagodnego: narząd płciowy w stanie erekcji czy całkowicie rozwarty to tylko kolejny znak w hiperseksualnej panopli. Fallus-znak. Im dalej posunięta jest szaleńcza prawdziwość seksu, obnażanie jego mechaniki, tym głębiej jest się zanurzonym w akumulację znaków, tym bardziej jest się zatrzaśniętym w bezkresnej nadznaczeniowości rzeczywistości, która już nie istnieje, i ciała, które nigdy nie istniało. Nasza kultura ciała, dążąca do „wyraże-

nia” „pożądań” ciała, zajęta ich stereofonią, jest kulturą nieuleczalnej potworności i obsceniczności.

Hegel: „Jak, mówiąc o zewnątrz ludzkiego ciała, stwierdziliśmy, że na całej jego powierzchni, w przeciwieństwie do powierzchni ciała zwierząt, ujawnia się obecność bijącego serca, tak powiadamy o sztuce, że jej zadaniem jest takie tworzenie, by wszystkie punkty powierzchni zjawiska, wygląd, tworzyły oko, siedlisko duszy, która sama w ten sposób staje się widoczna dla ducha”. A więc żadnej nagości, żadnego ciała, które byłoby zwyczajnie nagie, i w ogóle żadnego ciała. Zupełnie jak w odpowiedzi Indianina, którego Biały spytał, dlaczego biega nago: „U mnie to wszystko jest twarz”. Ciało w kulturze nefetyzystycznej (takiej, która nie fetyszyzuje nagości jako prawdy obiektywnej) nie jest, jak u nas, przeciwieństwem twarzy, która ma wyłączność na pełnię ekspresji i jest wyposażona w oczy: całe jest ciałem i na nas patrzy. Nie jest więc obsceniczne, to znaczy widziane jako nagie. Jego nagości nie sposób ujrzeć, podobnie jak w naszej kulturze nagości twarzy, albowiem ciało jest symboliczną zasłoną i niczym innym, i właśnie owa gra zasłon, w której ciało „jako takie” zostaje przekreślone, to uwodzenie. I właśnie na tej grze polega uwodzenie, a nie na zrywaniu zasłon w imię przejrzystości, pożądania lub prawdy.

Nierozróżnialność ciała i twarzy w kulturze zdominowanej przez pozory – rozróżnienie między twarzą a ciałem w kulturze znaczenia (tutaj ciało staje się w sposób potworny widzialne, staje się znakiem potwora zwanego pożądaniem) – potem całkowity triumf w pornografii ciała obscenicznego, aż do zatarcia twarzy: modele erotyczne czy aktorzy porno są pozbawieni twarzy, nie mogą być piękni, brzydki czy ekspresyjni – jednego z drugim pogodzić nie sposób – funkcjonalna nagość zacierca wszystko w „widowiskowości” seksu. Niektóre filmy to tylko cielesne efekty dźwiękowe połączone ze zbliżeniami kopulacji: znikają z nich nawet ciała, rozmyte w obrazach wyolbrzymionych detali. Twarz jest tu nie na miejscu, gdyż zakłóca obsceniczność i ponownie wprowadza znaczenie tam, gdzie wszystko zmierza do jego uchylecia w nadmiarze seksu i upojeniu nicością.

Pod koniec tej degradacji zmierzającej do porażającej oczywistości ciała (i jego „pożądania”) wyglądy są już pozbawione

tajemnicy. Kultura desublimacji wyglądów: wszystko się w niej materializuje pod najbardziej obiektywną postacią. Kultura porno *par excellence* – ta, która zawsze i wszędzie tropi działanie realności. Kultura porno ze swoją ideologią konkretności, faktyczności i pożytku, materialną infrastrukturą rzeczy, ciałem jako materialną infrastrukturą pożądania. Kultura jednowymiarowa, w której miarę wywyższenia stanowi „konkret produkcji” lub konkret rozkoszy – nieograniczona mechaniczna praca lub takież kopulacja. Obsceniczność tego świata polega na tym, że nic nie zostaje w nim pozostawione wyglądowi bądź przypadkowi. Wszystko jest w nim znakiem widzialnym i koniecznym. Jest to świat lalek z genitaliami, lalek, które siusiają, mówią i któregoś dnia będą uprawiać miłość. Reakcja dziewczynki: „Moja młodsza siostrzyczka także wie, jak to się robi. Może mi pan dać prawdziwą?”.

Od dyskursu pracy do dyskursu seksu, od dyskursu siły wytwórczej do dyskursu popędu, wszędzie to samo ultimatum, ultimatum *pro-dukcji* w dosłownym znaczeniu tego terminu. W pierwotnym znaczeniu nie było to wytwarzanie, lecz uwiadczenie lub wyjawianie i ukazywanie. Seks *pro-dukuje* się tak samo jak dokument albo tak jak się mówi o aktorze, który *pro-dukuje* się na scenie.

Produkować to tyle, co przemocą materializować coś, co należy do innego porządku, porządku tajemnicy i uwodzenia. Uwodzenie – *séduction* – zawsze i wszędzie występuje jako przeciwieństwo produkcji – *production*. Uwodzenie zabiera coś z porządku widzialnego, produkcja buduje wszystko na widoku, niezależnie od tego, czy jest to przedmiot, liczba czy pojęcie.

Wszystko jest efektem produkcji, wszystko musi być czytelne, wszystko musi być rzeczywiste, widzialne, policzalne, przekładalne na kategorie siły, systemów pojęć czy wymiernej energii; wszystko musi być wypowiedalne, musi dać się gromadzić, układać i utrwać: taki jest seks w porno, a ogólniej zamysł całej naszej kultury, w której obsceniczność jest stanem naturalnym: kultury ukazywania, dowodzenia i produkcyjnej potworności.

Ani śladu w tym uwodzenia, także w pornografii, biorąc pod uwagę żywiołową produkcję aktów płciowych, dziką rozkosz uobecnienia. Nie ma nic uwodzicielskiego w twarzach przenikanych przez spojrzenie, dosłownie wessanych przez próżnię przezroczyści – podobnie ani cienia uwodzenia w świecie produkcji, w którym zasada przezroczyści rządzi siłami należącymi do świata zjawisk widzialnych, policzalnych – przedmiotów, maszyn, aktów płciowych czy produktu narodowego brutto.

Nierozstrzygalna dwoistość: pornografia kładzie kres uwodzeniu poprzez seks, a jednocześnie kładzie kres seksowi poprzez nagromadzenie jego znaków. Triumfalna parodia i udawana agonia: na tym polega jej dwuznaczność. W tym też sensie porno jest prawdziwe: to, czym jest, zawdzięcza systemowi odwodzenia od seksu przez halucynacje, odwodzenia od realności przez hiperrealność, odwodzenia od ciała przez jego wymuszoną materializację.

Pornografię zazwyczaj krytykuje się z dwóch powodów: że manipuluje seksem w celu rozładowania walki klas (niezmienne historia „falszywej świadomości”) i że psuje seks – prawdziwy, dobry, wyzwalający, stanowiący część prawa naturalnego. A więc porno albo maskuje prawdę kapitału i infrastruktury, albo prawdę seksu i pożądania. Otóż porno nie maskuje niczego (i w tym właśnie rzecz) – nie jest ideologią, to znaczy nie ukrywa prawdy, jest symulakrą, to znaczy efektem prawdy maskującym to, że ona sama nie istnieje.

Pornografia mówi: gdzieś istnieje dobry seks, ponieważ jestem jego karykaturą. Stanowi groteskowo-obsceniczną próbę ocalenia prawdy seksu, wspierającą wiarygodność słabnącego modelu seksualnego. Albowiem cała kwestia sprowadza się do tego, czy dobry seks istnieje, czy seks po prostu istnieje, seks jako idealna wartość użytkowa ciała, seks jako potencjalna rozkosz, która może i musi zostać „wyzwolona”. To samo pytanie zadaje się ekonomii politycznej: czy poza wartością wymienną, pojmowaną jako nieludzka abstrakcja kapitału, istnieje idealna wartość dóbr bądź stosunków społecznych, które można i należy wyzwolić?

Uwodzenie i wytwarzanie

Pornografia to w istocie rzeczy tylko paradoksalna granica seksualności. Realistyczne „wyolbrzymienie”, maniackalne naręctwo realności: to obsceniczność w etymologicznym i wszelkim innym znaczeniu tego słowa. Ale czy sama seksualność nie jest już wymuszoną materializacją? Czy ekspansja seksualności nie wpisuje się po prostu w realistyczne nastawienie Zachodu, właściwą naszej kulturze obsesyjną skłonność do tego, by wszystko traktować instrumentalnie?

To absurdalne, że w refleksji o innych kulturach wyodrębnia się religię, gospodarkę, politykę i system prawny, to znaczy społeczne i inne wymyślne kategorie, skoro takie podziały nie funkcjonują, a kultury, które chcemy za ich pomocą lepiej „zrozumieć”, zarażamy niczym roznosiciele chorób wenerycznych. Podobnie absurdalne jest autonomizowanie seksualności jako odrębnej instancji, jako nieredukowalnej danej, do której należałoby sprowadzać wszystko inne. Niezbędna okazuje się krytyka rozumu seksualnego, a raczej jego genealogia, na wzór Nietzscheańskiej genealogii moralności, chodzi wszak o naszą nową moralność. Do seksualności można by odnieść to, co się mówi o śmierci: „jest fałdą, z którą świadomość oswoiła się całkiem niedawno”.

Konsternację i współczucie wywołują w nas kultury, dla których akt płciowy nie jest celem samym w sobie, dla których seksualność nie jest śmiertelnie poważną sprawą energii, którą trzeba wyzwolić, ejakulacji, którą trzeba sprowokować, produkcji za wszelką cenę czy higienicznej ekonomii ciała. Te kultury, które zachowały rozbudowane procedury uwodzenia i zmysłowości, w których seksualność to jedna z usług w sekwencji darów i rewanży, a akt miłosny to tylko ewentualnie zwieńczenie owych gestów odwzajemniania, wykonywanych w ramach z góry określonego rytuału. Dla nas nie ma to już sensu, dla nas seksualność to już tylko i wyłącznie spełnienie pożądania w rozkoszy, a cała reszta to literatura. Niezwykłość krystalizacji wokół funkcji orgiastycznej, a ogólnej – wokół funkcji energetycznej.

Tworzymy kulturę przedwczesnego wytrysku. Uwodzenie i towarzyszący mu rozbudowany rytuał, wszelkie jego techniki – wszystko to zostaje stopniowo wyparte przez znaturalizowany imperatyw seksualności, dążenie do natychmiastowego spełnienia, imperatyw pożądania. Punkt ciężkości wyraźnie przemieścił się w stronę ekonomii popędu, w której jest miejsce już tylko na naturalizację pożądania, pożądania posłusznego popędowi czy realizującego się w mechanicznym działaniu, nade wszystko jednak posłusznego wyobraźni wyparcia i wyzwolenia.

Dlatego nikt już nie mówi: „Masz duszę, która musi zostać zbawiona”, lecz:

„Masz seks i musisz zrobić z niego dobry użytek”
„Masz nieświadomość i twoje id musi przemówić”
„Masz ciało i musisz czerpać z niego rozkosz”
„Masz libido i musisz nim dysponować” etc.

Ten przymus upłynniania, przepływu, przyśpieszonej cyrkulacji psychicznej, seksualności i cielesności jest dokładną repliką przymusu panującego w świecie wartości wymiennych: kapitał musi być w obiegu, nie ma mowy o żadnej stałości, ciąg inwestowania i reinwestowania musi działać nieprzerwanie, a wartość musi stale się rozchodzić – w takiej formie obecnie realizuje się wartość i seksualność, jej model zostaje określony przez sposób jej funkcjonowania na poziomie ciała.

Seksualność jako model przybiera formę indywidualnego przedsięwzięcia opartego na energii naturalnej: każdemu jego pożądanie i oby najlepszy zwyciężył (w dziedzinie rozkoszy). Jest to też forma cechująca kapitał i dlatego właśnie seksualność, pożądanie i rozkosz są wartościami podrzędnymi. Jako system odniesienia pojawiły się na horyzoncie kultury zachodniej nie tak dawno temu, od razu jako wartości upadłe, rezidualne – ideał klas niższych, mieszczaństwa, potem drobnomieszczaństwa – w stosunku do arystokratycznych wartości, jakimi były urodzenie i krew, męstwo i uwodzicielskość, czy wartości zbiorowych, religijnych i tych związanych z obrzędami.

Zresztą jedyna realność ciała, tego ciała, do którego nieustannie odsyłamy, zostaje wytyczona przez seksualność i model

oparty na produkcji. To właśnie kapitał jednym i tym samym gestem powołuje do życia przepełnione energią ciało sił wytwórczych oraz to, o którym dziś marzymy jako o sanktuarium pożądania i nieświadomości, psychicznej energii i popędu, posłusznego popędowi ciało sterowane przez elementarne procesy – ciało, które samo stało się elementarnym procesem, a tym samym antyciałem, podstawowym odniesieniem rewolucji. Oba te ciała tworzą się równocześnie w procesie wyparcia, a ich wyraźne przeciwieństwo oznacza w istocie wzajemne podwojenie. Odkrycie w skrytości ciała „uwolnionej” energii popędu, będącej przeciwieństwem spętanej energii ciał produkcyjnych, odkrycie w pożądaniu fantazmatycznej i popędowej prawdy ciała, nadal oznacza jedynie eksplorowanie psychicznej metafory siedliska.

Tym jest pożądanie, tym jest nieświadomość: rumowiskiem ekonomii politycznej, psychiczną metaforą siedliska. Zaś seksualna jurysdykcja to tylko fantazmatyczne poszerzenie powszechnego ideału własności prywatnej, gdzie każdemu przypisano pewną ilość kapitału do zarządzania: kapitału psychicznego, popędowego, seksualnego czy nieświadomościowego, za który każdy będzie odpowiadał przed samym sobą z punktu widzenia własnego wyzwolenia.

Fantastyczna redukcja uwodzenia. Owa seksualność przekształcona przez rewolucję pożądania, owa produkcyjność ciała i cielesny obieg uzyskały swoją obecną postać i doczekały się omówień w kategoriach „stosunków seksualnych” jedynie dzięki temu, że w zapomnienie poszły wszelkie formy uwodzenia – na takiej samej zasadzie o tym, co społeczne, mówi się w kategoriach „stosunków” czy „stosunków społecznych” dopiero po całkowitym zaniku treści symbolicznych.

Funkcjonalizacja seksu i podniesienie go do rangi autonomicznej instancji niezmiennie powoduje zanik uwodzenia. Dlatego współcześnie seks na ogół funkcjonuje jako uwodzenie nieudane, choć bywa także traktowany jako pozostałość i inscenizacja uwodzenia bezskutecznego. Stąd nieobecna forma uwodzenia staje się przedmiotem seksualnej halucynacji objawiającej się pożądaniem. Współczesna teoria pożądania wyrosła na gruzach uwodzenia.

Odtąd miejsce formy uwodzicielskiej zajmuje proces produkcyjny i „ekonomia” seksu: retrospektywa popędu, halucyna-

cyjna wizja nieświadomości jako magazynu energii seksualnej, w którym zapisują się akty wypierania i wyładowania pożądania: wszystko to i ogólnie psychika jest wynikiem autonomizacji formy seksualnej – podobnie jak kiedyś naturę i ekonomię traktowano jako osad w autonomicznej formie produkcyjnej. Natura i pożądanie, obie wyidealizowane, zamieniły się miejscami w postępowych schematach wyzwolenia, kiedyś wyzwolenia sił produkcyjnych, a dzisiaj ciała i seksu.

A więc narodziny seksualności, dyskursu seksualnego, tak jak kiedyś narodziny kliniki, klinicznego spojrzenia – miały miejsce tam, gdzie przedtem nie było niczego – z wyjątkiem form pozostających poza kontrolą, dziwacznych, niestabilnych, czy bardzo zrytualizowanych. Gdzie zatem również nie było wyparcia, a tym przecież obciążyliśmy wszystkie dawne społeczeństwa znacznie bardziej niż nasze współczesne. Patrzymy na nie przez pryzmat cywilizacji technicznej i krytkujemy jako formy prymitywne, także z punktu widzenia psychiki i seksualności, gdyż nie znały ani pojęcia seksualności, ani nieświadomości. Na szczęście psychoanalizie udało się unieść to brzemień i ujawnić to, co było ukryte, niesamowity rasizm prawdy, ewangeliczny rasizm Słowa i zapowiedzi jego nadejścia.

Jeśli seksualność nie ujawnia się pod własną postacią, traktujemy ją w kategoriach wyparcia i w ten sposób ją ocalamy. A jednak mówienie o seksualności wypartej czy poddanej sublimacji w odniesieniu do społeczeństw prymitywnych, feudalnych itp., czy w ogóle mówienie o „seksualności” i nieświadomości jest w tym przypadku oznaką bezdennej głupoty. Przecież nie wiadomo nawet, czy ten psychoanalityczny klucz pasuje do naszego społeczeństwa. Na tej podstawie, to znaczy podważając samą hipotezę seksualności, kwestionując traktowanie seksu i pożądania jako instancji autonomicznych, można się zgodzić z Foucaultem i stwierdzić (choć nie z tych samych powodów), że także w naszej kulturze nie ma i nigdy nie było żadnego wyparcia.

Seksualność w takiej postaci, w jakiej nam się objawia, w jakiej się wyraża, jest bez wątpienia, podobnie jak ekonomia polityczna, tylko montażem, symulacją, zawsze przekraczaną, udaremnianą, przewyższaną przez praktyki każdego systemu. Spo-

istość i przejrzystość *homo sexualis* była czymś bezspornym, tak samo jak spoistość i przejrzystość *homo oeconomicus*.

Jest to długi proces, ustanawiający i psychiczność, i seksualność, który tworzy „drugą scenę”, scenę fantazji i nieświadomości, a zarazem wzbudza w niej energię, psychiczną energię będącą prostym następstwem udratyzowanej halucynacji wypierania, energię wykreowaną w halucynacji jako seksualna treść, metaforyzowana następnie i metonimizowana zgodnie z różnymi zabiegami tematycznymi, ekonomicznymi itp., zgodnie z modalnościami kolejnych wyparć – zachwycający gmach psychoanalizy, najpiękniejszej halucynacji zaświata, jak powiedziałby Nietzsche. Nadzwyczajna skuteczność tego modelu symulacji energetycznej i scenicznej – niezwykła teoretyczna psychodrama, inscenizacja psychiki, scenariusz przedstawiający płeć jako instancję, nieprzewycięzalną realność (w innych modelach hipostazuje się produkcję). Nie ma zresztą znaczenia, na czyj koszt odbywa się ta inscenizacja – ekonomii, biologii czy psychiki – najważniejsza jest tu „scena” czy też „druga scena”, bo zakwestionować należy cały ten scenariusz seksualności (i psychoanalizy) jako modelu naśladowania.

Prawdą jest, że w naszej kulturze seksualność zatriumfowała nad uwodzeniem i zaanektowała je jako formę służebną. W naszym instrumentalnym ujęciu wszystko się zmienia, ponieważ w porządku symbolicznym na pierwszym miejscu stoi uwodzenie, seks pojawia się jako dodatek. Tutaj seks funkcjonuje tak, jak wyzdrowienie w kuracji psychoanalitycznej albo poród w opowieści Lévi-Straussa: następuje dodatkowo, bez związku z przyczyną i skutkiem. Na tym polega tajemnica „skuteczności symbolicznej”: to, co zachodzi w świecie, jest wynikiem mentalnego uwiedzenia – na tej zasadzie rzeźnik Czuang-Tseu potrafił opisać strukturę tkanki śródmiąższowej wołu bez użycia noża: drogą rozumowania symbolicznego, które dodatkowo przyniosło praktyczny rezultat.

Również uwodzenie działa poprzez takie symboliczne połączenie, dwoiste powinowactwo ze strukturą innego – dodatkowo może się z tym wiązać seks, choć niekoniecznie. Uwodzenie po-

legałoby raczej na wezwaniu do samego zaistnienia w porządku seksualnym. Stąd być może nasze „wyzwolenie” oznacza jedynie pozorny triumf, skoro spowodowało odwrócenie kategorii i skutecznie podważyło porządek uwodzenia. Kwestia ostatecznej wyższości logiki rytuału i wyzwania nad logiką ekonomii, płci i produkcji pozostaje nierozstrzygnięta.

Wszelkie rewolucje bowiem i akcje wyzwolicielskie są nie trwałe, uwodzenie zaś działa w sposób nieodparty. To ono na nie czyha: rewolucja nieuchronnie zostaje poddana działaniu potężnych uwodzicielskich komplikacji, które odwodzą je od jej prawdy – nawet gdy ostatecznie zwycięża. Podobnie zagrożenie czyha na dyskurs seksualny, który niekiedy przemawia wbrew swym intencjom

W pewnym amerykańskim filmie facet podrywa dziewczynę, nienachalnie, kulturalnie. Dziewczyna reaguje agresywnie: „– *What do you want? Do you want to jump me? Then, change your approach! Say: I want to jump you!*”. Na co facet zażenowany: „– *Yes, I want to jump you. – Then, go fuck yourself!*”. A później, gdy wiezie ją swoim samochodem: „– *I make coffee, and then you can jump me*”, itd. Ta cyniczna rozmowa, prowadzona, na pierwszy rzut oka, bez osłonek, epatująca fizjologią i pozbawiona niuansów w istocie jest tylko grą. Grę, prowokację, wyzwanie przemyca między wierszami. Właśnie ta jej brutalność zawiera bogactwo niuansów i wzajemnego zrozumienia. To nowy sposób uwodzenia.

Albo taka historia z *The Schizos' Ball* Philipa K. Dicka:

„– Zabierz mnie do siebie i zerznij.

– Jest coś nieuchwytnego w twoim słownictwie, coś, co pozostawia wiele do życzenia”.

Możemy to rozumieć następująco: twoja propozycja jest nie do przyjęcia, nie ma w niej poezji pożądania, jest zbyt bezpośrednia. Jednak w pewnym sensie tekst wyraża coś wręcz przeciwnego: że w tej propozycji jest coś „nieuchwytnego”, co tym samym otwiera drogę pożądaniu. Bezpośrednia zachęta seksualna jest właśnie zbyt bezpośrednia na to, by była prawdziwa i automatycznie odsyła do czegoś innego.

W pierwszej wersji mamy ubolewanie nad obscenicznością rozmowy. W drugiej – już wyższe wyrafinowanie: zdolność do

zabawy sztuczką, która wykorzystuje obsceniczność jako uwodzicielski kostium, a więc jako „nieuchwytną” aluzję do pożądania, obsceniczności zbyt brutalnej na to, by była prawdziwa, zbyt chamskiej, by była nieuczciwa – obsceniczności jako wyzwania a więc znowu jako uwodzenia.

W gruncie rzeczy nie sposób oczekiwać samego seksu, budować wypowiedzi, której wyłącznym tematem byłby seks. Tak jak nie sposób uwolnić się od uwodzenia – dyskurs antyuwodzicielski okazuje się ostatnią metamorfozą dyskursu uwodzicielskiego.

Rzecz nie tylko w tym, że taki dyskurs realizujący żądanie samego seksu jest wykluczony, zważywszy na złożoności relacji uczuciowych, ale po prostu nie istnieje. Iluzja, jaką stwarza wiara w rzeczywistość seksu i w możliwość jej bezpośredniego wyrażenia – iluzja wszystkich dyskursów zakładających własną przezroczystość – dotyczy także dyskursu użytkowego, naukowego i każdego innego szukającego odniesienia w prawdzie: na szczęście jest on nieustannie podważany, rozprasany, niszczony, czy może raczej przechytrzany, sprzeniewierzany, uwodzony. Potajemnie zwraca się przeciwko sobie, potajemnie unieważnia go inna gra, o inną stawkę.

Oczywiście ani pornografia, ani transakcje seksualne nie mają nic wspólnego z uwodzeniem. Są nędzne – jak nagość i jak prawda. To odczarowane formy ciała, podobnie jak seks jest wypartą i odczarowaną formą uwodzenia, a wartość użytkowa odczarowaną formą przedmiotu i tak jak – już ogólniej – to, co rzeczywiste, jest wypartą i odczarowaną formą świata.

Ale także nagość nigdy nie zagrozi uwodzeniu, gdyż automatycznie staje się czymś innym, historycznym kostiumem innej gry, której cel znajduje się poza nią. Nie ma mowy o wyzerowaniu, obiektywnym odniesieniu, neutralności – jest tylko ciągle podbijanie stawki. Współcześnie wszystkie nasze znaki jakby zmierzają – tak jak ciało w nagości i znaczenie w prawdzie – do jakiejś definitywnej obiektywności, będącej entropijną i metastabilną formą neutralności – bo czymże innym jest emanujące idealną typowością nagie ciało wczasowicza zwrócone ku słońcu, wystawione na higieniczne wszak i neutralne działanie słońca i ta lucyferyczna parodia, jaką jest opalanie się. Zawsze jednak następuje wstrzymanie znaków w punkcie wyzerowania te-

go, co realne i neutralne, a więc czy samo *neutrum* nie zostaje przeniecone i włączone w ponownie uruchomioną spiralę podbijania stawek, uwodzenia i śmierci?

Jaką siłę uwodzicielską kryje w sobie seks? Co w tej mierze przyniesie, jakie jeszcze wyzwanie, przekreślenie tego, co dawniej wyznaczało stawkę seksualności? (Czy też, na innej płaszczyźnie: czym fascynuje i jakie wyzwanie niesie masowość, przekreślenie tego, co dawniej wyznaczało stawkę społecznienia?).

Być może błędne są opisy odczarowanych systemów, hipotezy formułowane na ich temat, na temat epidemii naśladownictwa i odwodzenia, oraz te, które mówią o erozji procesów symbolicznych i śmierci referencyjności. Neutralność nigdy nie jest neutralna, skoro fascynuje. Ale czy to oznacza, że ponownie da się ją uwieść?

Logika uwodzenia i agonu, logika rytuału przewyższa seks. Seks, podobnie jak władza, nigdy nie ma ostatniego słowa. I właśnie na tej zasadzie w *Imperium zmysłów*, filmie, którego treścią od początku do końca jest akt płciowy, uparcie eksponowana rozkosz zostaje opanowana przez logikę pochodzącą z zupełnie innego porządku. Ten film jest niezrozumiały, jeśli postrzega się go wyłącznie przez pryzmat seksualności, ponieważ rozkosz oczywiście kończy się wszystkim tylko nie śmiercią. Jednakże szaleństwo ogarniające kochającą się parę (będące szaleństwem tylko dla nas, gdyż faktycznie panuje tam żelazna logika) popycha ich do skrajności, gdzie nie chodzi już o sens, a doświadczenie zmysłowe pod każdym względem traci swój zmysłowy charakter. Nie jest to również doświadczenie mistyczne czy metafizyczne. To logika wyzwania, wyzwolona przez kochanków licytujących się w zmysłowości. Wydarzeniem zasadniczym jest tutaj, ściśle rzecz biorąc, przejście od logiki rozkoszy, od której wszystko się zaczyna i zgodnie z którą mężczyzna prowadzi grę, do logiki wyzwania i śmierci, która następuje z inicjatywy kobiety przyjmującej rolę pani tej gry, mimo iż początkowo była tylko obiektem seksualnym. To właśnie w ten sposób za sprawą kobiecości następuje przeniecenie wartości seksualnej w logikę uwodzenia i agonu.

Nie ma to nic wspólnego z perwersją czy chorym popędem, ani z Erosem i Tanatosem czy z ambiwalencją pożądania, czy z jakąś interpretacją pochodzącą z naszych psychoseksualnych rubieży. Nie jest to kwestia seksu czy podświadomości. Stosunek płciowy jest postrzegany jako akt rytualny, ceremonialny czy wojenny, którego obligatoryjnym rozwiązaniem (tak jak w tragediach antycznych traktujących o kazirodztwie) jest śmierć – symbol podjętego wyzwania.

A zatem obsceniczność może uwodzić, tak jak uwodzić mogą seks i rozkosz. Nawet najbardziej antyuwodzicielskie figury mogą stać się figurami uwodzenia (o dyskursie feministycznym mówiono, że choć jest kompletnie nieuwodzicielski, to jednak zawiera pewien homoseksualny wabik). Wystarczy przemieścić je poza ich prawdziwość i ulokować w odwracalnej konfiguracji zapowiadającej zarazem ich śmierć. To samo dotyczy owej nieuwodzicielskiej *par excellence* figury władzy.

Władza uwodzi. Nie w pospolitym sensie pożądania mas, pożądania współdziałania (tautologia, która powraca, by ugruntować uwodzenie w pożądaniu innych): nie – władza uwodzi ową przenikającą ją odwracalnością, która uruchamia cykl na minimalnym poziomie. Nie ma już rządzących i rządzonych ani oprawców i ofiar (oczywiście „wyzyskiwacze” i „wyzyskiwani” istnieją, choć zupełnie odrębnie, gdyż w produkcji nie ma mowy o odwracalności, toteż na tej płaszczyźnie nic istotnego się nie dzieje). Żadnego odosobnionego stanowiska: władza spełnia się zgodnie z paradygmatem pojedynku – rzuca społeczeństwu wyzwanie i sama spotyka się z takim wyzwaniem z jego strony. Jeśli władzy nie można „zmienić” zgodnie z owym minimalnym cyklem uwodzenia, wyzwania i wybiegu, władza najzwyczajniej znika.

W gruncie rzeczy władza nie istnieje: nie ma jednostronnych stosunków sił, na których wznosi się „struktura” władzy, jej „realność” i jej nieustanna dynamika. Tak wygląda marzenie o władzy narzuconej przez rozum, a nie jej realność. Wszystko zmierza do śmierci. Władza też. A raczej wszystko pragnie się zmieniać, przeniecować, uczestniczyć w cyklu znoszenia (dla-

tego w istocie nie ma ani wyparcia, ani nieświadomości, gdyż odwracalność jest ustawiczna). I to właśnie jest dogłębnie uwodzicielskie. Władza uwodzi tylko wtedy, gdy poniekąd sama dla siebie staje się wyzwaniem – w przeciwnym razie jest tylko wprawką i zaspokaja jedynie hegemoniczną logikę rozumu.

Uwodzenie jest silniejsze od władzy, gdyż jest procesem odwracalnym i śmiertelnym, natomiast władza pragnie być odwracalna i tak jak wartość chce kumulować się i umierać. Przejmuje wszelkie złudzenia rzeczywistości i produkcji, pragnie być realna, a zarazem chętnie staje się własnym wyobrażeniem i popada w przesady na swój temat (przy pomocy teorii, które ją analizują, choćby po to, by przeciwko niej wystąpić). Natomiast uwodzenie nie należy do porządku rzeczywistości i w ogóle nie ma nic wspólnego z porządkiem siły czy dotyczących jej zależności. Ale z tego też względu jest uwikłane we wszystkie realne procesy władzy, jak również w rzeczywistość produkcji, za sprawą swojej odwracalności i nieakumulacyjności, bez których nie byłoby ani władzy, ani produkcji.

Za władzą czai się próżnia, może nawet drąży sam jej środek, tak jak i rdzeń produkcji, i to właśnie ona ocala dzisiaj ostatni przeblysłk rzeczywistości. Bez tego, co je obraca na nice, uchyla, uwodzi, i władza, i produkcja nigdy nie cieszyłyby się powagą rzeczywistości.

Zresztą rzeczywistość nigdy nikogo nie interesowała. Jest miejscem odczarowania, miejscem, w którym symulakra gromadzenia zostaje przeciwstawiona śmierci. Nic gorszego. Niekiedy właśnie czające się w tle wyobrażenie katastrofy sprawia, iż rzeczywistość, prawda zaczynają fascynować. Czy władza, ekonomia, seks, wszystkie te wielkie prawdziwe historie funkcjonowałyby choćby przez chwilę, gdyby nie wspierająca jej fascynacja, fascynacja wywołana właśnie przez lustrzany obraz, w którym się odbijają, ich ustawiczną odwrotnością, zmysłową rozkoszą, jaką zapowiada ich nieuchronny koniec?

Realność – zwłaszcza dzisiaj – to tylko usypisko martwej materii, martwych ciał, martwego języka – osadzanie się szczątków. Współcześnie możliwość oszacowania zapasu rzeczywistości (ekologia lamentuje nad materialnymi energiami, lecz ukrywa, że za horyzontem gatunku ginie realność tego, co rzeczywiste

i możliwości zarządzania tym na sposób kapitalistyczny lub rewolucyjny) daje nam poczucie pewności siebie: o ile horyzont produkcji zaczyna zanikać, o tyle na horyzoncie mowy, seksu, pożądania może pojawić się zapowiedź zmiany. Wyzwalanie, dawanie rozkoszy, przemawianie do innych i ich wysłuchiwanie – oto realność, coś, co posiada treść, oto rezerwa na przyszłość. A więc także i władza.

Lecz niestety, nie na długo. Owa „realność” stopniowo niszczy. Seksu pragnie się tak samo jak władzy, żeby stać się nieodwracalną instancją, pożądaną nieodwracalnej energii (zapasu energii – pożądanie, dodajmy, nigdy nie leży daleko od kapitału). Albowiem zgodnie z naszym wyobrażeniem, sens nadajemy tylko temu, co jest nieodwracalne: gromadzeniu, postępowi, wzrostowi, produkcji. Wartość, energia i pożądanie są odwracalne – w tym właśnie tkwi sens ich wyzwolenia. (Wstrzyknijmy choćby minimalną dawkę odwracalności w nasze mechanizmy ekonomiczne, polityczne, instytucjonalne, seksualne, a wszystko od razu się zawali). Oto co współcześnie zapewnia seksualności ową mityczną władzę nad ciałem i sercami. Ale też to właśnie określa kruchość jej i całego gmachu produkcji.

Uwodzenie to siła potężniejsza niż produkcja. Potężniejsza niż seksualność, z którą żadną miarą nie należy go mylić. Nie jest immanentnym procesem seksualności, choć do niej powszechnie jest sprowadzane. Jest procesem kołowym, odwracalnym, jest wyzwaniem, które wywołuje licytację, wyzwaniem rzuconym śmierci. To, przeciwnie, seksualność jest zredukowaną formą uwodzenia, opisywaną w energetycznych kategoriach pożądania.

Uwikłanie uwodzenia w procesy produkcji i władzy, przenikanie, choćby minimalne, porządku odwracalnego we wszelkie nieodwracalne procesy, skrycie w ten sposób demontowane i niszczone, i zapewniające zarazem podtrzymanie ciągłości rozkoszy, bez której byłyby niczym – wszystko to wymaga analizy. Nie zapominajmy jednak o tym, że produkcja niezmiennie dąży do wyeliminowania uwodzenia, ażeby zaszcześcić się na czystej ekonomii stosunków między siłami – i że seks, produkcja seksu, dąży do wyeliminowania uwodzenia, ażeby ugruntować się na czystej ekonomii stosunków pożądania.

Dlatego też należy całkowicie odwrócić wywód Foucaulta z *Woli wiedzy*, akceptując jednakże jego zasadniczą hipotezę. Gdyż Foucault uwzględnia jedynie produkcję seksu jako dyskursu i fascynuje go nieodwracalne rozwinięcie i szczelinowe nasycanie pola mówienia, będącego zarazem polem instytucji władzy, znajdującej zwiędzenie w polu wiedzy, która ją odzwierciedla (bądź wymyśla). Ale skąd władza czerpie swoją somnambuliczną funkcjonalność, to nieodparte powołanie do szczelinowego nasycania przestrzeni? Jeśli społecznienie i seksualność funkcjonują tylko o tyle, o ile władza je kultywuje i inscenizuje, to może i sama władza funkcjonuje tylko o tyle, o ile ją kultywuje i inscenizuje wiedza (teoria) – w takim razie całość wypadłoby umieścić w dziedzinie naśladowania i odwrócić to zbyt doskonałe lustro, nawet jeśli wytwarzany przez nie „efekt prawdziwości” okazuje się cudownie czytelny.

Ale nie koniec na tym, bo czy zrównanie władzy i wiedzy, ta zbieżność ich mechanizmów, które, jak się nam wydaje, rządzą całym oczyszczonym przez nią polem, to połączenie przedstawione przez Foucaulta jako pełne i funkcjonalne, nie jest aby koniunkcją dwóch śmiertelnych gwiazd, które nawzajem się oświetlają ostatnimi błyskami, gdyż utraciły już własne światło? Władza i wiedza w charakterystycznych dla siebie początkowych fazach stanowią często gwałtowne przeciwieństwo (tak samo zresztą jak władza i seks). Ale czy współcześnie nie zachodzą aby na siebie w efekcie postępującego zaniku zasady ich rzeczywistości, ich cech charakterystycznych, właściwej im energii? Ich koniunkcja zapowiadałaby zatem nie pozytywne podwojenie, lecz bliźniacze zobojętnienie, u kresu którego pozostawia po sobie jedynie nawiedzające nas połączone widma.

Za tą pozorną *stasis* władzy i wiedzy, która chyba wszędzie się ujawnia, kryje się w gruncie rzeczy jedynie *metastasis* władzy, nowotworowe rozprzestrzenianie się struktury już rozchwianej i zdeorganizowanej, a jeśli władza ma charakter powszechny i współcześnie można ją wykryć na wszystkich poziomach (władza „molekularna”), jeśli zaczyna toczyć jak rak i w sposób niekontrolowany rozprzestrzeniać swoje komórki, nie słuchając już starego, dobrego „kodu genetycznego” polityki, to w końcu zaraża się sama i popada w stan pełnej de-

kompozycji. Chyba że cierpi ponadto na hiperrealność i przeżywa poważny kryzys naśladownictwa (nowotworowe rozprzestrzenianie się samych znaków władzy) i zgodnie z tym osiągnęła stan powszechności i nasycenia. Stan somnambulicznej funkcjonalności.

A więc zawsze i wszędzie należy tropić symulację, zaglądać pod podszewkę znakom, które traktowane nominalnie i w dobrej wierze zawsze poprowadzą nas do rzeczywistości i oczywistości władzy. Tak samo jak poprowadzą nas do rzeczywistości i oczywistości seksu i produkcji. Owego pozytywizmu nie można traktować nominalnie i wysiłki należy skupić na odwracalności władzy w procesie symulacji. Na taką hipotezę władza sama z siebie nigdy się nie zdobędzie, toteż tekst Foucaulta należy skrytykować za to, że jej nie postawił, a więc za to, że odnowił iluzję władzy.

Całość – którą przenika obsesja nieograniczonej władzy i takżej seksualności – należy zakwestionować dlatego, że tchnie pustką: obsesja władzy jako nieustannej ekspansji i zaangażowania zmusza do postawienia pytania dotyczącego ponownego przekształcenia przestrzeni władzy oraz przekształcenia przestrzeni seksualności i związanego z nią dyskursu; biorąc zaś pod uwagę fascynację produkcją, należy postawić pytanie dotyczące uwodzenia.

2. Otchłań powierzchni

Święty horyzont pozorów

Uwodzenie odbiera dyskursowi sens i odwodzi go od jego prawdy. Powoduje więc inwersję psychoanalitycznego rozróżnienia między dyskursem jawnym a dyskursem ukrytym. Albowiem dyskurs ukryty nie odwodzi dyskursu jawnego od jego prawdy, lecz właśnie ku niej go zwraca. Za jego sprawą dyskurs jawny wyraża to, co leży poza jego intencją, i ujawnia swoje głębokie uwarunkowania i nieokreśloności. Zza rozstępu zawsze przezierną głębia, zza linii zawsze ujawnia się sens. Dyskurs jawny ma status wypracowanego pozoru, poprzez który przebijają się sensy. Interpretacja zaś narusza ów pozór i zakłóca grę dyskursu jawnego, a tym samym podejmuje dyskurs ukryty i wyzwala sens.

Natomiast w uwodzeniu to dyskurs jawny, jako najbardziej „powierzchnowy”, zwraca się ku porządkowi głębokiemu (świadomemu lub nieświadomemu), ażeby go uchylić i w jego miejsce wprowadzić urok i wabik pozorów – nie w sensie frywolności, lecz gry i określającej ją stawki, namiętności związanej z odchyleniem – gdzie uwodzenie samych znaków staje się ważniejsze niż wyjawienie jakiejś prawdy – co interpretacja odsuwa i niszczy, poszukując ukrytych sensów. Dlatego interpretacja *par excellence* jest przeciwieństwem uwodzenia, a dyskurs interpretacyjny jest najmniej uwodzicielski ze wszystkich. Rzecz nie tylko w tym, że w nieobliczalny sposób pustoszy dziedzinę pozorów, lecz także w tym, że takie poszukiwanie ukrytego sensu, jakże uprzywilejowane, może się okazać dogłębnie zwodnicze. Dyskurs odwodzi nie to, co tkwi w jakimś *hinterwelt* czy w nieświadomości – albowiem tak naprawdę przemieszcza go i w sensie ścisłym „u-wodzi”, a także czyni uwodzicielskim, jego kształt, pozór – obłądny, szalony, rytualny obieg jego znaków na powierzchni, ich refleksy, niuanse, a więc to wszystko, co zaciera sens i tym samym uwodzi – sam sens dyskursu jeszcze nikogo wszak nie uwiódł. Każdy dyskurs, którego ostoją jest sensy, dąży do likwidacji pozorów – na tym polega

jego złudność i zwodniczość. Ale i to dążenie jest nieziszczalne: dyskurs zostaje nieuchronnie wydany na pastwę pozorów, a więc także gry uwodzenia i klęski, którą ponosi jako dyskurs. Ale kto wie, czy ta klęska nie jest jego stałą pokusą, skoro sam bierze w nawias własne cele, a jego prawdziwość jest pochłaniana przez powierzchnię, która pożera sens. I to dzieje się najpierw, gdy dyskurs uwodzi siebie, oryginalna forma, za której sprawą dyskurs sam się w sobie pogrąża i wypróżnia się ze swoich sensów, żeby tym skuteczniej fascynować innych: pierwotne uwodzenie językiem.

Każdy dyskurs przyczynia się do tego uniesienia, do uwodzicielskiego odwodzenia. Wszystkie pozory sprzysięgają się w walce przeciwko sensowi, wykorzeniają go, bez względu na to, czy był zamierzony, czy nie, i włączają go w grę, w grę toczącą się według innych reguł, bardziej arbitralnych, albo w jakiś inny nieuchwytny rytuał, bardziej zuchwały, bardziej uwodzicielski niż prosta linia sensu. Dyskurs walczy nie tyle z tajemnicą ukrytą w nieświadomości, ile z rozpościerającą się na powierzchni otchłanią własnego pozoru i triumfować ma jedynie nad lśniąca powierzchnią nie-sensu i całą grą, jaką on umożliwia, a nie nad obciążonymi znaczeniami i błędnymi interpretacjami fantazjami i halucynacjami. A dopiero co udało się wyeliminować ryzyko uwodzenia, zamknięte w przestrzeni horyzontu świętych pozorów, i zastąpić je ryzykiem „głębi”, nieświadomości, interpretacji. Ale ta zamiana jest nietrwała i przejściowa i nie wiadomo, czy obsesyjne zainteresowanie ukrytym dyskursem w psychoanalizie – która uogólnia interpretacyjny terrorizm i przemoc na wszystkich poziomach – czy ten mechanizm, za którego pomocą wyeliminowano (a przynajmniej starano się wyeliminować) uwodzenie, sam nie jest modelem symulacji – dość kruchym, który chce uchodzić za niezastąpiony, by skuteczniej ukryć skutki uboczne, zwłaszcza skutki uwodzenia, które zaczyna działać na jego szkodę. Albowiem psychoanalizie najbardziej szkodzi przekonanie, iż nieświadomość uwodzi, uwodzi za pomocą snów, za sprawą samego pojęcia, uwodzi, gdy „*id* przemawia”, a nawet gdy tylko chce przemówić. Tworzy się dwoista struktura, paralelna struktura wspólnoty znaków nieświadomości i ich wymiany, pożerająca inną – strukturę „pracy”

nieświadomości, czystego trwania, przeniesienia i przeciwprzeniesienia. Konstrukcja psychoanalityczna rozsypuje się pod wpływem uwodzenia, a wraz z nią cała reszta. Przyjmijmy na chwilę rolę psychoanalityka, by stwierdzić, że u źródeł psychoanalizy jako „nauki”, w postępowaniu samego Freuda tkwi zemsta za pierwotne wyparcie, wyparcie uwodzenia.

Dzieło Freuda rozpięte jest między dwiema skrajnościami, które zasadniczo podważają układ bezpośredni: między uwodzeniem i popędem śmierci. O tym ostatnim mówiliśmy już w pracy *L'Échange symbolique et la mort*, analizując go w kategoriach inwersji wcześniejszego instrumentarium psychoanalitycznego (tematycznego, ekonomicznego). Ze względu na potajemne pokrewieństwo, jakie po rozlicznych perypetiach połączyło uwodzenie z popędem śmierci, należy powiedzieć, iż jest ono jakby utraconym obiektem psychoanalizy.

„Tradycyjnie traktuje się porzucenie przez Freuda teorii uwiedzenia (1897) jako decydujący krok w rozwoju teorii psychoanalitycznej, jako że wysunęło ono na pierwszy plan pojęcia nieświadomej fantazji, rzeczywistości psychicznej, spontanicznej seksualności dziecięcej itp.”

(Laplanche i Pontalis, *Słownik psychoanalizy*)²

Uwiedzenie jako forma pierwotna zostaje w rozważaniach sprowadzone do statusu „pierwszej fantazji” i, co za tym idzie, traktowane – niezgodnie już ze swoją logiką – jako osad, pozostałość, formacja/ekran w triumfującej odtąd logice i strukturze psychiki i rzeczywistości seksualnej. Lecz zamiast traktować odnowienie uwiedzenia jako normalną fazę wzrostu, należy uznać je za wydarzenie zasadnicze i brzemiennie w następstwie. Jak wiadomo, uwiedzenie zniknie z dyskursu psychoanalitycznego, a ponownie pojawi się tylko po to, by na nowo dać się po-

² Jean Laplanche, J.-B. Pontalis, *Słownik psychoanalizy*, pod kierunkiem Daniela Lagache'a. Przeł. Ewa Modzelewska, Ewa Wojciechowska. Warszawa 1996, s. 350.

grzebać i popaść w zapomnienie – zgodnie z logiką powtórzenia założycielskiego aktu odmowy samego mistrza. Nie zostaje odłożone na bok jako zjawisko stosunkowo drugorzędne w porównaniu z bardziej zasadniczymi elementami, takimi jak seksualność wczesnodziecięca, wyparcie, kompleks Edypa, etc., zostaje odrzucone jako forma niebezpieczna, która potencjalnie może stanowić śmiertelne zagrożenie dla rozwoju i spójności późniejszej konstrukcji.

Identyczną historię jak u Freuda mamy u Saussure’a. Saussure także rozpoczął w *Anagramach* od opisu formy języka, a ściślej, wyniszczenia go – zrytualizowanej i skrupulatnej formy dekonstrukcji sensu i wartości. Następnie wycofał się z tego, by przejść do budowania lingwistyki. Czyżby wolta spowodowana jawnym fiaskiem przedsięwzięcia dowodowego, czy też odrzucenie wyzwania anagramatycznego i podjęcie konstruktywnego, trwalszego i bardziej naukowego sposobu wytwarzania sensu, wykluczenia jego ewentualnego zniszczenia? Co jednak ważne, to to, że u źródeł lingwistyki tkwi to nieodwołalne przedstawienie, które stanowi podstawę aksjomatu i fundamentalnej reguły dla wszystkich kontynuatorów dzieła de Saussure’a. Nie ma mowy o powrocie na miejsce zbrodni, a zapomnienie o pierwotnym zabójstwie stanowi gwarancję logicznego i triumfalnego rozwoju nauki. Cała energia żałoby i martwego przedmiotu przejdzie w naśladowcze zmartwychwstanie żywych. Należy jeszcze dorzucić, że Saussure, przynajmniej on, przeczuwał, iż jego językoznawcze przedsięwzięcie skończy się fiaskiem, zostawiając atmosferę niepewności i wrażenie słabości i iluzoryczności jakże pięknego mechanizmu substytucji. Jednakże tego rodzaju skrupuły, które zapowiadają cokolwiek przedwczesny i gwałtowny pochówek *Anagramów*, były najzupełniej obce spadkobiercom, którzy zadowolili się zarządzaniem schedą, nawet nie zastanawiając się nad ideą językowej otchłani, uwodzicielskiej otchłani języka, zupełnie innego mechanizmu, polegającego raczej na wchłanianiu sensów, a nie ich wytwarzaniu. Sarkofag lingwistyki szczelnie zapieczętowano i ponownie przykryto całunem *signifiant*.

A zatem psychoanalityczny całun ukrytych znaczeń, ukrytego nadmiaru znaczenia spowił psychoanalizę kosztem powierzchniowej otchłani pozorów, powierzchni wchłaniającej, migotliwej i wywołującej popłoch powierzchni wymiany i rywalizacji znaków, jaką tworzy uwiedzenie (której zaledwie „symptomatyczną” manifestacją, już skażoną przez ukrytą strukturę symptomu, a więc strukturę prapsychoanalityczną, zdegradowaną, jest histeria – dlatego może ona służyć samej psychoanalizie za „matrycę nawrócenia”). Także Freud przekreślił uwiedzenie i zamiast niego wprowadził wybitnie funkcjonalny mechanizm interpretacji, mający charakter wybitnie seksualny mechanizm wypierania, posiadający wszelkie cechy obiektywności i spójności (o ile pominąć wszystkie wewnętrzne wstrząsy psychoanalizy, wywoływane zarówno przez jej osobistości, jak i teorie, naruszające jej piękną spójność) – ażeby wszystkie wyzwania i uwiedzenia pogrzebane pod ścisłym porządkiem dyskursu ponownie nie wyszły na wierzch jak żywe trupy. Ale czy to nie oznacza, jak będą dowodzić pięknoduchy, że psychoanaliza gdzieś u spodu żyje? Freud przynajmniej zerwał z uwiedzeniem i opowiedział się za interpretacją (do czasu swojej ostatniej metapsychologii, która bardzo definitywnie zmierza w innym kierunku), lecz wszystko, co zostało wyparte za sprawą tego godnego podziwu gestu, ponownie wypływa w konfliktach i perypetiach składających się na historię psychoanalizy i ponownie wraca do gry w trakcie każdej kuracji (histeria nie kończy się nigdy!), stąd z niemalym rozbawieniem obserwuje się, jak uwiedzenie naciera wraz z Lacanem na psychoanalizę w ziemskiej formie gry sygnifikantów, od których psychoanaliza, spętana ścisłymi rygorami, mająca postać, jaką chciał jej nadać Freud, niechybnie umiera, jeszcze pewniej niż w wersji zbanalizowanej przez instytucje.

Uwiedzenie w wersji lacanowskiej nie jest oczywiście żadną mistyfikacją, lecz na swój sposób koryguje, naprawia i przynosi zadośćuczynienie za pierwotną mistyfikację samego Freuda, tę, która wiązała się z wykluczeniem formy/uwiedzenia na rzecz rzekomej nauki. Lacanowski dyskurs uogólniający uwodzicielską praktykę psychoanalizy poniekąd mści się za to wykluczone uwiedzenie, lecz w sposób, który sam jest skażony przez psycho-

analizę, to znaczy niezmiennie pod znakiem Prawa (symbolicznego) – uwiedzenie podstępne, które zawsze dokonuje się pod znakiem prawa i wizerunku Mistrza sprawującego za pomocą Słowa władzę nad rozhisteryzowanymi masami niezdolnymi do rozkoszy...

Niemniej jednak w przypadku Lacana nadal aktualna jest śmierć psychoanalizy, śmierć spowodowana triumfalnym, choć pośmiertnym pojawieniem się tego, co początkowo zostało odrzucone. Czyż w ten sposób nie spełnia się przeznaczenie? Psychoanaliza, rozpoczynając od Wielkiego Odrzucenia, mogła przynajmniej skończyć na zerwaniu z Wielkim Oszustem.

To, że najpiękniejsza konstrukcja sensu i interpretacji, jaką kiedykolwiek wzniesiono, zapada się pod ciężarem własnych znaków, które ongiś były brzemienne w sens, lecz ponownie stały się sztuczkami wykorzystywanymi w nieokiełznanym uwodzeniu, elementami w nieskrępowanej wymianie współodpowiedzialnej za sens, a zarazem go wyzbytej (nie wyłączając z tego terapii), powinno nas pobudzać i krzepić. To znak, że przynajmniej prawda będzie nam oszczędzona (choćby tylko dlatego, że rządzi oszuści). Zaś to, co mogłoby wyglądać na klęskę psychoanalizy, jest tylko pokusą, właściwą każdemu wielkiemu systemowi znaków, pogrążenia się we własnym obrazie i zatracenia jego sensu, co faktycznie oznacza powrót pierwotnego uwiedzenia i zemstę pozorów. A więc gdzież tu oszustwo? Psychoanaliza, odrzucając od początku formę uwodzenia, była bodaj tylko złudzeniem, złudzeniem prawdy, złudzeniem interpretacji, któremu kłam zada, ale i które wynagrodzi lacanowskie złudzenie uwiedzenia. Tym sposobem zamknięty zostaje cykl, z którego może wyłonić się inne formy pytań i uwodzicielskie.

Podobnie było z Bogiem i Rewolucją. Odrzucenie wszystkich pozorów, żeby zajaśniała prawda Boża, było złudzeniem ikonoklastów. Albowiem prawdy Bożej wcale nie było i może oni skrycie zdawali sobie z tego sprawę, i dlatego ich klęsce przyświecała ta sama intuicja, która towarzyszyła czcicielom obrazu: żyć można jedynie ideą prawdy zmienionej. To jedyny sposób na życie zgodne z prawdą. W innym wypadku życie staje się

nie do zniesienia (właśnie dlatego, że prawdy nie ma). Nie musimy odrzucać pozorów (uwodzenia obrazów). A jeśli już, to bezskutecznie, ażeby nie wyszło na jaw, że prawdy nie ma. Albo że nie ma Boga. Albo Rewolucji. Rewolucja, a już na pewno stalinizm, jej małpi, parodystyczny sobowtór, trzyma przy życiu myśl, że wszystko się jej sprzeciwia. Stalinizm jest nieśmiertelny, ponieważ istnieje tylko po to, by ukryć to, że Rewolucja i jej prawda nie istnieją, i żeby przywrócić nadzieję. „Lud – powiada Rivarol – nie chciał Rewolucji, chciał tylko rewolucyjnego widowiska” – gdyż jest to jedyny sposób na ocalenie uwodzicielskiej siły Rewolucji, zamiast topienia jej w jej prawdzie.

„Nie wierzymy, iż prawda pozostanie prawdą, gdy uniesie się jej zasłonę” (Nietzsche).

Trompe-l'oeil, czyli czarujące naśladowanie

Symulacja odczarowana: porno – prawdziwsze od prawdy – oto najwyższy stopień symulakry.

Symulacja czarująca: *trompe-l'oeil* – bardziej fałszywe od fałszu – oto tajemnica pozoru.

Ani fabuła, ani opowiadanie, ani kompozycja. Ani scena, ani teatr, ani akcja. *Trompe-l'oeil* zapomina o tym wszystkim i z daleka obchodzi, proponując podrzędniejsze przedstawienia drugorzędnych obiektów. Identyczne figurują na wielkich współczesnych im kompozycjach, tutaj jednak widnieją pojedynczo, tak jakby dyskurs malarski został wyeliminowany – raptem niczego już nie „przedstawiają”, nie są już obiektami, nie są czymkolwiek. To niezapisane puste znaki, które wyrażają antyceremonialność czy antypredstawieniowość społeczną, religijną bądź artystyczną. Skrawki życia społecznego zwracają się przeciwko niemu i parodiują jego teatralność: dlatego właśnie są rozproszone i na chybił trafił ze sobą zestawione. I w tym właśnie tkwi pewien sens: owe przedmioty nie są przedmiotami. Nie opisują rzeczywistości dobrze znanej, jak robi to choćby martwa natura, opisują próżnię, nieobecność, właśnie brak wszelkiej hierarchii przedstawieniowej, porządkującej elementy obrazu, tak jak to się dzieje choćby w polityce.

Nie są to banalne dodatki zepchnięte z głównej sceny, lecz widma nawiedzające pustkę sceny. Nie uwodzą więc estetyką obrazu i podobieństwem, lecz dotkliwością i metafizyką zniesionej rzeczywistości. Przedmioty nawiedzane, metafizyczne przedmioty, nierealnie przenicowane przeciwstawiają się całej renesansowej przestrzeni przedstawieniowej.

Ich beznaczeniowość jest napastliwa. Wyłącznie obiekty nieposiadające odniesienia, odarte z dekoracyjności – nieaktualne gazety, stare książki, zużyte gwoździe, deski, resztki pożywienia – tylko te wyizolowane, zużyte przedmioty jak widma wyrwane z narracji mogły opisać manię na tle rzeczywistości utraconej, jakby wcześniejsze życie i jego pochwytywanie w świadomości. „Przezroczyści, aluzyjny obraz, jakiego oczekuje miłośnik sztuki, *trompe-l'oeil* zastępuje nieznośną nieprzejrzystością Obecności” (Pierre Charpentrat). Nieosadzone w perspektywie symulakry, figury *trompe-l'oeil* okazują się nagle zdumiewająco wierne, jakby pozbawione aury sensu i skąpane w eterze próżni. Czyste wyglądy emanują ironicznym nadmiarem realności.

W *trompe-l'oeil* nie ma natury, ani krajobrazu, ani nieba, nie ma linii wytyczających perspektywę i naturalnego światła. Żadnych twarzy, psychologii i historii. Same sztuczne wytwory, wertykalne tło wynosi przedmioty wyrwane z ich macierzystego kontekstu do funkcji czystych znaków.

Przezroczyść, atmosfera zawieszenia, nietrwałości, zapomnienia – stąd nacisk na ukazywanie papieru, listów (o postrzępionych brzegach), luster i zegarów, zatartych i zdezaktualizowanych znaków transcendencji, która zanikła w codzienności, zwierciadło zużytych desek, gdzie sęki i słoje stanowią miarę czasu – niczym zegar bez wskazówek, który każe odgadywać godziny; rzeczy, które swoje trwanie mają za sobą, i czas, który już przeminął. Wybija się tylko anachronia, zwinięta figura czasu i przestrzeni.

Nie ma żadnych owoców, mięsa czy kwiatów, żadnych koszy czy bukietów – żadnego z drobiazgów, jakie można znaleźć w (martwej) naturze. Ta bowiem jest cielesna i cieleśnie układa

się w płaszczyźnie horyzontalnej, którą tworzą ziemia lub stół. Jakkolwiek martwa natura niekiedy bawi się nieładem, postrzępioną krawędzią przedmiotu i jego nietrwałością ujawniającą się w trakcie używania, zawsze jednak ma ciężar rzeczy realnej, podkreślonej przez horyzontalność, podczas gdy *trompe-l'oeil* igra nieważkością, sygnalizowaną przez wertykalnie ustawione tło. Wszystko trwa tu w zawieszeniu, przedmioty, czas, a nawet światło i perspektywa, gdyż o ile martwa natura operuje klasycznymi kształtami i cieniem, o tyle cieniom rzuconym w *trompe-l'oeil* brakuje głębi, jaką daje rzeczywiste źródło światła: tak jak zapomnienie w przypadku przedmiotów, cienie są tu znakiem lekkiego zawrotu głowy, jaki wywołuje poprzednie życie, poprzedzający rzeczywistość pozór.

To nieposiadające źródła tajemnicze światło, którego niejasny blask nie ma już w sobie niczego rzeczywistego, przypomina pozbawioną głębi wodę, wodę stojącą, spokojną jak tchnienie naturalnej śmierci. Tutaj przedmioty już dawno utraciły cień (swoją istotę). Nie słońce już je oświetla, lecz jaśniejsza gwiazda, nieposiadająca atmosfery lub spowita eterem, który nie powoduje załamań – może to sama śmierć je oświetla i tylko taki sens ma ich cień? Ten nie zmienia kierunku zależnie od słońca, pod wieczór nie wydłuża się, ani drgnie, jest jak nieubłagana krawędź. Nie jest to ani światłocień, ani przemyślna dialektyka światła i cienia, to są wszak nadal efekty malarskie, to przejrzystość rzeczy poddanych działaniu czarnego słońca.

Odnosi się wrażenie, że owe przedmioty znajdują się blisko czarnej dziury, z której dociera do nas rzeczywistość, realny świat i zwykły czas. Dzięki temu efektowi decentryczności widocznemu z przodu, owemu wychyleniu przedmiotu będącego lustrem ku podmiotowi, efekt uwiedzenia, zdumiewające wrażenie znamionujące *trompe-l'oeil*, zostaje wywołany przez pojawienie się sobowtóra w przebraniu pospolitych przedmiotów: dotkliwy zawrót, który opisuje doznawane przez podmiot nie-normalne pragnienie zatarcia własnego wizerunku, a tym samym zniknięcia. Albowiem rzeczywistość pochwytywa nas, gdy tylko zatapiamy w niej swoją tożsamość albo gdy wyłania się jako nasza własna urojona śmierć.

Nieokreślone pragnienia fizycznego pochwycenia rzeczy, które jednak zostaje zawieszona, nabiera metafizycznego charakteru: przedmioty przedstawiane w *trompe-l'oeil* zawierają tę samą fantastyczną aurę, co odkrycie, jakiego dokonuje dziecko na widok swojej twarzy – coś na kształt przywidzenia bezpośrednio poprzedzającego samo spostrzeżenie.

Jeśli więc *trompe-l'oeil* posiada jakąś cudowność, to nie tkwi ona w realistyczności przedstawienia, jak choćby namalowanych przez Zeuxisa winogron, które wydawały się tak prawdziwe, że ptaki zlatywały się, żeby je dziobać. Nonsens. Cudowność nigdy nie jest efektem nadmiaru rzeczywistości, lecz – przeciwnie – nagłego braku rzeczywistości i zawrotnego wrażenia, że się w nią wpadnie. I właśnie ta utrata realności tłumaczy surreálną bliskość przedmiotów. Gdy zapada się hierarchiczna struktura przestrzeni uprzywilejowującej oko i widzenie, z tego operującego perspektywą symulowania – gdyż jest to tylko symulakrum – wyłania się coś, co z braku lepszego określenia wyrażamy w kategoriach dotyku, dotkliwa hiperobecność rzeczy, wyczuwalnych tak, „jakby się je trzymało”. Jednakże ta dotykowa fantazja nie ma nic wspólnego z naszym zmysłem dotyku – to metafora „pochwytywania” wynikająca z unicestwienia sceny i przestrzeni przedstawienia. Owo pochwytwanie obejmuje nagle cały tak zwany „realny” świat, zobiektywizowany zgodnie z prawidłami perspektywy. „Rzeczywistość” objawia się jako zasada – ta, która definiuje ówczesne malarstwo, rzeźbę i architekturę, lecz li tylko zasada i symulakrum, któremu kładzie kres eksperymentalna hipersymulacja związana z *trompe-l'oeil*.

W *trompe-l'oeil* nie chodzi o utożsamienie z rzeczywistością, lecz o świadomą sztuczności grę polegającą na wytwarzaniu jej symulakry – w ten sposób, że naśladowując trzeci wymiar, podważa się jego realność, zaś naśladowując i wyolbrzymiając efekt realności, radykalnie podważa się zasadę rzeczywistości.

A więc wyrzeczenie się rzeczywistości właśnie poprzez nadmiar pozorów rzeczywistości. Przedmioty aż nadto przypominają tu to, czym są, i owo podobieństwo jest jakby wtórnym stanem, a ich plastyczność wydobyta dzięki temu alegorycznemu

podobieństwu, dzięki padającemu ukośnie światłu, zyskuje walor ironii wywołanej nadmiarem rzeczywistości.

Głębia zostaje to odwrócona: o ile renesansowa przestrzeń układa się zgodnie ze zbiegającymi się w tle liniami, o tyle w *trompe-l'oeil* efekt perspektywy jest poniekąd rzutowany od przodu. Przedmioty nie uciekają przed omiatającym je panoramicznym okiem (przywilej widzenia panoptycznego), lecz „ludzą” oko wewnętrzną przestrzennością – nie w tym sensie, że zmuszają do uwierzenia w nieistniejący świat, lecz podkopując uprzywilejowaną pozycję wzroku. Oko, zamiast kreować rozwinętą przestrzeń, staje się wewnętrznym punktem zbiegania się linii prowadzących od przedmiotów. Na przednim planie tworzy się inna przestrzeń – pozbawiona horyzontu i niehoryzontalna, niczym umieszczone przed okiem nieprzejrzyste lustro, za którym nie ma nic. To – ujmując rzecz ściśle – królestwo wyglądów, gdzie nie widzi się przedmiotów, lecz jest się przez nie widzianym, gdzie przedmioty nie umykają przed nami, lecz lokują się przed nami za sprawą jakby niezziemskiego światła i cieni, które wcale nie wyposażają ich w prawdziwy trzeci wymiar. Gdyż wymiar ten, który tworzy perspektywę, zawsze jest świadectwem nieczystego sumienia znaku w stosunku do rzeczywistości i to nieczyste sumienie toczyło całe malarstwo od czasu renesansu.

Stąd też, niezależnie od przyjemności estetycznej, niepokojąca niesamowitość *trompe-l'oeil*, dziwne światło, jakie rzuca ono na tę zupełnie nową, zachodnią rzeczywistość, która triumfalnie oderwała się od renesansu: jest jej ironiczną symulakrą. Jest tym, czym na początku XX wieku był surrealizm w stosunku do rewolucji funkcjonalistycznej – gdyż surrealizm również jest tylko ironicznym majaczeniem na temat zasady funkcjonalności. I podobnie jak *trompe-l'oeil* niezupełnie przynależy do sztuki czy historii sztuki, które wszak interesuje wymiar metafizyczny, a nie kwestie stylu. Atakują nasz zmysł rzeczywistości czy funkcjonalności, a zatem nasz zmysł świadomości. Odkrywają niewłaściwą czy odwrotną stronę rzeczy i podkopują pozorną faktyczność świata. Dlatego właśnie przyjemność, jaką nam sprawiają, ich uwodzicielskość, choćby minimalna, jest czymś tak radykalnym – wynika bowiem z elementarnej za-

skoczenia pozorami, z istnienia uprzedzającego samo wytwarzanie realnego świata.

A zatem *trompe-l'oeil* dotyczy nie tylko malarstwa. Tak jak współczesny z nim stiuk, może wszystko – naśladować, parodiować. Staje się prototypem złowrogiego wykorzystania pozorów. Zabawa, która w XVI wieku nabrała wymiarów fantastycznych, kończy się zatarciem granic między malarstwem, rzeźbą i architekturą. W renesansowym i barokowym malarstwie ściennym i sufitowym obraz zlewa się z rzeźbą. W powstających na murach i ulicach Los Angeles *trompe-l'oeil* architektura zostaje zwodniczo zatarta przez złudzenie. Uwodzenie przestrzeni za pomocą jej znaków. Skoro tyle już słów padło na temat jej kreowania, to czy aby nie nadeszła pora, by coś powiedzieć na temat jej uwodzenia?

A także przestrzeni politycznej. Choćby studiola Duca Urbino, Federiga da Montefeltre, w pałacach książęcych w Urbino i Gubbio: maleńkie sanktuaria całe w *trompe-l'oeil* w samym środku ogromnej przestrzeni pałacowej. O ile ta przestrzeń ilustruje triumf perspektywy architektonicznej, przestrzeni kształtowanej zgodnie z regułami, o tyle studiolo to coś na kształt inwersyjnego mikrokosmosu. Wykrojony z całości struktury, pozbawiony okien, dosłownie wyzuty z przestrzeni, gdyż w tym wypadku jest ona realizowana za pomocą symulacji. Skoro cały pałac to architektoniczny akt *par excellence*, jawny dyskurs sztuki (i władzy), to cóż począć z maleńkim *studiolo* przylegającym do kaplicy niczym kolejne sanktuarium, choć przepełnione atmosferą czarów? Nie do końca wiadomo, w jaki sposób funkcjonuje przestrzeń, a więc i cały system przedstawień, które decydują o ładzie pałacu i republiki.

To przestrzeń *privatissime*, przywilej Księcia, tak jak kazirodtwo i wykroczenie stanowiły ongi wyłączny przywilej króla. W istocie następuje tu całkowite odwrócenie reguł gry, dzięki czemu można ironicznie, wykorzystując alegoryczność *trompe-l'oeil*, założyć, że przestrzeń zewnętrzna – pałac, a dalej miasto

– to znaczy przestrzeń władzy, przestrzeń polityczna, sprowadza się bodaj li tylko do efektu perspektywy. Tak niebezpieczny sekret i tak radykalną hipotezę Książę musi zachować dla siebie, w najściślejszej tajemnicy: jest to wszak tajemnica jego władzy.

Od czasów Machiavellego politycy chyba już o tym wiedzieli: źródłem władzy jest opanowanie przestrzeni symulowanej, a polityka to nie sprawa realnej przestrzeni i funkcji, lecz symulowanego modelu, którego widome działania to tylko kwestia wywołanego efektu. Ta ślepa plamka, miejsce wyłączone z architektury i z życia publicznego, które w pewnym sensie sprawuje najwyższą władzę, nie mocą bezpośrednich decyzji, lecz jakby wewnętrznego odwrócenia, przewrotu reguł działających potajemnie jak w prymitywnych rytuałach, dziury w rzeczywistości, ironicznego przeobrażenia – ściśle naśladownictwo ukryte w samej rzeczywistości, od którego zależy całe jej funkcjonowanie. Oto tajemnica pozorów.

Toteż papież, Wielki Inkwizytor, wybitni jezuici czy teologowie wiedzieli, że Bóg nie istnieje – to była ich tajemnica oraz tajemnica ich potęgi. Tak samo studiolo Montefeltrego skrycie sugeruje, iż rzeczywistość tak naprawdę nie istnieje, iż „rzeczywistość” w gruncie rzeczy, w tym przestrzeń polityczna, jest odwracalna – ta tajemnica rządziła polityką, lecz zdażyła już zostać pogrzebana w iluzji „rzeczywistości” mas.

I'll be your mirror

W *trompe-l'oeil* – lustrze bądź obrazie – fascynuje nas urok brakującego wymiaru. To właśnie on kreuje przestrzeń uwiedzenia i powoduje zawrót głowy. Bo jeśli zgodnie z boskim nakazem wszystkie rzeczy muszą odnaleźć swój sens, strukturę, w której go ugruntowują, to zarazem, wiedzione diaboliczną nostalgią, pragną się zatracić w pozorach, we własnym uwodzicielskim wizerunku, to znaczy to, co powinno być oddzielone, zespolić w jednośmiertci i uwiedzenia. Narcyz.

Uwiedzenia nie sposób przedstawić, ponieważ dystans między realną rzeczą a jej sobowtórem, zniekształcenie między

Tym Samym a Innym zostają w tym wypadku uchylone, Narcyz pochyłony nad źródłem zaspokaja pragnienie: jego obraz nie jest już „czyjś”, to jego własna powierzchnia, która go wchłania, uwodzi, do której może się zbliżyć, ale nie może jej przekroczyć, gdyż żadnego poza już nie ma, tak jak nie ma dystansu odbicia między nim a jego obrazem. Zwierciadło wody nie jest powierzchnią odbijającą, lecz powierzchnią, która pochłania.

Dlatego właśnie na tle wszystkich wielkich postaci uwodzących w mitologii i sztuce pieśnią, nieobecnością, spojrzeniem bądź makijażem, urodą, potwornością, rozgłosem, lecz także klęską, śmiercią, maską bądź szaleństwem Narcyz wyróżnia się szczególnie silnie.

Nie zwierciadlane odbicie, w którym podmiot odnajduje siebie w zmienionej postaci, ani stadium lustra, gdzie podmiot ustanawia siebie w wyobraźni. Wszystko to należy do psychologicznej domeny inności i tożsamości, a nie uwodzenia.

Marna jest teoria odbicia, a zwłaszcza myśl, że uwodzenie polega na przyciąganiu się tego, co podobne, na mimetycznym wyniesieniu wizerunku własnego albo na cudowności idealnego podobieństwa. Tak pisze Vincent Descombes w *L'Inconscient malgré lui*:

„Uwodzi nie sama kobieta sztuczka, lecz właśnie to, że ma adresata. Uwodzi to, że jest się uwodzonym, a zatem uwodzicielskie jest samo bycie uwodzonym. Innymi słowy, osoba uwodzona odnajduje w innym to, co ją uwodzi, niepowtarzalny przedmiot swojej fascynacji, to znaczy swoje własne uwodzicielskie czarujące istnienie, miły, wdzięczny obraz siebie...”

A więc zawsze chodzi o autouwiedzenie i jego psychologiczne perypetie. Otóż w micie Narcyza lustro nie pojawia się po to, by Narcyz mógł w nim odnaleźć ucieleśnienie ideału, chodzi bowiem o to, że lustro nie posiada głębi, że jest jakby otchłanią powierzchnią, która uwodzi i przyprawia o zawrót głowy tylko dlatego, że każdy gotów jest dać się pochłonać.

W tym sensie uwodzenie w ogóle jest narcystyczne, a jego tajemnica tkwi właśnie w owym śmiercionośnym pochłanianiu. Toteż kobiety, będąc bliżej tego innego ukrytego lustra, w któ-

rym zatapiają twarz i ciało, byłyby także bliżej skutków uwodzenia. Mężczyźni z kolei posiadają głębię, lecz nie mają tajemnicy – stąd ich władza, a zarazem kruchość.

Skoro źródłem uwodzenia nie jest jakiś miraż idealnego podmiotu, to tym bardziej nie jest nim miraż idealnej śmierci. W wersji Pauzanasza:

„Narcyz miał bliźniaczą siostrę, pod każdym względem do siebie podobną. Oboje mieli takie same włosy, tak samo się ubierali i razem polowali. Otóż Narcyz zakochał się w siostrze, a kiedy umarła, chodził nad źródło i choć wiedział, że widzi własne odbicie, to — z powodu swej miłości — wyobrażał sobie, że ogląda obraz swej siostry”¹.

Według H.-P. Jeudy’ego, który powtarza tę wersję, Narcyz uwodzi samego siebie i zdobywa moc uwodzenia, naśladowczo zaślubiając utracony obraz zmarłej siostry, przywrócony za sprawą jego własnej twarzy.

Ale czy relacja mimetyczna z obrazem zmarłej rzeczywiście jest konieczna do prześledzenia narcystycznego upojenia? Nie wymaga ono bliźniaczego odbicia – wystarczy mu złudny wizerunek samego siebie, będący być może obrazem jego śmierci, śmierci, która bodaj zawsze jest kazirodcza, co jedynie potęguje czar uwodzenia. „Siostrzana dusza” to jej uduchowiona wersja. Wielkie historie uwodzenia, jak choćby ta Fedry i Izoldy, są opowieściami kazirodczymi i zawsze kończą się śmiercią. Jakiż stąd wniosek, jeśli nie taki, że właśnie śmierć na nas czyha w kazirodztwie i jej niepamiętna pokusa, co dotyczyłoby także kazirodczych relacji, jakie nawiązujemy z wizerunkiem własnym? Ten uwodzi nas pociechą rychłego kresu naszego świętokradczego istnienia. Nasze śmiertelne pochłonięcie w wizerunku własnym niesie pocieszenie, ze względu na nieodwracalność tego, że się urodziliśmy i tego, że musimy się rozmnażać. I właśnie dzięki tym zmysłowym pertraktacjom z naszym wizerun-

¹ *U stóp boga Apollona. Z Pauzanasza Wędrowki po Helladzie*, księgi VII, IX, X. Przeł. z jęz. greckiego Janina Niemirska-Pliszczyńska (Księga VII) i Henryk Podbielski (Księga IX- X). Oprac. Henryk Podbielski. Wrocław 1989, s. 233-234.

kiem własnym, naszym sobowtórem i naszą śmiercią, zyskujemy zdolność uwodzenia.

„I'll be your mirror” – „Zostanę twoim zwierciadłem” – nie znaczy „będę twoim odbiciem”, lecz „będę twoim złudzeniem”.

Uwodzić to tyle, co umierać jako realność i odradzać się jako złudzenie. Tyle, co dać się pochłonąć przez własną złudę i wkroczyć w świat oczarowania. Na tym polega siła uwodzicielskiej kobiety, która utożsamia się z własnym pożądaniem i oczarowuje się własnym złudzeniem, którym z kolei dadzą się oczarować inni. Także Narcyz zatracą się w we własnym złudnym wizerunku: toteż odwraca się od własnej prawdy i swoim przykładem odwołuje innych od ich prawdy, tworząc tym samym model miłości.

Strategia uwodzenia polega na złudzeniu. Czyha na każdą istotę, która weźmie je za rzeczywistość. I to stanowi źródło niewyobrażalnej siły. Bo o ile produkcja może jedynie wytwarzać rzeczy i realne znaki, a tym samym uzyskiwać pewną władzę, o tyle wytwarzając złudzenia, uzyskuje się wszechwładzę, w tym zdolność przywracania produkcji i rzeczywistości ich zasadniczemu złudzeniu.

Czyha nawet na nieświadomość i pożądanie, przeobrażając je w zwierciadło nieświadomości i pożądania. Pożądanie bowiem dba tylko o popędy i ich zaspokojenie, podczas gdy oczarowanie rodzi się i dopiero wtedy jest się owładniętym przez własne pożądanie. Jest to złudzenie, które szczęśliwie zbawia nas od „rzeczywistości psychicznej”. I właśnie na tym polega złudzenie psychoanalizy – że utożsamia się z własnym pożądaniem psychoanalizy: poddaje się uwiedzeniu, autouwiedzeniu i odbija jego moc, wykorzystując ją dla własnych celów.

A zatem nauka, rzeczywistość, produkcja jedynie odwlekają nieuchronny moment uwiedzenia, zalecającego się nie-sensem, jako jego zmysłowa i pojmowalna forma na nieboskłon swego pożądania.

„Racja bytu złudzenia. Czyż tak jak sokół powracający do skrawka czerwonej skóry mającej kształt ptaka, nie nadajemy w złudzeniu charakteru absolutnej rzeczywistości przedmiotowi,

który zniewala? Niezależnie od przekonań i iluzji, złudzenie oznacza poniekąd uznanie bezgranicznej władzy uwodzenia. Narcyz, utraciwszy siostrę-bliźniaczkę, oplotkuje ją, przeobrażając swoją twarz w pociągające złudzenie. Świadomie czy nie, zostaje rozpięta samowystarczalna iluzja” (H.-P. Jeudy).

Złudzenie bywa również zapisane na niebie i jego władza nie jest przez to wcale mniejsza. Każdy znak Zodiaku na swój sposób uwodzi. Wszyscy szukamy przychylności bezrozumnego losu i każdy liczy na to, że absolutnie irracjonalny zbieg okoliczności objawi jego urok i siłę – taką moc przypisuje się znakom Zodiaku i horoskopom. Nie powinniśmy się z tego wyśmiewać, gdyż ten, kto już nie próbuje uwieść gwiazd, jest tym smutniejszy. I faktycznie wiele nieszczęść wynika stąd, że niektórzy nie mają swojego miejsca na niebie, pośród znaków, które by im odpowiadały – to znaczy w gruncie rzeczy z tego, że nie dali się uwieść przez fakt swych narodzin i odpowiadającą mu konstelację. Ten los przychodzi im nieść przez całe życie, a i śmierć przychodzi do nich nie w porę. Niepoddanie się uwodzicielskiej sile własnego znaku to sprawa o wiele poważniejsza niż nieotrzymanie wynagrodzenia za swoje zasługi czy niespełnienie uczuć. Niełaska symboli to zawsze sprawa o wiele poważniejsza niż prawdziwy niedostatek czy nieszczęście.

Stąd miłosierny pomysł założenia Instytutu Zodiakalnej Semiurgii, w którym na zasadzie chirurgii plastycznej korygowałoby się niesprawiedliwości Znaków, tak że ostatecznie sieroty otrzymywałyby horoskop zgodny z wybranym Znakiem i dzięki temu mogłyby się ze sobą pojednać. Sukces byłby piorunujący, a przynajmniej nie mniejszy od powodzenia, jakim cieszyłyby się motele dla samobójców, gdzie ludzie przybywałiby, aby umrzeć tak, jak im się podoba.

Śmierć w Samarkandzie

Elipsa znaku, ekliptyka sensu – złudzenie. Śmiertelne rozproszenie, jakie w danym momencie może wywołać pojedynczy znak.

Oto historia żołnierza, który spotyka Śmierć na rynku i jest przekonany, że widział, jak mu pogroziła. Biegnie do Króla do pałacu i żąda od niego najlepszego konia, ażeby nocą uciec przed Śmiercią – jak najdalej, aż do Samarkandy. Na co Król wzywa Śmierć do pałacu i upomina ją, że wystraszyła jednego z jego najlepszych sług. Lecz Śmierć, zdumiona, odpowiada: – Nie chciałam go przestraszyć. Po prostu byłam zaskoczona, widząc tam żołnierza, skoro schadzka mamy jutro w Samarkandzie.

Nie inaczej: stając się umknąć przeznaczeniu, tym pewniej ku niemu zmierzamy. Tak jest: każdy szuka swojej śmierci, a czyny poniechane okazują się ze wszech miar skuteczne. Tak: znaki podążają ścieżką nieświadomości. Wszystko to jednak dotyczy prawdy spotkania w Samarkandzie, a nie uwodzicielskiej siły opowiadania, które bynajmniej nie jest apologią prawdy.

Zdumiewające jest to, że to nieuchronne spotkanie nie musiało mieć miejsca i nic nie wskazuje na to, że żołnierz znalazłby się w Samarkandzie, gdyby nie przypadek i feralny, prostoduszny gest śmierci, wykonany wbrew niej samej jako gest uwodzicielski. Gdyby śmierć poprzestała na przywołaniu żołnierza do porządku, historyjka nie miałaby tego uroku i wszystko zawisłoby od jednego bezwiednego znaku. Śmierć najwyraźniej nie stosuje strategii, nawet nieświadomych wybiegów, a jednak nagle nabiera nieoczekiwanej uwodzicielskiej głębi, to znaczy jakby działała z boku, jak przypadkowy znak, za którym dochodzi do innej koniunkcji – cudownej albo fatalnej. Koniunkcji, która trajektorię znaku wyposaża we wszelkie cechy dowcipu.

Nikt w tej opowieści nie ma sobie nic do zarzucenia: chyba że winny miałby się okazać Król, który użyczył konia. Nie: obaj bohaterowie pomimo pozornej wolności (śmierć ma prawo wykonać gest, żołnierz ma prawo uciec) postępują zgodnie z jakąś regułą, która ani jednemu, ani drugiemu nie jest znana. Zgodnie z regułą tej gry, która, jako reguła podstawowa, musi pozostać ukryta, śmierć nie jest brutalnym wydarzeniem i żeby dojść do skutku, musi przejść przez etap uwiedzenia, to znaczy momentalnego i nieodgadnionego współdziałania, znaku, chyba jedynego, który pozostanie nieodczytany.

Śmierć nie jest obiektywnym przeznaczeniem, lecz schadzka. Nie może się nie stawić, ponieważ sama jest tą schadzka, to znaczy aluzyjną koniunkcją znaków i reguł tworzących grę. Śmierć jest tu graczem nieświadomym i to właśnie przesądza o skrycie ironicznym charakterze opowiadania, i to różni je od moralizatorskiej opowieści czy pospolitej historyjki na temat instynktu śmierci. Pomysłowość tej historii potęguje dowcip gestu wykonanego przez śmierć i sprawia, że oba uwiedzenia – zarówno to, którym uwodzi śmierć, jak i to, którym uwodzi opowiadanie, zlewają się ze sobą.

Zdumienie śmierci to zachwycający moment: jakże frywolne zdumienie zrzędzeniem, w którym wszystko dzieje się przez przypadek: „Lecz ten żołnierz powinien był wiedzieć, że ma być w Samarkandzie nazajutrz i dołożyć wszelkich starań, żeby tam dotrzeć...”. Tymczasem śmierć okazuje jedynie zdumienie, jakby jej istnienie nie zależało tak samo jak istnienie żołnierza od spotkania w Samarkandzie. Pozwala, by rzeczy toczyły się swoim trybem i właśnie ta bez troska w obliczu samej siebie jest w niej tak pociągająca – dlatego właśnie żołnierz śpieszy na schadzka.

Nie ma w tym ani nieświadomości, ani metafizyki, ani psychologii. Nawet strategii. Śmierć działa bez planu. Przywraca przypadkowość, wykonując przygodny gest – tak właśnie działa, a jednak wszystko się spełnia. Wszystko działa tak, jakby nie mogło się nie spełnić, a jednak zachowuje lekkość przypadku, ukradkowego gestu, przypadkowego spotkania, nieodgadnionego znaku. Tak właśnie się uwodzi...

Zresztą żołnierz siedł na spotkanie ze śmiercią, gdyż nadał znaczenie gestowi bez znaczenia, który go nie dotyczył. Wziął do siebie coś, co nie było dlań przeznaczone, tak jak bierze się do siebie przelotny uśmiech adresowany faktycznie do kogoś innego. Oto szczyt uwiedzenia: obywać się bez niego. Uwiedziony mężczyzna zostaje wbrew sobie pochwycony w sieć błędzących znaków.

I właśnie dlatego, że znak zostaje oderwany od swojego znaczenia, że jest „uwiedziony”, uwodzicielska staje się sama historia. Uwiedzione znaki stają się uwodzicielskie.

Pochłaniają nas wyłącznie znaki pozbawione odniesień, znaczeń, znaki puste, niedorzeczne i eliptyczne.

Chłopczyk prosi wróżkę, żeby zgodziła się spełnić jego życzenie. Wróżka godzi się, ale pod jednym warunkiem, że chłopiec nigdy nie pomyśli o czerwonym kolorze lisiego ogona: – Skoro tylko tyle! – odpowiada bezceremonialnie chłopiec i wyrusza na poszukiwanie szczęścia. Ale cóż to? Nie może się opędzić od myśli o lisim ogonie, o którym, jak sądził, zapomniał. Widzi go wszędzie, w myślach i snach, i to w czerwieni. Mimo usilnych starań, nie udaje mu się od niego opędzić. Absurdalny i banalny, lecz uporczywy obraz zaczyna go prześladować, wzmacniany przez sam fakt, że nie można się go pozbyć. Mało że nie sprawdziła się obietnica wróżki, to na dodatek chłopiec stracił ochotę do życia. I może gdzieś umarł, nie zdoławszy uwolnić się od myśli o ogonie.

Niedorzeczna historia, lecz jak najbardziej prawdopodobna, gdyż ukazuje się znaku pozbawionego znaczenia, siłę bezsensownego sygnifikantu.

Wróżka była złośliwa (bynajmniej nie dobra). Wiedziała, że umysł nieodparcie przyciągają miejsca opróżnione z sensu. W tym wypadku owa próżnia jest niejako wywołana przez błahostkę (i dlatego dziecko nie miało się na baczności), jaką był czerwony kolor lisiego ogona. Ponadto powtarzanie i niestrudzone skandowanie pozbawia słowa i gesty znaczeń: zmęczyć sens, zużyć go, wyczerpać, ażeby wyzwolić uwodzicielską siłę czystego nicieznaczenia, pustego słowa – taka jest potęga rytualnej magii i zaklęć.

Ale może to być również bezpośrednia fascynacja próżnią, jak w przypadku fizycznego upojenia otchłanią albo w metaforycznym zawrocie wywołanym przez drzwi prowadzące w przestwór. Czyż stając przed drzwiami z napisem „wyjście w próżnię”, nie mamy ochoty ich otworzyć?

Wszystko skłania do tego, by otworzyć coś, co otwiera się na nicość. I wszystko skłania do tego, by nie zapomnieć czegoś, co nic nie znaczy. Arbitralność zniewala także nieodpartą koniecznością. Predestynacja pustego znaku, procesja pustki, upojenie obowiązkiem pozbawionym sensu, namiętność konieczności.

Jest w tym coś z tajemnego czaru (wróżka była czarodziejką). Siła słowa, jego „symboliczna skuteczność” jest większa, gdy zostaje ono wypowiedziane w próżni. Gdy nie ma kontekstu ani odniesienia i czerpie siłę z *self-fulfilling prophecy* (albo *self-defeating prophecy*). Do tego porządku należy czerwień lisiego ogona. Choć nierealny i nienamacalny, narzuca się właśnie swoją nicością. Gdyby zakaz wróżki dotyczył czegoś poważnego czy znaczącego, chłopiec z łatwością by z tego wybrnął i nie dałby się uwieść wbrew woli, gdyż uwiódł go nie zakaz, lecz nonsensowność zakazu. Spełniają się tylko nieprawdopodobne przepowiednie – wbrew wszelkiej logice. Wystarczy, żeby nie były nadto zrozumiałe. W przeciwnym razie nie były przepowiedniami. Tak działają magiczne słowa, na tym też polega uwodzicielskie oczarowanie.

Z tego też względu magia i uwodzenie nie należą ani do porządku wiary, ani oszukiwania, gdyż operują słowami nieposiadającymi wiarygodności i gestami bez pokrycia, których logika nie opiera się na zapośredniczeniu, lecz właśnie na bezpośredniości każdego znaku, bez względu na jego charakter.

Dowody są zbędne: każdy wie, że czar polega na tym bezpośrednim oddźwięku znaków: na znak i jego odczytanie formalnie nie przewiduje się czasu. Nie jest to kwestia wiary, działania, woli czy wiedzy: obce mu są wszelkie modalności dyskursu, jak również odrębna logika wypowiedzi i wypowiedzenia. Czar niezmiennie należy do porządku zapowiedzi i przepowiedni, porządku dyskursu, którego symboliczna skuteczność nie wymaga ani odszyfrowywania, ani wiary.

Pieśń, głos, zapach przyciągają bezpośrednio. Przyciąga zapach pantery (Détienne: *Śmierć Dionizosa*). Według starożytnych pantera do jedyne zwierzę, które emituje przyjemny zapach. Wykorzystuje go, żeby zwabić swe ofiary. Wystarczy, że się ukryje (gdyż wygląd ma przeraźliwy), a jej zapach je oczarowuje – to niewidzialna pułapka, w którą wpadają. Jednakże ta zdolność uwodzenia może obrócić się przeciwko panterze: poluje się na nią, wabiąc ją perfumami i wonnymi substancjami.

Ale co to znaczy, że pantera uwodzi zapachem? Cóż takiego uwodzi w samym zapachu? (No i co takiego sprawia, że ta legenda jest aż tak uwodzicielska? Jaki jest jej zapach?). Cóż takiego uwodzi w pieśni Syren, w urodzie twarzy, w otchłani głębi, w nieuchronności katastrofy? To samo, co w zapachu pantery, czy to, co w drzwiach prowadzących do próżni? Ukryta siła przyciągania, potęga pożądania? Puste słowa. Nie: anulowanie znaków, anulowanie ich sensu, czysty pozór. Uwodzące oczy nie epatują sensem, pozostają wyłącznie spojrzeniem. Twarz w makijażu pozostaje wyłącznie wyglądem, formalnym rygiem bezsensownej pracy. Uwodzenie ukazuje przede wszystkim piękno sztuczności, a nie brzemienne znaczeniami pożądanie.

Zapach pantery to przecież także przesłanie pozbawione sensu – w jego tle pantera niewidzialna, jak kobieta pod makijażem. Syren przecież także nie widać. Urok rzuca to, co ukryte.

Uwodzicielska siła oczu. Najbardziej bezpośrednia, najczystsza. Oczy, uwodząc, obywają się bez słów i tylko spojrzenia splatają się w pojedynku, bezpośrednim zwarciu, bez wiedzy innych, poza ich mową: dyskretny urok przeciągającego się w ciszy orgazmu. A gdy spojrzenia wywołujące rozkoszne napięcie ustępują miejsca słowom i miłosnym gestom, uwodzicielska siła słabnie. Dotkliwość spojrzeń, gdy w jednej nieuchwytej chwili, niczym w błysku dowcipu, streszcza się cała potencjalność ciał (i ich pożądania?) – namiętny pojedynek, zmysłowy, a zarazem odcieleśniony – idealna zapowiedź upojności uwiedzenia, któremu nie dorówna już żadna fizyczna namiętność. Samo spotkanie spojrzeń jest przypadkowe, ale odbywa się tak, jakby zawsze były w sobie utkwione: rzucone poza sensem, nie są spojrzeniami, które się wymienia. Żadnego pożądania. Gdyż pożądanie nie zniewala, a oczy, jak przypadkowe pozory, rzucają urok znaków czystych, dwoistych, aczasowych, pozbawionych głębi.

Każdy system całkowicie pochłaniający siebie, tak, że znaki przestają cokolwiek znaczyć, cechuje zdolność wzbudzenia wy-

bitnej fascynacji. Systemy wzbudzają ją swoim erotyzmem, który chroni je przed zewnętrzną logiką. Jakże fascynujące jest takie wchłanianie wszelkiej realności przez coś samowystarczalnego i samounicestwiającego się: system myślowy, automatyczny mechanizm, kobieta albo doskonały i bezużyteczny przedmiot, kamienista pustynia albo striptizerka (która samej sobie sprawiając pieśczętę, „zachwycając się” sobą, okazuje swoją władzę) – albo rzecz jasna sam Bóg, najpiękniejsza z ezoterycznych machin.

Albo nieobecność umalowanej kobiety, jej nieobecne spojrzenie, nieobecna twarz – jakże się w niej nie pograżyć? Piękność samą siebie znosi i tym samym stanowi wyzwanie, które możemy podjąć jedynie za cenę olśniewającej utraty.. otóż to, czego? Tego, co nią nie jest. Piękność pochłonięta przez czystą troskę o siebie samą jest zarazem zaraźliwa, ponieważ w narcystycznym nadmiarze wycofuje się z siebie i tak jak wszystkie rzeczy wycofane z siebie zapada w tajemnicę i pochłania to, co ją otacza.

Podłożem uwodzenia jest przyciągająca próżnia: nie gromadzenie znaków czy zwiastunów pożądania, lecz ezoteryczny współdział w pochłanianiu znaków. Uwodzenie rodzi się w sekrecie, w owym stopniowym, brutalnym wysysaniu sensu gwarantującego powiązanie między znakami, i właśnie tu, a nie w materialności istnienia czy pożądaniu się insynuuje. Odnosi się to również do upojenia regułami gry.

Tajemnica i wyzwanie

Tajemnica.

Uwodzicielskość, wtajemniczająca siła tego, co niewypowiedziane, bo ogołocone z sensu, i choć niewypowiedziane, to krążące w obiegu. Bo też znam tajemnicę innego, ale jej nie wyjawiam i on wie, że ja wiem, choć do tego się nie przyznaje: panujące między nami napięcie to właśnie sekret naszej tajemnicy. Nasze powiązanie nie ma nic wspólnego z jakąś ukrytą informacją. Zresztą nawet gdyby tacy współnicy chcieli wyjawić swój sekret, to i tak by nie mogli, gdyż nie sposób niczego powiedzieć...

Wszystko, co da się wyjawić, nie należy do tajemnicy. Nie jest ona bowiem ukrytym znaczeniem, ani jakimkolwiek kluczem do czegokolwiek, lecz czymś, co krąży w tym, co wypowiadalne i zewsząd je przenika – tak jak uwodzenie przepływa pod obsceniczną mową – jest odwrotnością komunikowania, choć zarazem czymś, co się udziela. Tajemnica zawdzięcza swą moc tylko temu, że nie jest wypowiadana, podobnie dzięki kategoriycznej niewypowiadalności funkcjonuje uwodzenie.

Treści ukryte bądź wyparte dążą do ujawnienia, natomiast tajemnica – nie. Pozostaje formą wtajemniczącą, implozywną: wchodzi się w nią, lecz nie sposób z niej wyjść: nie ma mowy o jej wyjawieniu, zakomunikowaniu czy „dopuszczeniu” do niej (Zempleny, „Nouvelle Revue de Psychanalyse”, nr 14): stąd właśnie czerpie swoją siłę, na tym polega jej zdolność opartej na aluzji i rytuale wymiany.

Tak też w *Dzienniku uwodziciela* uwiedzenie przybiera formę tajemnicy, którą należy rozwiązać. Dziewczyna jest zagadką i żeby ją uwieść, trzeba się stać zagadką dla niej. Dochodzi do zagadkowego pojedynku, który rozstrzyga się w uwiedzeniu, lecz odsłonięcie tajemnicy nie następuje. Gdyby nastąpiło, nie byłoby ujawnienia seksualności. Ostatnim słowem opowieści, o ile takowe istnieje, byłby seks, lecz właśnie ono tam nie pada. Tam, gdzie powinien pojawić się sens, gdzie powinien pojawić się seks, gdzie słowa nań wskazują i gdzie inni sądzą, że tak jest – nie ma właśnie nic. I owa nicość tajemnicy, ta pozaznaczeniowość uwodzenia krąży, nurtuje podświadomie, pod sensem i szybciej niż sens: to właśnie ona najpierw nas uderza, jeszcze zanim posłyszemy zdanie, w czasie, jaki upłynie, zanim ono zniknie. Podświadome uwodzenie w dyskursie, uwodzenie niewidzialne, od znaku do znaku – sekretny obieg.

Jest to dokładne przeciwieństwo relacji psychologicznej: dopuszczenie do tajemnicy drugiego człowieka nie oznacza przeżywania jego fantazmatów i pożądań, ani tego, co jeszcze niewypowiedziane: *id*, przemawiając, nie uwodzi. Wszystko, co wiąże się z wypieraniem, dążenia ekspresyjne bądź nieświadomość, wszystko, co chce przemówić, wszędzie tam, gdzie *ego* musi zniknąć – wszystko to należy do porządku egzoterycznego i stanowi zaprzeczenie ezoterycznej formy tajemnicy i uwodzenia.

A jednak nieświadomość, „przygoda” nieświadomości, wydaje się ostatnią, podjętą na tak szeroką skalę, próbą przywrócenia tajemniczości w społeczeństwie pozbawionym tajemnic. Nieświadomość uchodzi za nasz sekret, naszą osobistą tajemnicę w spowiadającym się i przezroczystym społeczeństwie. Ale tak naprawdę sekretem nie jest, gdyż ma charakter wyłącznie psychologiczny i nie dysponuje własnym istnieniem, gdyż narodziła się równocześnie z psychoanalizą, to znaczy procedurami pozwalającymi ją asymilować i technikami umożliwiającymi wyrywanie tajemnic ulokowanych w jej strukturach głębokich.

Ale może jest to jakaś zemsta za wszystkie interpretacje i subtelne zakłócenie rozwoju? Coś, co z całą stanowczością odżegnuje się od ekspresji i co jako zagadka posiada także zagadkowe rozwiązanie, a tym samym pragnie pozostać tajemnicą i rozkoszować się swą tajemniczością.

Wbrew wszelkim wysiłkom zmierzającym do jej odsłonięcia, odkrycia, zmuszenia do tego, by przemówiła znaczeniem, język powraca do swego potajemnego uwodzenia, zaś my – do naszych rozkoszy nierozwiązywalności.

Uwodzenie nie ma czasu, który by je wyznaczał, ani swojej pory, posiada natomiast rytm, bez którego nie mogłoby funkcjonować. W przeciwieństwie do instrumentalnie traktowanych strategii, mających swoje stadia pośrednie, uwodzenie działa nieprzerwanie, w jednym ruchu i zawsze stanowi dla siebie cel.

Uwodzenie działa w cyklu ciągłym. Uwodzi się kogoś po to, by uwieść kogoś innego, ale też uwieść kogoś innego po to, by spodobać się sobie samemu. Jakże subtelne złudzenie pozwala przejść od jednego do drugiego. Na czym polega uwodzicielskość, na uwodzeniu, czy na byciu uwiedzionym? Jednakże najskuteczniej uwodzi się, dając się uwieść. I tak bez końca. Nie można mówić o jakiejś aktywnej czy bierniej metodzie uwodzenia: nie ma podziału na podmiot i przedmiot, wewnątrz i zewnątrz – uwodzenie działa obustronnie i nie istnieje granica, która by je oddzielała. Nie sposób uwodzić innych, jeśli nie zostało się uwiedzionym.

Uwodzenia nigdy nie zastanawia prawda znaków, lecz złudzenie i sekret, inauguruje ono obieg, który sam jest sekretny i rytualny, to swego rodzaju bezpośrednia inicjacja, która rozgrywa się zgodnie z własnymi regułami.

Być uwiedzionym to tyle, co dać się odwieść od prawdy. Uwodzić to tyle, co odwozić kogoś od jego/jej prawdy. Owa prawda staje się następnie wymykającą się mu/jej tajemnicą (Vincent Descombes, *L'inconscient malgré lui*).

Uwodzenie jest automatycznie odwracalne i tę odwracalność zawdzięcza wyzwaniu, jakie zeń wynika, i tajemnicy, w której się pogrąża.

To siła przyciągania i odpychania, pochłaniania i fascynowania, siła, która kruszy nie tylko seksualność, lecz także całą rzeczywistość, to siła wyzywająca – w żadnym razie ekonomia seksu i słowa, lecz licytacja przemocy i łaski, natychmiastowa namiętność, która może ujawnić się w seksie, która jednak może również sama z siebie się wyczerpać w trakcie stawiania oporu i dążenia do śmierci, w zasadniczej nieokreśloności, która odróżnia ją od popędu, nieokreśloności jako przedmiotu, choć zarazem określoności jako siły i początku, podczas gdy namiętność uwodzenia jest asubstancjalna i nie posiada początku. Jej siła nie wynika z zaangażowania libidinalnego, jakiejś energii pożądania, lecz z czysto formalnej gry i czysto formalnego złudzenia.

Podobnie jest z wyzwaniem. Ono także ma formę dwoistą, która wcale z czasem się nie zużywa, a swoją siłę czerpie z tego momentalnego obalenia. Ono także oczarowuje, tak jak ogołoceny z sensu dyskurs, na który nie można odpowiedzieć właśnie dlatego, że jest absurdalny. Co to znaczy, odpowiadać na wyzwanie? Pytanie tak samo metafizyczne, jak to, które pyta o to, co uwodzi.

Cóż bardziej uwodzicielskiego niż wyzwanie? Tak samo jak uwodzenie, zawsze doprowadza ono drugiego człowieka do szaleństwa, z tym, że wywołując obopólne upojenie – to szaleństwo wywołane przez zawrotną nieobecność, które zespała i pochłania. To kwestia nieuchronności wyzwania i tego, że nie sposób

na nie odpowiedzieć: inicjuje ono bowiem obłąkaną zależność zupełnie nieprzypominającą relacji komunikacji czy wymiany – dwoistą relację pojedyńku, zawiązaną przez znaki pozbawione sensu, lecz zespolone przez podstawową regułę i jej przestrzeganie. Wyzwanie kładzie kres wszelkim umowom i wymianom regulowanym przez prawo (prawo natury lub prawo wartości) i w jego miejsce narzuca wysoce konwencjonalny, zrytualizowany pakt, zobowiązanie do stałego reagowania i rywalizowania zgodnie z podstawową zasadą gry i w jej rytmie. W przeciwieństwie do prawa, które zawsze jest wykute w kamieniu lub zapisane w niebie, ta podstawowa reguła nie jest nawet wypowiedzana i wypowiedzana nigdy być nie musi. Cechuje ją bezpośredniość, immanentność i nieuchronność (prawo jest transcendentne i wyraźnie sformułowane).

Uwodzenie czy wyzwanie nie mogłoby być przedmiotem umowy. Warunkiem jednak jednego i drugiego jest właśnie wygaśnięcie wszelkich umów w obliczu pojedyńkowej relacji, jaką tworzą znaki i sekrety wycofane z wymiany, a zawdzięczające swą siłę formie i bezpośredniemu oddźwiękowi. Na podobnej zasadzie, związane z uwodzeniem oczarowanie kładzie kres ekonomii popędu i wszelkim umowom dotyczącym psychiki czy seksualności, które zastępuje zawrotną licytacją na reakcje – nigdy zaangażowaniem; ryzykiem – nigdy umową; rytuałem – nigdy naturalnością, zawsze sztucznością. I nie jest to czyjaś strategia, lecz przeznaczenie.

Wyzwanie i uwodzenie łączy bardzo bliskie pokrewieństwo. A jednak jest między nimi różnica. Wyzwanie polega na wciągnięciu kogoś na teren działania własnej siły, który także i jemu się udzieli z uwagi na niemającą końca licytację, natomiast strategia (?) uwodzenia polega na sprowadzeniu kogoś na teren własnej słabości, która stanie się też jego udziałem. Słabości wyliczonej, choć nieobliczalnej: rzuca się drugiemu człowiekowi wyzwanie, żeby się jej poddał; słabości albo sieci: czyż zapach pantery nie jest siecią, otchłanią, do której ściągają upojone zwierzęta? A jakże, mityczna pantera rozsiewająca zapach to epicentrum śmierci i to właśnie z tej sieci płyną delikatne fluidy.

Uwodzić to tyle, co osłabiać. Uwodzić to tyle, co słabnąć. Uwodzimy naszą słabością, nigdy siłą czy jej oznakami. Ta właśnie słabość jest stawką w grze uwodzenia i to ona daje taką siłę.

Uwodzimy naszą śmiercią, naszą słabością i pustką, która nas nawiedza. Sekret polega na tym, by umieć grać ze śmiercią, nie operując spojrzeniem, gestem, wiedzą, sensem.

Psychoanaliza powiada, żeby uznać własną bierność, własną słabość, ale zaleca to jako rezygnację, pogodzenie się, do tego w kategoriach omal religijnych – ażeby osiągnąć umiarkowaną równowagę psychiczną. Uwodzenie triumfalnie wykorzystuje tę słabość, i gra nią – według własnych reguł.

Wszystko jest uwodzeniem i tylko uwodzeniem.

A kazano nam wierzyć, że wszystko jest produkcją. *Leitmotiv* przebudowy świata: biegiem spraw rządzi gra sił produkcji. Uwodzenie to proces amoralny, błahy, powierzchowny, zbędny, zachodzący w porządku znaków i pozorów, poświęcony rozkoszom i użytkowaniu bezużytecznych ciał. A jeśli wszystko, wbrew pozorom – a w istocie zgodnie z tajemną regułą pozorów – działa za sprawą uwodzenia?

chwila uwiedzenia
niepewność w jaką wprowadza uwiedzenie
ryzyko związane z uwiedzeniem
zdarzenie uwiedzenia
szał uwiedzenia
odpoczynek w uwiedzeniu

Produkcja jedynie gromadzi i nie odstępuje celu. Wszystkie złudzenia zastępuje jednym jedynym: sobą, stając się zasadą rzeczywistości. Produkcja, podobnie jak rewolucja, kładzie kres epidemii pozorów. Leczenie uwodzenia jest nieuchronne. Żaden żywy przed nim nie ujdzie – zmarli także nie – ze względu na swe imiona i pamięć o sobie – martwi są wtedy, gdy nie dociera do nich uwodzicielskie echo świata, a żaden rytuał nie wzywa ich do istnienia.

Martwi są według nas ci, którzy już nie są w stanie produkować. W rzeczywistości martwy jest tylko ten, kto nie chce już uwodzić, ani zostać uwiedzionym. A mimo to nawet oni nie umkną przed uwiedzeniem, które zawłaszcza także wszelką produkcję i kończy, unicestwiając ją.

Albowiem próżnia – nieobecność, którą każdorazowo draży powracający płomień znaku, bezznaczeniowość przepelniająca uwiedzenie nieoczekiwanym urokiem także czyha, bez złudzenia, na produkcję, gdy ta osiągnie swoje granice. Wszystko powraca do próżni, w tym nasze słowa i gesty. Jednak niektóre słowa i gesty, uprzedzając swój kres, są w stanie przed zaniknięciem uwieść tak, jak żadne inne. Sekret uwodzenia tkwi w tym wywoływaniu i przywoływaniu innego, powolnym gestem, którego poetyckie zawieszenie przywodzi na myśl puszczone w zwolnionym tempie filmowe sceny eksplozji bądź upadku, gdyż niekiedy czas poprzedza zaistnienie czegoś, unaoczniając nieobecność. I właśnie to coś, o ile istnieje, tworzy doskonałość „pożądania”.

Wizerunek uwodzicielki

Spektralny efekt uwodzenia: tworzy inną przestrzeń refrakcji. Uwodzenie nie sprowadza się do samego pozoru, nie polega na czystej nieobecności, lecz na ekliptyce obecności. Jego jedyna strategia polega na tym, że się jest/nie jest, przez co powoduje migotanie, tworząc hipnotyzujący układ krystalizujący uwagę poza jakimkolwiek sensem. Nieobecność uwodzi w nim obecność.

Oto suwerenna władza uwodzicielki: „przyćmiewa” każdy kontekst, każdą wolę. Nie może dopuścić do tego, by zawiązały się jakieś inne relacje, nawet najintymniejsze, uczuciowe, miłosne, seksualne – zwłaszcza te – których ona nie skruszyłaby, reagując na nie dziwną fascynacją. Systemtycznie unika wszelkich relacji, w których w jakimś momencie nagle mogłaby pojawić się kwestia prawdy. Bez trudu je anuluje – nie negocjuje bądź niszczy, lecz wprawiając w migotanie. I w tym tkwi cały sekret: w migotliwości terażniejszości. Że nie jest nigdy tam,

gdzie się wydaje, i nigdy tam, gdzie się jej oczekuje. Tworzy, jak powiedziała by Virilio, „estetykę znikania”.

Sprawia, że samo pożądanie funkcjonuje jako wabik. Uwiedzenie nie zna prawdy ciała czy pożądania, tak samo jak prawdy czegokolwiek innego. Natomiast miłość i akt płciowy mogą stać się znamionami uwiedzenia, zważywszy na ekliptyczną formę pojawiania się/znikania, to znaczy nieciągłości, która kładzie kres każdemu uczuciu, każdej przyjemności i pożądaniu. Sama miłość i akt cielesny to nie tyle najbardziej wyrafinowana i nasubtelniejsza uwodzicielska toaleta, jaką wymyśliły kobiety, żeby uwieść mężczyznę, albowiem tę samą funkcję mogą spełnić skromność i odmowa. W tym też sensie wszystko jest strojem i należy do ducha pozorów.

„Nie chcę cię kochać, nie chcę uwielbiać, ani nawet ci dogadzać, lecz chcę cię uwieść – i wcale nie zabiegam o to, byś mnie kochał czy mi dogadzał, lecz o to, żeby cię uwieść”. W grze uwodzicielki tkwi psychiczne okrucieństwo, dotykające także jej samej. Cała uczuciowość to słabość w perspektywie wymogu rytualizmu. Gdy miłość i pożądanie ulatniają się, wyzwanie nie zna litości. Ani wytchnienia, o ile fascynacja ma nie zaniknąć. Prawdziwa uwodzicielka może istnieć jedynie w stanie uwodzicielstwa: poza nim nie jest ani kobietą, ani przedmiotem bądź podmiotem pożądania, nie posiada twarzy i powabu – a tylko to tworzy jej namiętność. Uwiedzenie jest wszechwładne – to jedyny rytuał, który przyćmiewa wszystkie inne, lecz jest to wszechwładztwo okrutne, srogo okupione.

Toteż ciało i pożądanie kobiety uwodzącej nie należą do niej. A czymże jest ciało i czym pożądanie? Dla niej bynajmniej nie obiektem wiary, lecz elementem gry. Kobieta wyzbyta własnego ciała staje się czystym wyglądem, sztuczną konstrukcją, wabiącą pożądania innych. Uwiedzenie polega na wmówieniu komuś przekonania, iż jest i pozostaje podmiotem swego pożądania, tak, by zarazem samemu nie wpaść w tę pułapkę. Może polegać także na stawaniu się „uwodzicielskim” obiektem seksualnym, gdy jest to męskie „pożądanie”. Czar rzucony przez uwiedzenie przechodzi przez fazę pociągu seksualnego, ale też przechodzi po to, by ją przekroczyć. „Mam powab, a ty czar” – „Życie ma swoje powaby, a śmierć uroki”.

W uwodzeniu pożądanie nie jest końcem, lecz hipotetycznym celem. Dokładniej, celem jest wywołanie i oszukanie pożądania, które ma na chwilę zapłonąć, by skończyć się rozczarowaniem – gdyż pożądanie ludzi się co do swej mocy, którą otrzymuje jedynie po to, by ustąpić. Można by nawet nie wiedzieć, co się dzieje, albowiem uwodziciel lub uwodzicielka może naprawdę kochać lub pożądać osobę uwodzoną, lecz na głębszym poziomie (czy, jak kto woli, płytszym, w otchłani powierzchni, jaką tworzą pozory) toczy się inna gra, wymykająca się obojgu protagonistom pożądania, którzy są jedynie jej figurami.

Pożądanie to – w perspektywie uwodzenia – mit. O ile pożądanie jest wołą mocy i posiadania, o tyle uwiedzenie przeciwstawia jej równą wolę mocy przez symulakrum i dzięki sieci pozorów podtrzymuje tę hipotetyczną moc pożądania i poddaje ją egzorcyzmowi. O ile dla Kierkeggardowskiego uwodziciela naiwny dziewczęcy wdzięk i jego spontaniczna erotyczna siła są tylko mitem, podtrzymywanym jedynie po to, żeby można go było unicestwić (być może on ją kocha i jej pożąda, lecz z drugiej strony w ponadzmysłowej przestrzeni uwodzenia dziewczyna jest tylko mityczną figurą ofiarniczą), o tyle dla uwodzicielki siła męskiego pożądania jest mitem, który ona wykorzystuje, odwołując się doń, a zarazem go niszcząc. Sztuczka uwodziciela, której celem jest mityczny dziewczęcy wdzięk, odpowiada sztuczemu preparowaniu ciała przez uwodzicielkę, której celem jest mityczne męskie pożądanie. W obu przypadkach mityczna moc – wdzięku czy pożądania – ma zostać zredukowana do zera. Uwiedzenie zawsze zmierza do obalenia i wyegzorcyzmowania siły. Operuje sztucznnością, ale i ma charakter ofiarniczy. Ponieważ igrza ze śmiercią, zawsze chodzi o usidlenie bądź ofiarnicze uśmiercenie pożądania innego.

Uwodzenie z kolei jest nieśmiertelne. Uwodzicielka, podobnie jak histeryczka, chce być nieśmiertelna, wiecznie młoda, żyć w terażniejszości – ku powszechnemu zdumieniu, zważywszy, iż porusza się w przestrzeni żłudy i rozpaczy, oraz biorąc pod uwagę okrucieństwo jej gry. Lecz tam właśnie przetrwa, ponieważ istnieje poza psychologią, poza sensem, poza pożądaniem. A ludzi zabija i męczy nadawanie sensu własnym czynom, uwodzicielka zaś nie usensownia tego, co robi, ani nie dźwiga brzemie-

nia pożądaną. Poszukiwanie zaś przez nią przyczyn czy motywów – nawet świadczących o jej winie bądź też cynicznych – to kolejna pułapka, a ostatnią z nich jest prośba o wyjaśnienie: „Powiedz mi, kim jestem?”. Nie jest wszak nikim i jest to jej najzupełniej obojętne, gdyż jest samowsobna, nie posiada wieku ani historii, a jej siła tkwi w byciu, ironicznym i nieuchwytnym, ślepym na własne istnienie, lecz doskonale znającym wszelkie wytyczne prawdy i rozumu, do jakich sięgają ludzie, żeby się ochronić przed uwiedzeniem, które jednak niezmiennie pozwalają im temu uwiedzeniu poddawać się.

„Jestem nieśmiertelna” znaczy tyle, co: „Działam bez wychnienia”. Także z tego powodu gra musi toczyć się nieprzerwanie i jest to reguła podstawowa. Albowiem jak nie ma gracza, który przechytrzyłby grę, tak żadna uwodzicielka nie zawładnie uwiedzeniem. Żadne perypetie miłości czy pożądaną nie mogą naruszyć tej reguły. Żeby uwieść, trzeba kochać, nie na odwrót. Uwodzenie to strój, który ubiera i rozbiera pozory – jak Penelopa tkła i pruła gobelin, tak pod jej dłonią splatało się i rozplatało pożądaną. Albowiem decyduje pozór i mistrzowskie nim władanie.

Jeszcze nikogo nie wywłaszczono z tej fundamentalnej formy, nie pozbawiono władzy związanej z uwodzeniem i jego regułami. Wywłaszczane natomiast – ze swych ciał, a jakże, z rozkoszy, pożądaną i z ich praw – były kobiety. Ale przecież i tak zawsze panowały nad tą ewentualnością, nad uwodzicielskim zanikiem i przezroczyścią, toteż przyćmiewały władzę swych „panów”.

Ale swoją drogą, czy istnieją dwie postacie uwodzenia, żeńska i męska? Czy może istnieje tylko jedna forma, której warianty krystalizują się wokół każdej z płci?

Uwodzenie oscyluje między dwoma biegunami, biegunem strategii i biegunem zwierzęcości – a więc między najbardziej wyrafinowaną kalkulacją i najbrutalniejszą fizyczną propozycją – co kojarzymy z postaciami uwodziciela i uwodzicielki. Ale czy za takim podziałem nie kryje się jedna, niepodzielna forma uwodzenia?

Uwodzenie zwierzęce.

U zwierząt uwodzenie przybiera formę najczystsza, w tym sensie, że uwodzicielski popis jest u nich bodaj instynktowny, ujawnia się bezpośrednio w odruchach i naturalnym stroju. To jednak nie pozbawia ich zachowania rytualizmu. Co bowiem cechuje zwierzę jako istotę najmniej naturalną, to to, że sztuczność – popisy i strojenie się – przybiera w ich wypadku formę najbardziej naiwną. I właśnie w samym sercu tego paradoksu, gdzie pojęcie stroju znosi samo rozróżnienie między naturą i kulturą, ujawnia się analogia między kobiecością i zwierzęcością.

Czy zwierzę nie jest uwodzicielskie aby dlatego, że jest żywym figlem, ucieleśnieniem strategii przedrzeźniającej nasze pretensje do człowieczeństwa? A kobieta, czyż nie jest uwodzicielska dlatego, że z kolei udaremnia nasze roszczenia do głębi? Uwodzicielska błahość znajduje punkty wspólne z uwodzicielską zwierzęcością.

W zwierzętach wcale nas nie uwodzi „naturalna” dzikość. Czy cechami zwierzęcymi są rzeczywiście dzikość, przypadkowość, nieobliczalność i pobudliwość, czy może przeciwnie – wybitna rytualizacja zachowań? Pytanie to można także odnieść do społeczeństw prymitywnych, które lokalizowano blisko królestwa zwierząt, i poniekąd słusznie: wspólna jednym i drugim nieznaną prawa wiąże się z bardzo rygorystycznym przestrzeganiem ustalonych form, zarówno w stosunku do własnego terytorium, jak innych zwierząt i ludzi.

Nawet jeśli chodzi o tańce i elementy zdobiące ciało, zwierzęcy wdzięk jest wynikiem szeregu zakazów, reguł i analogii oddalających je od właściwej naturze przypadkowości. Wszystkie oznaki prestiżu powiązane ze zwierzętami mają charakter rytualny. Naturalny „strój” zwierząt przypomina sztuczny strój ludzi, którzy wszak zawsze próbowali w rytuałach go przejąć. Występujące upodobanie do masek zwierzęcych wynika stąd, że zwierzęta to nic innego jak maski, gra znaków i strategia stroju – podobnie jak w ludzkich rytuałach. Sama morfologia rytuałów ludów pierwotnych, wykorzystywane przez nie futra i pióra, gesty i tańce są prototypami rytualnej skuteczności. To znaczy wcale nie tworzą funkcjonalnego systemu (reprodukcja, seksualność, ekologia, mimikra – straszną mizerię tej etologii

poprawił i skorygował funkcjonalizm), lecz wystawny ceremoniał pozwalający władać znakami oraz cykl uwodzenia – w tym sensie, że znaki nieodparcie ciążą ku sobie, reprodukują się mocą magnetycznego nawrotu, powodując zamęt i erozję sensu, i przypieczętowują między uczestnikami wiekuisty pakt.

Ogólnie rzecz biorąc, rytualność to forma „wyższa” od „uspołeczenia”. To bowiem jest całkiem świeżą i mało uwodzicielską formą organizacji i wymiany, wymyśloną przez ludzi dla ludzi. Rytualność to system o wiele szerszy, obejmujący żywych i umarłych, w tym nawet „naturę”, której cykliczne procesy, powtarzalność, kataklizmy niejako samorzutnie stają się rytualnymi znakami. W porównaniu z tym uspołeczenie wydaje się zubożeniem: pod znakiem Prawa może skupić tylko jeden gatunek. Natomiast rytualności udaje się zachować – nie za pomocą praw, lecz reguł i związanej z nimi niekończącej się gry analogii – formę porządku cyklicznego i powszechnej wymiany, która leży poza zasięgiem Prawa i towarzyskości.

Jeśli zwierzęta podobają się nam i nas uwodzą, to właśnie dlatego, że przywodzą nam na myśl ten rytualny porządek. Nie wywołują w nas nostalgii za dzikością, lecz sztuczną i teatralną nostalgię za strojem, za uwodzeniem i strategią form rytualnych, które przewyższają uspołeczenie i tym samym niezmiennie nas oczarowują.

W tym też sensie można powiedzieć, że uwodzenie „przybliża do zwierzęcości” i że takiż charakter ma uwodzenie żeńskie, co nie musi oznaczać instynktowności. Albowiem oznacza to, że uwodzenie jest głęboko powiązane z rytuałami ciała, które – podobnie jak inne rytuały – nie służą do ustanawiania natury i odkrywania jej praw, lecz do porządkowania pozorów i układania ich w cykl. A zatem nie oznacza to, że uwodzenie pod względem estetycznym stoi niżej, jest bowiem strategią stroju.

Mężczyzn nie uwodzi zatem już piękność wykreowana przez naturę, lecz ta, którą wykreował rytuał. Ta jest bowiem ezoteryczna i posiada walor wtajemniczenia, podczas gdy piękność natury ma charakter wyłącznie ekspresyjny. I dlatego że uwodzenie spowija aura tajemnicy, jaką wytwarzają odciążone sztuczne znaki, a nie atmosfera naturalnej ekonomii sensu, piękna i pożądania.

Twierdzenie, że anatomia i ciało to nie przeznaczenie, nie od wczoraj budzi sprzeciw. Było o wiele niebezpieczniejsze we wszystkich dawniejszych społeczeństwach. Rytuały, ceremonie, stroje, maski, okaleczenia, rysunki, tortury – wszystko po to, by uwodzić: bogów, duchy, zmarłych. Ciało jest pierwszym potężnym przekąźnikiem tego ogromnego przedsięwzięcia, jakim jest uwodzenie. Tylko dla nas ma ono charakter estetyczno-dekoracyjny (co zarazem oznacza odrzucenie jego głębi: sama idea dekoracyjności zakłada moralne zakwestionowanie całej magii ciała. Dla ludów pierwotnych, nie wspominając już o zwierzętach, nie jest ono dekoracją, lecz strojem. I powszechną regułą. Ten, kto nie jest pomalowany, to głupiec – mówią Indianie Caduevo).

Jego formy mogłyby wydać się nam odrażające: pokrywanie skóry błotem, deformowanie czaszki albo piłowanie zębów w Meksyku, deformowanie stóp w Chinach, naciąganie kręgosłupa, nacinanie skóry twarzy, nie wspominając już o tatuażach, ozdobach do ubrania, rytualnych malunkach, biżuterii, maskach, a nawet bransoletach z puszek po konserwach u współczesnych Polinezyjczyków.

Ciało ma znaczyć, lecz znakami, które, mówiąc ściśle, nie znaczą. Podobieństwo zupełnie się ulotniło, przedstawienowość jest nieobecna. Pokrywa się ciało pozorami, złudzeniami, pułapkami, parodiami animalnymi, ofiarniczymi naśladownictwami – nie po to, by ukrywać, już nie po to, by cokolwiek ujawniać (pożądanie, popęd), choćby dla zabawy albo dla przyjemności (spontaniczną ekspresyjność dzieci lub ludów pierwotnych), lecz w ramach przedsięwzięcia, które Artaud nazwałby metafizycznym: chodzi tu bowiem o obrzędowe wyzwanie rzucone istniejącemu światu. Gdyż nic nie istnieje w sposób naturalny, wszystko istnieje dzięki rzuconemu wyzwaniu i dlatego, że jest się wezwanym do jego podjęcia. Bo właśnie dzięki wyzwaniu powstają i ożywają moce świata, w tym bogowie, dzięki wyzwaniu się je egzorcyzmuje, uwodzi i pojmuje; to wyzwanie przywraca zasadę gry. To zaś wymaga sztucznej rywalizacji, to znaczy systematycznej symulacji, która nie dba ani o przedustawny porządek świata, ani o anatomię ciała. Radykalna metafizyka symulacji nawet nie musi zajmować się „naturalną” harmonią –

w malunkach na twarzy Caduevo rysy się nie liczą: od początku do końca cały wzór i osie symetrii zostają narzucone przez rysunek (nam makijaż się podobna ze względu na odniesienie do ciała, gdyż ma podkreślać jego cechy i naturalne otwory. Ale czy przez to jest bliższy natury, czy pożądania? Nic mniej pewnego).

Coś jeszcze przetrwało z tej radykalnej metafizyki pozorów, tego wyzwania rzuconego przez symulację w sztuce kosmetyki wszystkich epok i we współczesnym aparacie makijażu i mody. Ojcowie Kościoła dobrze zdawali sobie z tego sprawę, co też potępiali jako sprawkę diabła. „Zajmowanie się własnym ciałem, troszczenie się o nie i malowanie go oznacza sytuowanie się w roli rywala Boga i kontestowanie jego dzieła”. To piętnowanie nieprzerwanie trwa, choć współcześnie znajduje odzwierciedlenie w innej religii, religii wolności podmiotu i jego podstawowych pragnień. Cała nasza moralność potępia kreowanie kobiety jako obiektu seksualnego za pomocą sztucznych zabiegów dokonywanych na twarzy i ciele. Kobieta nie jest już potępiana z mocy boskiego wyroku, lecz dyktatów nowoczesnej ideologii za prostytuowanie swojej kobiecości w kulturze konsumpcyjnej i poddawanie swojego ciała reprodukcji kapitału. „Kobiecość to jest wyalienowana istota kobiety”. „Kobiecość objawia się jako całość abstrakcyjna, kompletnie wyprana z właściwej sobie rzeczywistości, należąca do porządku dyskursu i retoryki reklamy”. „Kobieta, przerażona swoimi maskami piękna i stale świeżymi wargami, nie żyje już naprawdę” etc.

Wbrew tym wszystkim pobożnym wypowiedziom, należy jednak ponowić pochwałę obiektu seksualnego, gdyż ze względu na wyrafinowanie pozorów stanowi wyzwanie dla naiwnego ładu świata i seksu, bo on i tylko on wymyka się ze świata produkcji (choć można by mniemać, iż jest mu podporządkowany) i powraca do rzeczywistości uwodzenia. Obiekt seksualny w swojej nierzeczywistości, w swojej nierealnej odmowie prostytucji znaków wychodzi poza seks i dociera do uwodzenia. Ponownie staje się obiektem ceremonialnym. Kobiecość zawsze była znakiem tego rytuału, stąd przeraźliwe pomieszanie dążenia do desakralizacji jej jako obiektu kultu i przekształcenia jej w podmiot pro-

dukcji oraz dążenia do wyrwania jej ze sztuczności i przywrócenia jej „naturalnych” pragnień.

„Kobieta ma prawo wydawać się czarodziejska i nadnaturalna, a nawet chcąc tego, spełnia pewien obowiązek; powinna zadziwiać i urzekać; jest bóstwem, musi być pozłacana, jeśli chce być uwielbiana. Musi więc zapożyczać od wszystkich sztuk środki, które pozwolą jej wznieść się ponad naturę, aby bardziej podbijać serca i ujarzmić umysły. To nic, że o podstępnie i sztuczności wiedzą wszyscy, jeśli sukces jest pewny i efekt nieodparty. W tych rozważaniach artysta-filozof znajdzie łatwo usprawiedliwienie dla wszelkich praktyk we wszystkich czasach stosowanych przez kobiety, aby utwierdzić i, jeśli można tak powiedzieć, uświęcić swe kruche piękno. Wylizywanie ich nie miałoby końca, jeśli jednak ograniczyć się tylko do tego, co nasza epoka wulgarnie nazywa makijażem, któż nie zauważy, że użycie pudru różowego, tak głupio wyklętego przez prostodusznych filozofów, ma za cel i rezultat usunięcie ze skóry wszystkich plam, którymi tak obelżywie obdarzyła ją natura, i stworzenie abstrakcyjnej jednolitości koloru i konsystencji, ta zaś jednolitość, jak gładki trykot, natychmiast upodabnia istotę ludzką do posągu, to znaczy do istoty boskiej i wyższej? Co zaś do sztucznej czerni podkreślającej oko i różu na górnej części policzka, to choć stosuje się je z tych samych powodów – potrzeby prześcignięcia natury – rezultat ma zaspokoić wręcz przeciwne wymagania. Róż i czerni uosabiają życie, życie nadnaturalne i nadmierne; czarna oprawa przydaje głębi i niezwykłości spojrzenia, bardziej jeszcze upodabnia oko do okna otwartego na nieskończoność; róż, rozpalając policzki, rozjaśnia źrenicę i piękna twarz kobieca nabiera tajemniczej namiętności kapłanki”.

(Baudelaire, *Pochwała makijażu*)³

Jeśli pożądanie istnieje – a taka jest hipoteza nowoczesności – to nic nie może zakłócać jego naturalnej harmonii i makijaż

³ Charles Baudelaire, *Rozmaitości estetyczne*. Wstęp i przekład Joanny Guze. Komentarz i przypisy Claude'a Pichois w tłumaczeniu Jana Marii Kłoczowskiego. Gdańsk 2000, s. 339–340.

oznacza hipokryzję. Jeśli zaś pożądanie jest mitem – tak brzmi hipoteza uwodzenia – to nic nie stoi na przeszkodzie, by realizowało się za pomocą wszelkich znaków niekrępowanych barierami naturalności. Siła znaków polega na tym, że pojawiają się i znikają, i w ten właśnie sposób wymazują świat. Także makijaż jest poniekąd zacieraniem twarzy, zacieraniem oczu przez ich piękniejsze odpowiedniki, zacieranie ust przez wargi bardziej błyszczące. Owa „abstrakcyjna jedność przybliżająca istotę ludzką do istoty boskiej” to życie „nadnaturalnością i nadmiarem”, o którym mówi Baudelaire, to po prostu nagły błysk sztuczności uchylającej wszelką ekspresję. Sztuczność nie wyobcowuje podmiotu w jego istocie, lecz tajemniczo go odmienia, staje się sprawcą tego przeobrażenia, jakiego doznają kobiety przed lustrem, gdzie malując się, zarazem nieuchronnie się unicestwiają – nakładają makijaż, uzyskując czysty pozór bycia ogołoczonego z sensu. Jak w ogóle można utożsamiać to działanie w trybie „nadmiaru” z pospolitym maskowaniem prawdy? Prawdę wyobcowują jedynie fałszerstwa, makijaż niczym takim nie jest, jest bowiem nad fałsz fałszywszy (na takiej zasadzie jak gra transwestytów), a tym samym odnajduje niewinność i przezroczystość jakby wyższego rzędu: pochłanianie przez powierzchowność, wsysanie całej ekspresji bez śladu krwi, bez śladu sensu – okrucieństwo, a jakże, ale też wyzwanie – kogo jednak wyobcowuje? Jedynie tych, którzy nie są w stanie znieść tej okrutnej doskonałości i potrafią się przed tym bronić jedynie okazując moralną odrazę – lecz są w błędzie. Jak reagować na czysty pozór, hieratyczny czy ruchomy, nie uznając od razu jego suwerenności? Zmywając makijaż, zrywając zasłonę, czy nakazując pozorowi zniknięcie? Nonsens: to utopia ikonoklastów. Za obrazami nie kryje się Bóg, a nicość, jaką skrywają, powinna pozostać tajemnicą. Na tym polega uwodzicielskość, fascynacja, „estetyczne” oddziaływanie wszystkich wielkich procesów wyobraźni: na zacieraniu każdej instancji – obojętnie, twarzy i wszelkiej treści czy pożądania – w sztucznej doskonałości znaku.

Najlepszy tego przykład zawiera bez wątpienia jedyna ważna konstelacja zbiorowego uwodzenia, jaką stworzyły czasy współczesne, mianowicie konstelacja gwiazd filmu i kinowych

idoli. Otóż gwiazda, nawet mężczyzna, jest rodzaju żeńskiego – idol jest zawsze żeński, nawet jeśli Bóg jest mężczyzną. I gwoli prawdy największe gwiazdy to kobiety. Nie były już jednak istotami z krwi i kości, lecz istotami trans-, ponadseksualnymi, wokół których odbywała się orgia czczości i ukształtował się bezwzględny rytuał, który wykreował je na pokolenie świętych monstrów, wyposażonych w zdolność wchłaniania, dorównującą mocom produkcyjnym rzeczywistego świata i walczącą z nimi o lepsze. Pozostały naszym jedynym mitem w epoce niezdolnej do tworzenia wielkich mitów czy uwodzicielskich wyobrażeń, porównywalnych do tych, jakie oferowały mitologia i sztuka.

Potęga kina tkwi w jego mitach. Opowieści, realizm czy fantastyka, psychologia, znaczenia – wszystko to rzecz wtórna. Tylko mit się liczy, a w istocie kinowej mitologii tkwi uwodzenie – tych wszystkich wielkich uwodzicielskich postaci, męskich czy żeńskich (przede wszystkim jednak żeńskich), powiązanych ze zniewalającą i zachwycającą siłą samego obrazu kinowego. Cudowna koniunkcja.

Gwiazda nie jest bynajmniej istotą idealną czy wzniosłą: jest sztuczna. Nie musi być aktorką w psychologicznym sensie, jej twarz nie jest odzwierciedleniem duszy czy wrażliwości, której nie posiada. Przeciwnie – jej obecność ma sprzyjać ukryciu wszelkiej wrażliwości i ekspresji pod rytuałem zafascynowania próżnią, pod ekstazą jej spojrzenia i nicością jej uśmiechu. W taki właśnie sposób wchodzi w orbitę mitologii, zbiorowego rytuału oraz ofiarniczego zachwyty.

Wniebowzięcie idoli kinowych, bóstw dla mas, stanowiło i nadal stanowi najważniejszą opowieść nowoczesności – wciąż stanowi przeciwwagę dla wydarzeń politycznych i społecznych. Nie ma sensu kwitować tego zjawiska jako marzeń otumanionych mas. Chodzi bowiem o uwodzicielskość będącą przeciwwagą dla produktywności.

Oczywiście, uwodzenie w epoce mas nie jest już tym, czym było w *Księżnej de Clèves*, *Niebezpiecznych związkach* czy *Dzienniku uwodziciela*, czy choćby w mitologii antycznej, gdzie postaci występujące we wszystkich znanych opowieściach niewątpliwie emanowały uwodzicielską siłą; i była to siła gorąca, podczas gdy idole nowoczesności uwodzą na zimno

– gdyż pojawiają się na styku dwóch chłodnych mediów – masowego i obrazowego.

Ta uwodzicielskość świeci białym widmem ciał niebieskich, stąd tak trafna dla gwiazd nazwa. W epoce nowoczesności masy zostały uwiedzione tylko przez dwa wielkie wydarzenia: przez białe światło gwiazd i czarne światło terroryzmu. Oba te zjawiska mają wiele wspólnego. Tak jak ciała niebieskie, gwiazdy i akty terroru „migoczą”: nie świecą, nie promieniują białym i ciągłym światłem, lecz zimnym i przerywanym, podniecają a zarazem rozczarowują, fascynują nieoczekiwanym pojawieniem się i nieuchronnym znikaniem. Nieustannie rywalizując, przyćmiewają się nawzajem.

Wielkie uwodzicielki czy wielkie gwiazdy nigdy nie błyszczą talentem czy inteligencją, lecz właśnie swoją nieobecnością. Błyszczą nicością i błyszczą chłodem makijażu oraz rytualnej hieratyczności (rytuał, według MacLuhana, jest chłodny). Stają się metaforą potężnego procesu lodowacenia, który ogarnął nasz świat sensów, pochwycony w migotliwą sieć znaków i obrazów – lecz zarazem w danym momencie tej historii i w koniunkcji, która już się nie powtórzy, przeobrażają go w uwodzenie.

Kino zawsze jaśniało wyłącznie blaskiem tego czystego uwodzenia, czystą wibracją nonsensu – gorącą wibracją, tym piękniejszą, że biorącą się z chłodu.

Sztuczność i brak sensu: taka jest ezoteryczna twarz idola, jego maska inicjacyjna. Uwodzenie za pomocą twarzy oczyszczonej z wszelkiej ekspresji, na której pozostał tylko rytualny uśmiech i tak samo konwencjonalna uroda. Twarz bielejąca znakami poświęconymi zrytualizowanym pozorom, już nie podlegająca prawu głębokiego znaczenia. Dobrze znana sterylność idoli: nie rozmnażają się, lecz jak feniks powstają z popiołów, czy też jak uwodzicielka – ze swych luster.

Te wielkie uwodzicielskie wizerunki są naszymi maskami, naszymi posągami z Wyspy Wielkanocnej. Ale nie dajmy się zwieść: o ile ongi w historii tłumy płonęły żarem adoracji, religijnej pasji, poświęcenia i rewolty, o tyle teraz powietrze ścina chłód uwodzenia i fascynacji. Utrwała je wizerunek kinowy i wiąże się one z innym obrzędem ofiarniczym.

Śmierć gwiazd to tylko kara za bałwochwalczy rytuał. Gwiazdy muszą umierać, muszą już być martwe – tego wymaga doskonałość i egzystencja ograniczona do powierzchni, także w makijażu. To jednak nie skłania nas do negatywnego odreagowania, gdyż za jedyną istniejącą formą nieśmiertelności, a więc tą, którą oferuje sztuczność, kryje się myśl, której ucieleśnieniem są gwiazdy, iż sama śmierć lśni własną nieobecnością, że nawet śmierć można przekształcić w lśniący, powierzchniowy pozór, to znaczy w uwodzicielską powierzchnię...

Ironiczna strategia uwodziciela

Uwodzicielkę rozpoznajemy po tym, że przeobraża się w wygląd, żeby wprowadzić zamęt w świecie pozorów; a po czym rozpoznajemy uwodziciela?

On także przekształca się w złudę, a żeby wprowadzić zamęt, lecz owa złuda jest osobliwie wyrachowana, a strój ustępuje miejsca strategii. Jednak u kobiet strój ma charakter wybitnie strategiczny, czy wobec tego strategia uwodziciela nie polega na eksponowaniu kalkulacji, za pomocą której broni się on przed przeciwną siłą? A więc strategia stroju przeciw strojowi strategii...

Dyskursy zbyt pewne siebie – jeśli chodzi o strategię miłosną – należałoby odczytywać w inny sposób: choć reprezentują w pełni racjonalną strategię, są przecież zaledwie narzędziami losu, jakim jest uwiedzenie – są tyleż jego ofiarami, co inscenizatorami. Czyż uwodziciel nie kończy, gubiąc się w swojej strategii, jak w labiryncie namiętności? Czyż nie obmyślił tej strategii właśnie po to, by się zatracić? A czyż uznając się za mistrza gry, nie staje się pierwszą ofiarą tragicznego mitu strategii?

Obsesyjne zainteresowanie Kierkegaardowskiego uwodziciela dziewczynką. Zainteresowanie istotą nietkniętą – w fazie przedseksualnej, a więc fазie wdzięku i uroku – a że dziewczynka ów wdzięk ma, więc należy go rozpoznać, gdyż niczym Bóg posiada ona niebywałą przewagę, a że jest z natury wyposażona

w zdolność uwodzenia, staje się obiektem zacieklej rywalizacji i musi zostać unicestwiona.

Powołaniem uwodziciela jest zniszczenie naturalnej mocy kobiety czy dziewczyny za pomocą własnej sztucznej mocy. Rozmyślnie stara się zrównoważyć, a nawet przeważać moc daną przez naturę, której, wbrew wszelkim pozorom kreującym go na uwodziciela, podlegał od samego początku. Jego wola, strategia i przeznaczenie to reakcja na wdzięk i uwodzicielską siłę dziewczyny, na fatum, które ma tym większą moc, im bardziej jest nieświadome, i stąd konieczność egzorcyzmu.

Ostatnie słowo nie może należeć do natury: i to jest sprawa zasadnicza. Niezwykły wrodzony wdzięk dziewczyny, urągający moralności niczym przekleństwo, trzeba złożyć w ofierze i uwodziciel, wykorzystując swoją przemyślną taktykę, sprawi, że dziewczyna zrezygnuje z erotyki i straci uwodzicielską moc, to znaczy przestanie być niebezpieczna.

Uwodziciel sam w sobie jest nikim, uwodzicielskim źródłem jest dziewczyna. Dlatego też Johannes może stwierdzić, że niczego nie wymyślił i że wszystkiego nauczył się od Kordelii. Nie ma w tym cienia hipokryzji. Wyrachowana strategia uwodzicielska odzwierciedla uwodzenie naturalne, czerpie zeń jak ze źródła, lecz po to, by tym skuteczniej je wyeliminować.

Dlatego też Johannes nie daje dziewczynie szans, nie oddaje jej inicjatywy w grze w uwiedzenie, w której ona była pozornie bezbronnym obiektem. Swoją partię ona rozegrała jeszcze zanim uwodziciel przystąpił do gry. Wszystko już się dokonało – uwiedzenie jedynie zmniejsza brak, jaki wywołuje natura, lub sprowadza się do podjęcia wyzwania, które już zostało rzucone, wyzwania, jakie stanowią uroda i naturalny wdzięk dziewczyny.

A zatem uwiedzenie nabiera innego sensu. Nie jest już amoralnym libertyńskim przedsięwzięciem realizowanym kosztem cnoty, cynicznym oszustwem dokonywanym w celach seksualnych (a więc nie dla korzyści), lecz działaniem mitycznym, które uzyskuje wymiar ofiarniczy. Dlatego właśnie tak łatwo o przyzwolenie „ofiary”, która ze względu na swoje porzucenie słucha nakazań bóstwa, które dąży do obalenia i złożenia w ofierze każdej siły – niezależnie od tego, czy jest to siła władzy, czy siła naturalnego uwiedzenia, gdyż każda moc, a zwłaszcza

cza ta, która tkwi w urodzie, jest świętokradcza. Kordelia jest władczynią i zostaje złożona w ofierze własnemu wszechwładztwu. Takie odwracalne poświęcenie stanowi zabójczą formę wymiany symbolicznej, nie oszczędza ona niczego, samego życia, nawet piękności i uwiedzenia, które jest jego formą najniebezpieczniejszą. W tym sensie uwodziciel nie może się łudzić, że jest bohaterem jakiegoś mistrzowskiego erotycznego planu; jest tylko elementem procesu, który go przerasta. Jako ofiara nie może też się łudzić, że jest zupełnie niewinny, ponieważ dziewczyna – piękna i uwodzicielska – sama w sobie jest wyzwaniem, któremu może sprostać tylko jej śmierć (bądź jej uwiedzenie – równoważne z jej zabiciem).

Dziennik uwodziciela to scenariusz zbrodni doskonałej. Wszystkie kalkulacje uwodziciela się sprawdzają, nie chybia żadne z jego posunięć. Wszystko rozgrywa się z niezawodnością właściwą nie rzeczywistości czy psychice, lecz mitowi. Ta doskonałość, jaką emanuje sztuczność, swego rodzaju predestynacja kierująca poczynaniami uwodziciela, niczym lustro odzwierciedla doskonałość wdzięku dziewczyny i nieuchronną konieczność złożenia jej w ofierze. Nie ma w tym niczyjej strategii: to przeznaczenie, którego Johannes jest tylko narzędziem – z tego względu niezawodnym.

W całym procesie uwodzenia jest coś bezosobowego, tak jak w każdej zbrodni, coś rytualnego, ponadpodmiotowego i ponadmysłowego, czego przeżyte doświadczenie, zarówno uwodziciela jak i ofiary, jest tylko nieświadomym refleksem. Dramaturgia bez podmiotu. Rytualizm, którego forma pochłania podmiot. Dlatego właśnie całość przybiera estetyczną formę dzieła sztuki a zarazem rytualną formę zbrodni.

Kordelia zostaje uwiedziona, rzucona w odmęt nocnych rozkoszy erotycznych, a następnie porzucona – nie należy się temu dziwić, ani traktować Johanna – zgodnie z mieszczańską psychologią – jako podłego typu: uwodzenie jest procesem ofiarniczym i nieuchronnie kończy się zabójstwem (defloracją). Ten końcowy epizod mógłby nawet nie mieć miejsca: z chwilą, gdy Johannes dopiął swego, Kordelia jest już dlań

martwa. To uwiedzenie zmacone, kończące się miłością i rozkoszą, a zatem już nie poświęceniem. W tej perspektywie seksualność można by ponownie przeanalizować jako ekonomiczną pozostałość po ofiarniczym procesie uwodzenia, na takiej zasadzie, na jakiej w archaicznych obrzędach ofiarniczych niespożytą pozostałość wprowadzano do obiegu ekonomicznego. Seks nie byłby więc niczym innym, jak wyrównaniem czy prowizją związaną z procesem o wiele bardziej fundamentalnym, zbrodnią lub ofiarą, procesem, który ostatecznie nie stał się całkowicie odwracalny. Bogowie biorą, co im się należy, ludzie dzielą się tym, co pozostało.

Nieczysty uwodziciel – Don Juan lub Casanova – oddaje się właśnie gromadzeniu owej pozostałości, przechodząc od jednej seksualnej zdobyczy do drugiej, uwodzi dla przyjemności, nie dostępując owego „duchowego” wymiaru uwodzenia, w którym według Kierkegaarda wyzwanie skrajnie wyostrza uwodzicielskie środki i zdolności kobiety, by tym skuteczniej obrócić je przeciwko nim samym zgodnie z drobiazgowo opracowaną strategią.

Intryga stopniowo pozbawiająca Kordelię sił nasuwa myśl o niezliczonych rytuałach polegających na egzorcyzmowaniu kobiecych mocy, jakie można znaleźć we wszystkich społeczeństwach pierwotnych (Bettelheim). Egzorcyzmowanie kobiecej płodności, osaczanie jej, ewentualnie naśladowanie i zawłaszczanie to cel obrzędów kuwady, sztucznych inwaginacji, otarcie i blizn – wszystkich niezliczonych ran symbolicznych, nie wyłączając z tego ran inicjacyjnych i tych, które wiązały się z ustanowieniem nowej władzy: władzy politycznej – w celu stłumienia nieporównanej „naturalnej” przewagi kobiet. Można także wymienić starochińskie wyobrażenia na temat seksualności, zgodnie z którymi mężczyzna, wstrzymując ejakulację, przyciąga do siebie moc żeńskiego pierwiastka yang.

W każdym razie kobieta posiada coś, co należy egzorcyzmować za pomocą sztucznego działania, w którego efekcie zostaje ona pozbawiona swej mocy. W tej ofiarniczej perspektywie nie ma żadnej różnicy między uwodzeniem żeńskim a strategią uwodziciela: zawsze chodzi o śmierć i psychiczne zawładnięcie drugim człowiekiem, jego uprowadzenie i wydarcie mu jego mo-

cy. Zawsze jest to historia zabójstwa, a raczej estetycznego i ofiarniczego poświęcenia, gdyż – jak powiada Kierkegaard – to zawsze się rozgrywa na płaszczyźnie duchowej.

„Duchowa” rozkosz uwodzenia.

Scenariusz uwiedzenia ma według Kierkegaarda charakter duchowy: Wymaga pewnego ducha: to znaczy pewnej przemyślności, uroku i wyrafinowania, jak to się konwencjonalnie określało w XVIII wieku, lecz także w sensie współczesnym – dowcipu.

Uwodzenie nigdy nie wygrywa pożądanego ani miłosnej skłonności – to zbyt pospolite, automatyczne i cielesne – mało ciekawe. Wszystko musi być ze sobą zharmonizowane w systemie subtelnych aluzji i wszystkie znaki muszą zostać zatrzaśnięte w pułapce. Bo też sztuczki uwodziciela są odbiciem uwodzicielskiej natury dziewczyny, a ta została jakby zredukowana w ironicznej inscenizacji, stała się złudą własnej natury, do której bez trudu się dopasuje.

Nie chodzi więc o frontalny atak, uwiedzenie biegnie po skosie, przemyka jak błysk (a cóż bardziej uwodzicielskiego od muśnięcia dowcipu?), jak on żywo i oszczędnie wykorzystuje ten sam powtórzony materiał – by posłużyć się określeniem Freuda: uwodziciel posługuje się tym samym orężem co dziewczyna, przeciwko której go zwraca, i ta odwracalność strategii sprawia, że jest tak pociągająca duchowo.

Słusznie mówi się o błysku zwierciadła: wszak właśnie dowcip błyszczy w nim refleksiem. Urok zwierciadła nie polega na tym, że rozpoznajemy się w nim – to tylko niedościgną przyległość – lecz tkwi w ironicznym i tajemniczym błysku podwojenia. I właśnie taka – lustrzana – jest strategia uwodziciela, z tego względu uwodziciel nikogo nie zwodzi, a i sam siebie nigdy nie oszukuje, gdyż lustro jest niezawodne (gdyby stosował posunięcia i pułapki obmyślane na zewnątrz, niechybnie popełniłby błąd).

Zastanówmy się nad innym tego rodzaju błyskiem, który zasługiwałby na umieszczenie w annałach sztuki uwodzenia: identyczny list pisany do dwóch różnych kobiet – i to bez cie-

nia perwersji, ze szczerej duszy i serca. Oba listy zawierają te same miłosne emocje i są to emocje prawdziwe, choć każda z nich ma odrębny walor. Jednakże „duchowa przyjemność”, jaką sprawia lustrzany efekt dwóch listów migocący zwierciadlanym refleksem między dwiema kobietami, niosący, mówiąc ściśle, rozkosz uwodzenia – to już inna sprawa. To uniesienie jest znacznie wyrazistsze i subtelniejsze, a do tego zupełnie inne niż miłość. Tej sekretnej a żywiołowej radości, jaką się przeżywa, igrając z pożądaniem, nigdy nie dorówna samo uczucie pożądania. Pożądanie to odniesienie, takie samo jak każde inne, które uwiedzenie z miejsca przewyższa i przekracza, właśnie ze względu na swój dowcip. Uwiedzenie to błysk, w tym wypadku krótkie spięcie między postaciami dwóch adresatek w jakby nakładających się na siebie wyobrażeniach, gdzie być może splatają się ich pożądania, a w każdym razie błysk sprawia, że się zlewają, powodując lekki zawrót głowy, ten błysk wywołuje stan wyższej obojętności, śmiech, który rozbraja wciąż zbyt poważne zaangażowanie.

A zatem uwodzić to tyle, co prowadzić grę na figury i znaki – wpadające we własne sidła. Uwiedzenie nigdy nie jest wynikiem fizycznego pociągu, zbieżności uczuć czy ekonomii pożądania. Następuje tylko wtedy, gdy wkracza złuda i miesza wyobrażenia, gdy nagły błysk niczym sen zespala to, co niepowiązane albo nieoczekiwane rozdziela to, co niepodzielne. Na tej zasadzie druga kobieta odczuwa nieodpartą pokusę odpowiedzenia na pierwszy list, zupełnie jakby pokusa działała autonomicznie jak ironia, jakby uwodzicielska była już sama myśl. To gra, która nie ma końca, w którą samorzutnie włączają się znaki, jakby kierowane stałym zmysłem ironii. Być może same chcą zostać uwiedzione, może mają głębsze niż ludzie pragnienie uwodzenia i bycia uwodzonymi.

A jednak chyba nie jest powołaniem znaków wklanie się w stałe opozycje podporządkowane znaczeniowości – to tylko bodaj ich doraźny los. Ich przeznaczenie jest nieco inne: mają się bodaj nawzajem uwodzić, a tym samym uwodzić nas. A więc ich sekretnym obiegiem kierowałaby zupełnie inna logika.

Czy można sobie wyobrazić teorię zajmującą się uwodzicielskim przyciąganiem znaków, a nie ich kontrastami i opozycjami? Taką, która definitywnie zrywałaby ze zwierciadlaną naturą znaku i hipotetycznością jego odniesienia? I w której wszystko rozgrywałoby się między krańcami zagadkowego pojedynku i nieubłaganej odwracalności?

Załóżmy, że nie dystynktywność i opozycja stanowią podstawę wszystkich wielkich dystynktywnych opozycji rządzących naszymi relacjami ze światem, lecz uwiedzenie, które je draży. Że nie tylko kobiecość uwodzi męskość, lecz nieobecność uwodzi obecność, zimno uwodzi ciepło, podmiot uwodzi przedmiot – albo oczywiście na odwrót: gdy uwiedzenie zakłada owo minimum odwracalności, która kładzie kres wszelkiemu regularnemu przeciwstawieniu, a więc i konwencjonalnej semiologii. Czyżby w stronę inwersyjnej semiologii?

Można sobie wyobrazić (lecz po co?), że bogów nie oddzielała od istot śmiertelnych moralna przepaść religii, lecz że nawzajem się uwodzili, podtrzymując wyłącznie relacje uwodzicielskie – tak było w starożytnej Grecji. Ale chyba także dobro i zło, prawda i fałsz oraz wszystkie podstawowe rozróżnienia służące nam do rozszyfrowywania świata i do utrzymywania go w granicach sensu, wszystkie te pieczołowicie rozróżniane kategorie – nie zawsze okazywały się skuteczne, skoro prawdziwe kataklizmy i rewolucje niezmiennie polegają na implozji jednego z takich dwuczłonowych układów: następuje wówczas koniec świata, a przynajmniej jakiejś jego części, choć oczywiście na ogół implozja następuje stopniowo, a funkcjonujące kategorie zużywają się powoli. I tego właśnie jesteśmy dzisiaj świadkami: stopniowej i jednoczesnej erozji wszystkich biegunowych układów i dążenia ku światu, który traci jeden z wymiarów – sens. Pozbawiony dawnej powagi, odczarowany, oderwany od dawnego losu – koniec świata jako woli i wyobrażenia.

Jednakże ta neutralizacja nie uwodzi. Uwiedzenie popycha ku sobie i zespala, gdy uwodzący i uwodzony mają największą energię i urok, a nie łączą, gdy ich natężenie jest najniższe.

Przypuśćmy, że wszędzie, gdzie występują relacje przeciwstawienia, w grę wchodzi także relacje uwiedzenia. Czy można sobie wyobrazić taki błysk uwiedzenia, które powoduje połącze-

nie rozmaitych obiegów sensu, tranzystorowych, biegunowych lub różnicowych? Istnieją oczywiście przykłady takiej nie opartej na dystynktywności semiologii (która już semiologią nie jest): żywoły w antycznej kosmogonii wcale nie tworzą strukturalnych relacji składających się na klasyfikację (woda/ogień, powietrze/ziemia itp.), bo też nie ich dystynktywność jest ważna, lecz wzajemne przyciąganie i to, że nawzajem się uwodzą: woda uwodzi ogień, woda uwiedziona przez ogień itp.

Takie uwodzenie nadal bardzo wyraźnie zaznacza swoje funkcjonowanie w relacjach takich, jak pojedynek, w zależnościach hierarchicznych, kastowych, niezindywidualizowanych i występujących w układach analogicznych, które powszechnie poprzedzają nasze różnicujące systemy logiczne. Ponadto powszechne logiczne powiązania sensu są wypracowywane przez analogiczne powiązania uwiedzenia – jak choćby potężne natchnienie, które jednym błyskiem łączy człony przeciwne. Sens nurtuje od spodu sekretny obieg uwodzicielskich analogii.

Nie chodzi jednak o nową wersję teorii powszechnego przyciągania. Skosy i poziomy uwiedzenia mogą oczywiście rozrwać rozmaite przeciwstawienia, lecz same nie tworzą połączeń i zespożeń (jak mistyka), lecz relacje takie, jak pojedynek – nie mistyczne zespolenie podmiotu z przedmiotem, znaczącego ze znaczonego czy tego, co męskie, z tym, co żeńskie, lecz uwiedzenie, to znaczy relację pojedyńku i agonu.

„Lustro wisi na przeciwległej ścianie, ona o tym nie myśli, ale lustro myśli”.

(Dziennik uwodziciela, s. 359)⁴

Podstęp uwodziciela będzie polegał na utożsamieniu się z lustrem wiszącym na przeciwległej ścianie, w którym odbija się postać dziewczyny. Ona nie zastanawia się nad tym, lecz lustro o niej myśli.

Bo nie należy ufać usłużności luster. Pozory – słudzy pokorni nie mogą nie odzwierciedlać przedmiotów, które widnieją przed

⁴ S. Kierkegaard, *Albo-albo*. Tom I. Z oryginału duńskiego przeł. i wstępem opatrzył Jarosław Iwaszkiewicz. Warszawa 1982.

nimi bez szans na ukrycie się, a wszyscy są im wdzięczni (z wyjątkiem chwili śmierci, gdy z tego powodu się je zasłania). To dorzeczy wyglądu. Jednakże ich wierność jest podstępna, gdyż tylko czekają, by kogoś schwytać w swoje odbicie. Nieprędko zapomina się ich spojrzenie z ukosa: rozpoznają nas, a jeśli zaskoczą w najmniej oczekiwanym momencie, to znaczy, że na nas kolej.

Taka jest strategia uwodziciela: korzysta on z usłużności lustra, lecz lustro chytrego, takiego jak tarcza Perseusza, która sprawiła, że Meduza skamieniała. Dziewczyna także wpadnie w sidła tego lustra, które bez jej wiedzy będzie o niej myśleć i ją analizować.

„Taki, co nie wie, jak omotać dziewczynę, aby straciła całą wrażliwość i nie dostrzegła nic z tego, czego on nie chce, aby widziała, taki który nie potrafi się wpoetyzować w całe wnętrze dziewczyny, aby wszystko, czego sobie życzy, wychodziło od niej, taki jest i zostanie fuszerem; nie zazdroszczę mu jego przyjemności. Fuszerem jest i zostanie taki facet, uwodzicielem, czym w żadnym wypadku nie można nazwać mnie. Ja jestem esteta, miłośnikiem, który zrozumiał istotę miłości i wszystko na miłość postawił, który wierzy w miłość i zna ją z gruntu [...] a jeszcze wiem prócz tego, że najważniejszą rozkoszą, jaką można pomyśleć, jest być kochankiem, być kochanym ma wartość najwyższą na świecie. Wpoetyzować się w dziewczęcą miłość to sztuka prawdziwa, wpoetyzować z jej ramion – szczyty mistrzostwa”.

(Dziennik uwodziciela, s. 426)

Uwiedzenie nigdy nie przebiega linearnie, ani nie nosi maski (tak się przedstawia w wersji pospolitej) – działa po skosie:

„A jakież oręż jest równie ostry, równie przenikliwy, równie szybki w akcji, a przez to prowadzący do rozczarowań, jak ludzki wzrok? Trafia się wysoką kwartę, jak mówią fehmistrze, i atakuje w sekundę; im prędzej następuje atak po zaznaczeniu, tym lepiej. Nieopisany to moment – chwila trafienia. Przeciwnik czuje się zwyciężony, jest on pobity, ale w zupełnie innym miejscu, niż mu się zdaje”.

(Dziennik uwodziciela, s. 363)

„Nie spotykam jej, tylko dotykam zewnątrz jej istnienia [...] wolę przyjść [...] trochę wcześniej, aby spotkać się z nią w drzwiach, kiedy ona wchodzi, a ja wychodzę, albo na schodach, gdzie mijam ją jak najobojętniej. To jest ta pierwsza sieć, którą wokół niej rozsnuwam. Na ulicy jej nie zatrzymuję, najwyżej wymieniam z nią ukłon, ale nie podchodzę nigdy [...] Zauważa oczywiście nasze nieustanne spotkania, spostrzega na pewno, że na jej horyzoncie ukazało się nowe ciało niebieskie, które w swym niezmiennym ruchu wpływa na ruch jej planety; ale jakie prawo kieruje ruchem tego ciała, nie ma najmniejszego pojęcia, raczej stara się oglądając się na prawo i lewo znaleźć punkt oparcia; że tym punktem jest ona sama, wie równie mało jak jej antypody”.

(Dziennik uwodziciela, s. 392)

Jest jeszcze inny rodzaj odbicia: hipnoza, coś w rodzaju psychicznego lustra, w którym znowu bezwiednie odbija się postać młodej dziewczyny pod czymś spojrzeniem:

„Moje oko spoczęło na niej po raz pierwszy. Powiadają, że senność tak obciąża powieki, że zamykają się same; zdaje się, że to moje spojrzenie miało podobne działanie. Oko zamyka się, a jednak ciemne moce działają pod powieką. Ona nie widzi mojego spojrzenia, ale czuje je, czuje je całym ciałem. Oko zamyka się i oto jest noc; ale tam w środku jaśnieje biały dzień”.

(Dziennik uwodziciela, s. 422)

Ta pośredniość cechująca uwodzenie nie oznacza dwulicości. W przeciwieństwie do dążeń frontalnych, które rozbijają się o mur świadomości i przynoszą wyłącznie mierną korzyść, uwodzenie działa po skosie – niczym sen albo dowcip i w ten sposób po przekątnej przenika przez psychiczną przestrzeń i jej rozmaite poziomy, docierając w końcu do niezbadanej ślepej plamki, sekretnego zapieczętowanego miejsca, zagadki określającej dziewczynę, zagadkowej nawet dla niej samej.

W uwodzeniu występują dwa jednoczesne momenty czy też dwa aspekty jednego momentu: następuje mobilizacja całej dziewczęcości, całego arsenału kobiecości, a zarazem jego za-

wieszenie – nie chodzi o to, by dziewczynę zaskoczyć w jej bierności czy niewinności, gdyż musi ona zachować swobodę działania, które oryginalnymi meandrami czy nieoczekiwanymi zakrzywieniami, jakie w nim odcisnęło uwiedzenie, musi niejako spontanicznie osiągnąć moment, w którym dziewczyna bezwiednie się zatracza. Uwiedzenie to przeznaczenie; a jego spełnienie wymaga zaangażowania całej wolności, ale też wolności, na którą niejako somnambulicznie zdobywa się, dążąc do zguby. Dziewczyna musi pograć się w tym drugim stanie, będącym powtórzeniem pierwszego, stanie łaski i niezawisłości. I ten drugi, somnambuliczny stan wymaga podtrzymywania, ażeby rozbudzona już i sobą upojona namiętność pograżyła się w siłkach, jakie zastawiło na nią przeznaczenie. „Oczy zamykają się, zapada noc, jednakże od środka rozświetlona”.

Przeoczenia, zaprzeczenia, przekreślenia, przeinaczenia, zwody, odchylenia – wszystko to ma na celu wywołanie owego drugiego stanu skrywającego sekret prawdziwego uwiedzenia. O ile pospolicie do uwiedzenia dochodzi dzięki natarczywości, o tyle tutaj spełnia się ono dzięki nieobecności, a raczej dzięki temu, że wynajduje zakrzywioną przestrzeń, gdzie znaki odchylają się od swojej trajektorii i zwracają do swego źródła. Istotny jest ów stan zawieszenia – to moment chaosu, jaki przeżywa dziewczyna przed tym, co ją czeka, nawet jeśli wie, że to coś nowego, a zarazem nieuchronnego. Moment ogromnego napięcia, moment „duchowy” (w Kierkegaardowskim sensie), przywodzący na myśl ten między rzutem a chwilą, gdy kości przestają się toczyć.

Toteż gdy Johannes po raz pierwszy domaga się od dziewczyny, by dała mu swój adres, sam wzbrania się przed zapamiętaniem go:

„Przyjdzie na nią kolej, gdy spotkam ją znowu w nieoczekiwanym otoczeniu. Jeżeli mnie nie pozna, jeżeli jej spojrzenie mnie natychmiast o tym nie przekona, na pewno znajdę okazję, aby spojrzeć na nią z boku. Przysięgam, że przypomni sobie tę sytuację. Tylko cierpliwie, tylko wstrzeźliwie, wszystko się osiągnie pomaleńku. Już jest naznaczona, potem będzie wybrana”.

(Dziennik uwodziciela, s. 361)

Uwodziciel prowadzi grę z sobą samym: i nie jest to żaden wybieg – gdyż to sam uwodziciel rozkoszuje się odkładaniem momentu uwiedzenia. I nie jest to przyjemność poślednia, gdyż to właśnie w tym nieznacznym odstępie zaczyna drażnić się otchłań, w którą przyjdzie się pogrążyć dziewczynie. Zupełnie jak w fechtunku: wykonanie finty wymaga miejsca. Tymczasem uwodziciel zamiast dążyć do zbliżenia, będzie się starał na różne sposoby utrzymać ten dystans: a to nie zwracając się bezpośrednio do niej, lecz rozmawiając wyłącznie z ciotką, i to o błahych czy niemądrych rzeczach, neutralizując wszystko za pomocą ironii i udawanego intelektualizmu, nie reagując na żadne kobiece czy erotyczne gesty, a nawet znajdując dla niej miłośnika komedii miłosnych, żeby odczarować ją z jej miłości. Odczarować, ostudzić, zawieść, zdystansować, a nawet doprowadzić do tego, by to ona sama chciała zerwać narzeczeństwo, dopełniając tym samym uwiedzenia i stwarzając sytuację idealnie sprzyjającą porzuceniu jej na dobre.

Uwodziciel to ten, kto potrafi uwalniać znaki i wie, że są przychylne jedynie wtedy, gdy się je zawiesza i wkracza się w sens ich przeznaczenia. Nie zużywa ich od razu, lecz czeka chwili, gdy zaczną sobie nawzajem odpowiadać, tworząc jedyne w swoim rodzaju połączenie upojenia z zapadnięciem się.

„Kiedy siedzi razem z trzema Jansenównymi, niewiele mówi, ich paplanina wyraźnie ją nudzi, pewien rodzaj uśmiechu na wargach zdaje się na to wskazywać. Wiele buduję na tym uśmiechu”.

„Dziś wpadłem do pani Jansen. Otworzyłem na wpół drzwi bez pukania, niegrzeczność, która mi często jest pomocna, i którą często obracam w uprzejmość, pukając w otwarte drzwi. Siedziała samotnie przy fortepianie. Zdawało się, że kryje się ze swoją muzyką [...] Jeżeli kiedyś będę miał z nią poufniejszą rozmowę, doprowadzę ją powoli do tego punktu, aż wpadnie w tak zastawioną pułapkę”.

(Dziennik uwodziciela, s. 434–435)

Nie posuwa się do pospolitych rozrywek, libertyńskich popisów czy erotycznych kaprysów (które w opowieści będą zajmo-

wać coraz więcej miejsca, a samą Kordelię przesłoni swawolna libertyńska wyobraźnia: „Kochać tylko jedną to trochę za mało; kochanie wszystkich oznacza niestałość i powierzchowność; lecz kochać ich tyle, ile można... to mi zabawa, to mi życie!”). Nie posuwa się do frywolnych uwiedzeń, które nie mają nic wspólnego z „wielką grą” uwodzenia i jej filozofią skosu i odwodzenia. „Wielkie” uwodzenie podąża skrycie tymi samymi tropami, co uwodzenie niskie, lecz parodystycznie igra jego metodami, tworząc napięcie. Utożsamienie w ogóle nie wchodzi w grę: o ile to pierwsze jest grą miłosną, o tyle to drugie pojedynkiem duchowym. Wszystkie epizody jedynie podkreślają powolny, skalkulowany, nieuchronny rytm „wysokiego” uwodzenia. Zwierciadło zawsze wisi na przeciwległej ścianie i nawet jeśli my o nim nie pamiętamy, to ono pamięta, a czas pracuje w sercu Kordelii.

Moment krytyczny całego procesu następuje bodaj w momencie zaręczyn. To martwy punkt – odczarowanie i odwodzenie przybiera za sprawą uwodziciela charakter omal perwersyjnego umartwienia i można odnieść wrażenie, że sprężyna pęka z powodu delikatności, kobiecość Kordelii słabnie – zneutralizowana w atmosferze otaczających ją złudzeń. Moment zaręczyn, który „ma takie znaczenie dla młodej dziewczyny, że z całej duszy upiera się przy nim jak umierający przy ostatniej woli” – Kordelia przeżyje, nie rozumiejąc, co się dzieje, bez jakiegokolwiek reakcji, zmuszona do milczenia, otumaniona.

„Jeszcze słowo, a uśmiechnie się do mnie, jeszcze słowo, a wzruszę się, jeszcze słowo, a ucieknie ode mnie; ale żadne takie słowo nie zerwało się z moich warg, byłem w dalszym ciągu głupio-uroczysty i nudziłem ją ściśle podług rytuału”. „Co się tyczy ich zaręczyn, nie muszę wmawiać w siebie, że to jest sprawa poetycka, bo jest to w najwyższym stopniu filisterskie i małomieszczkańskie”.

(Dziennik uwodziciela, s. 434–435)

„No i jestem zaręczony; oczywiście Kordelia także i to jest właściwie wszystko, co ona wie o tej sprawie”.

(Dziennik uwodziciela, s. 436)

Wszystko to przypomina próbę nieistnienia, przez jaką się przechodzi w rytuałach inicjacyjnych. Nowicjusz musi przejść przez fazę śmierci – oznaczającej nie patetyczne cierpienie, lecz nicość, pustkę – ostatni moment przed oświeceniem, jakie przynosi cierpienie i zaniechanie erotyzmu. Ten ascetyzm uwodziciel poniekąd włącza w estetyzm, jakim naznacza całość.

„Na ogół nie mogę zapewnić każdej dziewczynie, która mi zaufa, pozostania w granicach estetyki; ale moja estetyka poucza, że albo dziewczyna oszukuje mężczyznę, albo mężczyzna oszukuje dziewczynę”.

(Dziennik uwodziciela, s. 441)

To dość humorystyczne, że zaręczyny odbywają się akurat wtedy, gdy znika pozorna stawka uwodzenia. Radosne w dziewiętnastowiecznej wizji preludium do małżeństwa przeradza się tutaj w surowe wtajemniczenie we wzniosłe cele cierpienia (będące zarazem skalkulowanymi celami uwodzenia), dzięki somnambulicznemu przejściu przez pustynię zaręczyn. (Nie zapominajmy, że zaręczyny stanowiły kluczowy epizod w życiu wielu romantyków, w tym właśnie Kierkegaarda, lecz także – i to jeszcze dramatyczniej – Kleista, Hölderlina, Novalisa, Kafki. Bolesna chwila niepowodzenia, któremu na pozór nie ma końca, owa na poły mistyczna narzeczeńska namiętność polegała bodaj (pozostawmy w spokoju motyw niemocy seksualnej!) na zawieszeniu, oczarowaniu zawieszonym i przenikniętym strachem przed rozczarowaniem seksualnym i małżeńskim.

Jednakże Johannes niezmiennie kontynuuje niewidzialny taniec uwodzenia, mimo iż jego cel i jego obecność straciły na wyrazistości. I w gruncie rzeczy nigdy nie tańczył równie intensywnie, gdyż właśnie nicość, nieobecność, zwierciadlane oblicze zapewniają mu triumf: Kordelia nie może zerwać poprzednich zaręczyn i rzucić się w jego ramiona. Widać ogarniający ją żar namiętności – już nigdy nie wyda się ona tak piękna Johannesowi, jak w tym przeczuciu, gdyż dziewczyna w tym momencie nadal jest wybraną – i za chwilę już taką nie będzie. Otóż uwodzicielskie upojenie, tak jak każda namiętność, polega przede wszystkim na wybraniu. To właśnie to dogłębnie naznacza pię-

nem przeznaczenia każdą przyjemność – to błysk natchnienia, który niejako z góry zespała porywy duszy z jej przeznaczeniem i śmiercią. I stąd triumf uwodziciela, to tutaj jest zaszyfrowany rozum prawdziwego uwiedzenia, podobnie jak duchowej ekonomii – w niewidzialnym narzeczeńskim tańcu:

„Prawie jestem niedostrzegalny, kiedy widzialnie siedzę obok niej. Jak gdyby w tańcu, który się wykonuje we dwoje, tańczyła samotnie, tak się zachowywałem w stosunku do niej. Bo byłem jej tancerzem, ale niewidzialnym. Porusza się jak we śnie, a przecież tańczy ze swą parą; a ta para to ja, o ile widzialny na miejscu to niewidzialny, o ile niewidzialny to przecież widzialny. Jej ruchy wymagają pary; pochyla się ku niemu, podaje mu rękę, odsuwa się, zbliża się znowu. Biorę ją za rękę, uzupełniam jej myśl, która się przecie uzupełnia sama w sobie. Porusza się w takt melodii własnej duszy; jestem tylko pretekstem do jej poruszeń. Nic nie ma we mnie miłosnego, to by ją obudziło z tego snu, jestem giętki, gładki, bezosobowy, staje się prawie tylko nastrojem”.

(Dziennik uwodziciela, s. 443–444)

A więc uwiedzenie przedstawia się w jednym impulsie jako:

- zaklinanie władzy; forma ofiarnicza
- dokonanie zabójstwa i, ostatecznie, zbrodnia doskonała
- realizacja dzieła sztuki *O uwiedzeniu jako jednej ze sztuk pięknych* (tak jak zabójstwo, oczywiście)
- działanie natchnienia: „duchowa” ekonomia. Przy tej samej pojedynkowej zależności, co w natchnieniu, gdzie rozmowa odbywa się aluzyjnie, półsłówkami, na niby – to ekwiwalent aluzyjnej, ceremonialnej wymiany tajemnic
- ascetyczna forma próby duchowej, lecz także pedagogicznej: swego rodzaju szkoła namiętności, majeutyki erotycznej, a zarazem ironicznej.

„Zawsze będę twierdził, że młoda dziewczyna jest urodzoną nauczycielką, od której zawsze można się nauczyć, jeśli nie czego innego, to w każdym razie jak ją oszukiwać – gdyż tego najlepiej się można nauczyć od samych dziewcząt”.

(Dziennik uwodziciela, s. 450)

„Każda dziewczyna jest Ariadną dla labiryntu swego serca, ma w ręku nitkę, dzięki której może znaleźć drogę, ale posiada ją w ten sposób, że sama nie wie, jak się tej nitki używa”.

(Dziennik uwodziciela, s. 466)

Forma pojedynku i wojny, forma agonistyczna, nie związana z przemocą czy stosunkami sił, lecz mająca postać gry wojennej. Odnajdujemy tam dwa równoczesne impulsy uwodzenia, takie jak w każdej strategii:

„No, doszło teraz do pierwszej wojny z Kordelią, w której ratowałem się ucieczką, aby nauczyć ją zwyciężać i prześladować mnie. Stale się cofam, i w tym cofaniu się uczę ją podług mnie poznawać wszystkie moce miłości, jej niespokojne myśli, jej namiętności, co znaczy tęsknota i nadzieja, i niecierpliwe oczekiwanie [...] Nabierze odwagi i uwierzy, że miłość jest odwieczną potęgą [...] Że zawdzięcza to wyłącznie mnie, nie przychodzi jej do głowy [...] Kiedy poczuje się wolna, tak wolna, że dozna pokusy zerwania ze mną, zaczniesz się nowy spór. Teraz ma siłę i namiętność, i walka nabiera dla mnie znaczenia [...]

Niech mnie porzuci, zaczniesz się druga walka, a w tej drugiej walce ja będę na pewno zwycięzcą, tak pewnie jak było rozczarowaniem jej zwycięstwo w pierwszej. Pierwsza wojna, to wojna wyzwoleńcza; to była zabawa; druga wojna to wojna zdobywcza, na śmierć i życie”.

(Dziennik uwodziciela, s. 446–447)

Wszystko rozgrywa się wokół młodej dziewczyny jako postaci mitycznej. W tym wielostronnym pojedynku jest ona zarówno stawką, jak i przeciwnikiem, więc nie może być ani obiektem seksualnym, ani figurą Wiecznej Kobiecości – oba powszechne w kulturze zachodniej odniesienia postaci kobiety są jednakowo obce uwodzeniu. Nie ma więc już idealnej ofiary, którą mogłaby być dziewczyna, ani idealnego podmiotu, jakim byłby uwodziciel, tak samo jak nie ma kata i ofiary w obrzędzie ofiar-niczym. Dziewczyna budzi fascynację jako figura mityczna, zagadkowa partnerka, protagonistka równa rangą uwodzicielowi w tym omal liturgicznym porządku wyzwania i pojedynku.

Jakaż różnica w porównaniu z *Niebezpiecznymi związkami!* U Laclosa kobieta, która ma zostać uwiedziona, znajduje się w sytuacji twierdzy, którą należy zdobyć zgodnie z panującą ów-cześnie strategią wojskową – pewnie nie tak statyczną jak wcześniejsze, lecz mającą ten sam cel – zmuszenie do poddania. Prezydentowa to forteca, którą trzeba oblegać i która niechybnie padnie. To nie sztuka uwodzenia, lecz oblegania.

Uwodzenie to inna sprawa: dzieje się nie między uwodzicielem a ofiarą, lecz między uwodzicielami, de Valmontem i Mer-teuil, których łączy intryga kryminalna. Podobnie u de Sade’a: mamy jedynie tajne stowarzyszenie katów, którzy przechwalają się swoimi zbrodniami, natomiast ofiary się nie liczą.

Ani śladu po tej subtelnej sztuce zwrotu, która pojawia się już u Sun Tzu w jego sztuce wojny czy w filozofii zen i wschod-nich sztukach walk, albo tutaj w uwodzeniu, gdzie dziewczyna, jej namiętność i wolność należą w znakomitej mierze to samej dynamiki strategii.

W pojedynku wszystko jest podporządkowane przejściu od etyki do estetyki, od namiętności naiwnej do namiętności świadomej:

„Jej namiętność nazwałbym w tej chwili naiwną namiętnością. Kiedy nastąpi przelom i zaczynam wycofywać się na serio, ona wzmaga wszystko, aby mnie naprawdę zatrzymać, nie ma po temu żadnych innych sposobów poza erotycznymi, ale te okazały się przydatne podług zupełnie innych miar. Jest to broń w jej ręku, którą kieruje przeciwko mnie. Bo ja mam namiętność zre-flektowaną. Ona walczy na własny rachunek, ponieważ wie dobrze, że ja posiadam w sobie pierwiastek erotyczny, walczy na własny rachunek, aby przezwyciężyć mnie. Sama dąży do wyż-szych form erotyzmu. Co znaczy mój kunszt rozpalania jej, do-myśla się po trosze, teraz musi doznać mego chłodu, ale także po-winna to czynić na własny rachunek, tak jakby to tylko od niej wychodziło. Chce w tym przezwyciężyć mnie, wierzy, że w swej śmiałości przewyższa mnie i tym samym może mnie przejrzeć. Wtedy jej namiętność stanie się określona, pewna, energiczna,

dialektyczna; jej pocałunek stanie się pocałunkiem totalnym, jej objęcie objęciem zupełnym”.

(Dziennik uwodziciela, s. 479)

Etyka to prostota (także prostota pożądania) i naturalność, do której należą także naiwny wdzięk młodej dziewczyny i jej spontaniczność. Zaś estetyka to gra znaków, to sztuczność, a więc uwodzenie. Każda etyka musi przekształcić się w estetykę. Dla Kierkegaardowskiego uwodziciela, podobnie jak dla Schillera, Hölderlina, a nawet Marcusego, przejście do estetyki to najwyższe dążenie, jakiemu może się oddać ludzkość. Jednakże estetyka uwodziciela jest zupełnie inna: nie boska i transcendentalna, lecz ironiczna i szatańska, nie przyobleka się w ideał, lecz w błysk natchnionego dowcipu; nie jest wyjściem poza etykę, lecz zwrotem, odchyleniem, uwiedzeniem, przeobrażeniem spełniającym się za pomocą zwierciadła rozczarowania. Nie oznacza to jednak, że uwodzieńca operuje strategią perwersji, stanowi ona bowiem część tej estetyki ironii, która zmierza do przekształcenia pospolitego, fizycznego erotyzmu w namiętność i w błysk natchnionego dowcipu:

„Zauważyłem, że nazywa mnie zawsze «mój», kiedy do mnie pisze; ale nie śmie powiedzieć tego słowa w rozmowie. Prosiłem ją dzisiaj o to, tak serdecznie i miłośnie ciepło. Ale ona usiłowała to powiedzieć, a potem obdarzyła mnie ironicznym spojrzeniem, krótszym niż da się to powiedzieć, które mówiło, że to jest dla niej niemożliwe, pomimo że moje wargi namawiały ją do tego. To jest stan normalny”.

(Dziennik uwodziciela, s. 495)

„Jest całkowicie miłośnie zbrojna, gotowa do walki, walczy strzałami oczu, rozkazami brwi, tajną gładzizną czoła, wymownością łona, niebezpiecznymi pokusami objęć, prośbą warg, uśmiechem jagody, słodkim powabem całej istoty. Istnieje w niej siła, energia jak w Walkirii, ale ta moc erotyczna miarkowana jest niejakim leniwym zmęczeniem, które ją ogarnia. Długo nie będzie mogła trwać na tym szczycie [...]”.

(Dziennik uwodziciela, s. 496)

Ironia zawsze zapobiega zgubnej erupcji uczuciowości, która poprzedza koniec gry i grozi odcięciem od niesłychanych możliwości, jakimi dysponuje każdy z graczy, a które może rozwinąć samo uwodzenie za cenę zawieszenia, ironicznego skrętu, deziluzji, która pozostawia otwarte pole dla estetyki.

Niekiedy uwodzieńca ma jakieś słabości. Toteż zdarza się, że w przyływie uczuć zabiera się za opiewanie kobiecej urody dzielonej w nieskończoność, opisaną szczegółowo, do najdrobniejszych erotycznych niuansów (s. 501, 502, 503), a następnie zebranych w jedną figurę w chłodnej wyobraźni totalnego pożądania – to wizja Boga – lecz natychmiast podjęta i skupiona wokół wyobrażenia diabła, chłodnego wyobrażenia pozorów: kobieta jako sen mężczyzny, z którego w czasie snu wydobywa ją Bóg. Toteż kobieta posiada wszelkie cechy snu, a szczątki dziennej rzeczywistości łączą się, rzec by można, tworząc zjawę.

„Dopiero przy dotknięciu miłości budzi się ona, a przedtem jest snem. Ale w tej sennej egzystencji można odróżnić dwa stadia: pierwsze, kiedy miłość śni o niej, i drugie, kiedy ona śni o miłości”.

(Dziennik uwodziciela, s. 503)

Gdy ona oddaje się bez reszty, następuje koniec, umiera, traci wdzięk pozorów, który przeradza się w seks, i staje się kobietą. W tym jedynym ostatnim momencie, „Kiedy tak stoi ona w ślubnym stroju, i cały ten strój błędnie wobec jej piękności, kiedy ona sama błędnie” (*Dziennik uwodziciela*, s. 510), cieszy się jeszcze blaskiem wyglądu – ale już wkrótce będzie za późno.

Oto metafizyczny los uwodziciela: piękno, sens, istota i nade wszystko Bóg są o siebie etycznie zazdrośni.

Pytanie, jakie sobie stawia Johannes po ostatecznym porzuceniu Kordelii (Kordelia oddaje się i od razu zostaje porzucona), brzmi następująco: „Czy w moim stosunku do Kordelii dochowałem wierności mojemu paktowi? Chciałem powiedzieć «mojemu paktowi z estetyką»; gdyż tym, co stanowi moją siłę, jest to, że mam idee po mojej stronie [...] Czy wszystko interesujące by-

ło zachowane?” (*Dziennik uwodziciela*, s. 511–512). Gdyż uwodzenie budzi zainteresowanie tylko w pierwotnej płaszczyźnie, natomiast tutaj chodzi o rzeczy interesujące w drugiej płaszczyźnie. I to podwojenie jest tajemnicą estetyki. To, co naprawdę ciekawe, znajduje się na estetycznej płaszczyźnie uwodzenia.

Uwodziciel w pewnym sensie stara się doprowadzić do tego, by naturalne wdzięki dziewczyny rozbłysły w świecie czystych pozorów, tzn. w sferze uwiedzenia – by tam je zniszczyć. Albowiem większość rzeczy posiada niestety sens i głębię, i tylko niektóre z nich cieszą się statusem pozorów, te zaś są bezwzględnie uwodzicielskie. Uwodzenie polega na dążeniu do przeobrażenia rzeczy w czyste pozory.

Tak oto uwodzenie spełnia się jako mit, w upojeniu pozorami, zanim spełnią się one w rzeczywistości. „Wszystko jest obrazem, ja sam jestem mitem o sobie samym, bo czyż nie jestem podobny do mitu, dążąc na to spotkanie? [...] Jazda na śmierć i życie, niech konie padną, ale w ostatniej sekundzie, gdy już będziemy na miejscu” (*Dziennik uwodziciela*, s. 520).

Jedna jedyna noc i wszystko skończone: „Ale wszystko minęło, i nie chcę już jej widzieć więcej” (*Dziennik uwodziciela*, s. 520). Dziewczyna oddała wszystko, straciła wszystko, tak jak te niezliczone dziewice w mitologii greckiej, przemienione w kwiaty, które dzięki temu zyskiwały żałobny, organiczny wdzięk, będący echem uwodzicielskiego wdzięku, jakim cieszyły się w pierwszym życiu. Lecz Kierkegaardowski uwodziciel dodaje z nutą okrucieństwa: „Minęły już czasy, kiedy dziewczyna z bólu po niewinnym kochanku przetwarzała się w kwiat heliotropu” (*Dziennik uwodziciela*, s. 521). A potem nieoczekiwanie, z jeszcze większym okrucieństwem: „Gdybym był bogiem, zrobiłbym to dla niej, co zrobił Neptun dla pewnej nimfy, zmieniłbym ją w mężczyznę”. To znaczy, że kobieta nie istnieje. Istnieje tylko młoda dziewczyna – dzięki wzniosłej naturze swego stanu, i mężczyzna – dzięki swej władzy, która ją niszczy.

Jednak mityczna namiętność uwodzenia nie przestaje być przez to ironiczna. Więńczy ją ostatni błysk melancholii: urządzenie domu, który stanie się sceną rozstania kochanków.

Jeszcze tylko moment pełnego napięcia zawieszenia, gdy uwodziciel zbiera wszystkie linie swojej strategii i zastanawia się nad nimi, po raz ostatni, jakby przed śmiercią. Sceneria zapowiadanego triumfu stała się ostatecznie melancholijnym miejscem po minionym romansie. Wszystko w domu zostaje przestawione z myślą o uchwyceniu w jednym błysku obrazu Kordelii – w końcowym momencie, gdy ma się zachwiać los dziewczyny. Pokoik, w którym się spotykali, ta sama w nim sofa, lampa i ten sam stolik, zupełnie jakby to wszystko „omal” zdarzyło się kiedyś, a dzisiaj było. Mocą ścisłego podobieństwa. Na nutniku otwartego pianina ta sama szwedzka melodia – Kordelia wejdzie drzwiami z tyłu, wszystko jest przewidziane, ujrzy w skrócie wszystkie wspólnie przeżyte sceny. Złudzenie doskonałe. I rzeczywiście, gra dobiegła końca, lecz uwodziciel jeszcze raz wznosi się na szczyty ironii i w trakcie pokazu sztucznych ognii, który jest zarazem parodystyczną mową pogrzebową ich skonsumowanej miłości, zbiera wszystkie rozwijane przez siebie od początku wątki.

Kordelia już się nie pojawi – jedynie w kilku rozpaczliwych listach rozpoczynających opowieść, ale nawet jej rozpacz jest dziwna. Gra, której reguł sobie nie uświadamiała, nie tyle ją zwiodła, czy właśnie wyzuła z pożądania, ile duchowo sprzeniewierzyła. Uczestniczyła w niej jak pod działaniem zaklęcia, sprawiając takie wrażenie, jakby bezwiednie była stawką intymnej, niszczycielskiej intrygi, obiektem duchowego uwiedzenia: w istocie została okradziona z własnej uwodzicielskiej siły, którą obrócono przeciwko niej. Bezimienny los i wywołane przezeń osłupienie to coś innego niż zwykła rozpacz:

„Takie ofiary były całkiem specjalnej natury [...] Nie widać było w nich żadnej odmiany; podtrzymywały zwyczajne stosunki, robiły to, co zwykle, a przecież następowała w nich zmiana, niezrozumiała dla nich samych, niepojęta dla innych. Ich życie nie było złamane czy zerwane, było zgięte do wnętrza; zgubione dla innych, na próżno chciały odnaleźć same siebie”.

(Dziennik uwodziciela, s. 349–350)

Strach przed uwiedzeniem

Uwiedzenie jako namiętność bądź przeznaczenie najczęściej przewyższa uczucie przeciwne – strach przed uwiedzeniem. Usilnie staramy się umocnić w naszej prawdzie i walczymy z tym, kto chce nas uwieść.

I każdy chwyt w tej walce jest dobry: poczynając od uwiedzenia kogoś, żeby samemu nie zostać uwiedzionym, a kończąc na udawaniu, że się zostało uwiedzionym, żeby położyć kres dalszemu uwodzeniu.

Histeria łączy namiętność uwodzenia z namiętnością symulowania. Broni się przed uwiedzeniem, oferując znaki-pułapki, na które nie sposób się nabrać, jeśli się je odczytuje ze wzmożoną uwagą. Skrupuły, nadmierne wyrzuty sumienia, patetyczne zabiegi i nieprzerwane starania, ta metoda motania wydarzeń i czynienia się nieuchwytnym, to upajanie innych sobą i ta zwodniczość – wszystko to należy do repertuaru uwodzicielskiego odwodzenia, którego celem jest nie tyle uwodzić, ile nie dać się uwieść.

Histeryczce nieznana jest intymność, uczucia i tajemnice, bez reszty oddaje się zewnętrznemu szantażowi, bezwzględnie zawiera efemerycznej wiarygodności „symptomów” (niczym mitomanii w swoich opowieściach), a zarazem podważa wszelką wiarę – i to nawet nie odwołując się do wspólnej iluzji. Przy bezkompromisowym żądaniu kompletna niewrażliwość na reakcję. To żądanie zaś zostaje podważone przez jego teatralizację i przez efekt, jaki wywołują wyrażające go znaki. Uwodzenie także szydzi z prawdy znaków, lecz zarazem przekształca ją w odwracalny pozór, natomiast histeria gra nimi do końca. Zupełnie jakby zawłaszczyła dla siebie cały proces uwodzenia, samą siebie przebijając, a innym pozostawiając jedynie ultimatum swojego histerycznego nawrócenia, bez możliwości odwrócenia. Histeryczce udaje się uczynić z własnego ciała przeszkodę udaremniającą uwiedzenie: to uwodzicielka sparaliżowana przez własne ciało i zafascynowana swymi własnymi symptomami;

ponadto dąży do sparaliżowania innych w zwodniczym zamiarze tworzącym patetyczną psychodramę – o ile uwodzenie jest wyzwaniem, o tyle histeria jest szantażem.

Większość znaków i informacji (także innych rzeczy) oddziałuje na nas współcześnie w sposób histeryczny, poprzez odwołujące wmawianie, zmuszanie do wiary, do radości, szantażując nas działaniami mającymi charakter psychodramy, wykorzystując puste znaki, które potęgują hipertrofię właśnie dlatego, że są pozbawione tajemnicy i wiarygodności. Znaki wyprane z wiary, uczucia, historii, znaki strwożone tym, że mają znaczyć – zupełnie jak histeryk przerażony na myśl, że ma zostać uwiedziony.

I rzeczywiście, histeryczkę przeraża wewnętrzna nieobecność, którą nosimy w sobie. Musi ona poprzez nieustanną grę oczyścić się skrycie z tej nieobecności, bez czego nie może ani zostać pokochana, ani samej siebie pokochać. Tym sposobem tworzy zwierciadło, za którym – bliska samobójstwa, lecz przekształcając je, tak jak wszystko, w niewygodny teatralny proces uwodzenia – staje się nieśmiertelna w swojej „widowskiej” dziedzinie.

Identyczny proces, lecz w wersji odwróconej, stwierdzamy w przypadkach anoreksji, oziębłości i impotencji. Traktując ciało jak zwierciadło – lecz niejako odwrócone do ściany, gdyż zacierające ewentualną uwodzicielską moc ciała – odczarowując je i odseksualniając, niezmiennie uciekamy się do szantażu i ultimatum: „Nie uwiedzisz mnie, tylko spróbuj”. Jednakże uwodzenie przebija nawet poprzez swe zaprzeczenie, gdyż wyzwanie to jedna z jego podstawowych form. Wyzwanie musi pozostawić miejsce na odzew, musi zadbać (chcąc nie chcąc) o to, by pozwolić się uwieść, gdyż tutaj gra się zamyka. A tym bardziej przez ciało – w geście zainscenizowanej odmowy uwiedzenia – podczas gdy histeryczka wychodzi z gry, inscenizując żądanie uwiedzenia. W obu przypadkach uwiedzenie zostaje odrzucone – jako dążenie do uwiedzenia i bycie uwiedzionym.

A zatem problemem nie jest bynajmniej niemoc seksualna czy niezdolność do pobierania pokarmu, niemoc obarczona całym wachlarzem sensów i nonsensów psychoanalitycznych, lecz niemoc jako aspekt uwodzenia. Oziębłość, nerwice, lęki, fru-

stracie, wszystko, z czym się styka psychoanaliza, bierze się bez wątpienia z niezdolności do kochania bądź bycia kochanym, z niezdolności do dawania bądź czerpania rozkoszy, natomiast zasadnicze rozczarowania wynikają z uwiedzenia i jego klęski. Chorzy są tylko ci, którzy znajdują się całkowicie poza sferą uwodzenia, nawet jeśli zachowują pełną zdolność kochania i uprawiania miłości. A psychoanaliza, która uważa, że leczy choroby dotyczące pożądania i seksu, zajmuje się w istocie chorobami uwodzenia (które pomogła umieścić poza sferą uwodzenia i uwięzić w dylemacie seksualności). Najpoważniejsze niedomagania zawsze dotyczą uroku, a nie rozkoszy, oczarowania, a nie samej satysfakcji życiowej czy seksualnej, reguł gry, a nie Prawa (symbolicznego). Pozbawienie zdolności uwodzenia – oto jedyna forma kastracji.

To na szczęście nigdy się nie udaje, gdyż uwodzenie odradza się jak feniks z popiołów, a podmiot nie może zapewnić, że to wszystko się nie powtórzy – jak jest w przypadkach impotencji czy anoreksji, ostatek, rozpaczliwej próby uwiedzenia, w której odmowa ponownie staje się wyzwaniem. I być może właśnie w tych przerysowanych przejawach seksualnego samozaparcia wyraża się uwodzenie w najczystszej postaci, skoro nadal mówi drugiemu: „Udowodnij mi, że nie o to chodzi”.

Są jeszcze inne namiętności przeciwstawiające się uwodzeniu, choć na szczęście zazwyczaj bezskutecznie, gdy zostają doprowadzone do skrajności: na przykład zbieractwo, fetyszyzm kolekcjonera. Zbieractwo łączy z uwodzeniem tak silne antagonistyczne powinowactwo być może dlatego, że i tu, i tu chodzi o grę posiadającą reguły, której intensywność jest tak wielka, że może zastąpić każdą inną grę. Albowiem ona także wzbudza namiętne upodobanie do abstrakcji, która przeciwstawia się każdemu prawu moralnemu, żeby zachować ścisły ceremoniał zamkniętego świata, w którym podmiot zostaje uwięziony.

Kolekcjoner to zazdrośnik pragnący mieć prawo wyłączności do martwego przedmiotu, który syci jego fetyszystyczną namiętność. Odosobnienie, uwięzienie: przede wszystkim kolekcjonuje samego siebie. I nie sposób go oderwać od tego szaleń-

stwa, gdyż jego miłość do przedmiotu, strategia miłosna, jaką go otacza, emanują przede wszystkim i nienawiścią, i strachem przed uwiedzeniem. A więc nie sama uwodzicielska siła przedmiotu: odrzuca go każda myśl o uwiedzeniu, jakiego sam mógłby się dopuścić.

Ilustracją tego szaleństwa jest *Kolekcjoner*, film i powieść. Bohater, nie będąc w stanie uwieść młodej kobiety ani kochać się z nią (ale czy pragnie uwiedzenia i spontanicznej miłości? Oczywiście, że nie: chce miłość wymusić, wymusić uwiedzenie), porywa ją i zamyka w piwnicy swojego domu na wsi, uprzednio w tym celu specjalnie przygotowanego. Umieszcza ją tam, opiekuje się, otacza względami, lecz udaremnia wszelkie próby ucieczki, obraca wniwecz wszelkie podstępny i oszczędzi ją dopiero wtedy, gdy ona uzna się za pokonaną i uwiedzioną, i wreszcie wtedy, gdy zapała do niego spontaniczną miłością. Tymczasem, pomimo przymusowej sytuacji, nawiązuje się między nimi forma niewyraźnego porozumienia – pewnego wieczoru on, przedsięwziawszy wszelkie środki ostrożności, zaprasza ją „na górę” na kolację. I ona autentycznie próbuje go uwieść i oddać mu się. Może nawet w tym momencie go kocha, może tylko chce go rozbroić. Ani chybi jedno i drugie. Jakkolwiek by było, jej zachowanie wywołuje w nim paniczny lęk: bije ją, obraża i zamyka w piwnicy. Już jej nie szanuje, rozbiera ją i robi zdjęcia pornograficzne, które umieszcza w albumie (zbiera motyle i z dumą pokazuje jej swoją kolekcję). Kobieta rozchorowuje się i zapada w śpiączkę. On przestaje się nią zajmować, ona umiera, a on grzebie ją na podwórku. W ostatek scenie wypatruje kolejnej kandydatki do porwania i uwiedzenia za wszelką cenę.

Potrzeba kochania, a zarazem niezdolność do poddania się uwiedzeniu. Gdy kobieta zostaje w końcu uwiedziona (wystarczy, że ona chce go uwieść), on nie jest w stanie uznać swego zwycięstwa: woli w niej widzieć seksualne przekleństwo i karze ją. Nie chodzi tu o impotencję (nigdy o nią nie chodzi), on woli zazdrośnie strzeżony urok kolekcji martwych przedmiotów – martwy obiekt seksualny jest równie piękny jak motyl o połyskliwych skrzydłach – od uwodzenia żywej istoty, która w zamian zażądałaby miłości. Jednostajną fascynację kolekcją, fascynację martwymi różnicami, wyrastającą z obsesji na tle iden-

tyczności, przedkłada nad uwiedzenie drugiego człowieka. Dlatego od początku wyczuwamy, że kobieta umrze, i to nie dlatego, że on jest niebezpiecznym szaleńcem, lecz dlatego, że działa zgodnie z nieodpartą logiką. Uwodzić, nie dając się uwieść – uwodzić bez wzajemności.

W takim razie jedno z nich musi umrzeć i jest nim zawsze on sam, skoro inny już nie żyje. Inny jest nieśmiertelny i niezniszczalny, tak jak w każdej perwersji. Ilustruje to zakończenie filmu, ponawiające jego początek (nie bez szczypty humoru – zazdrośnicy, tak samo jak jednostki perwersyjne, wykazują się poczuciem humoru odnośnie wszystkiego, co nie dotyczy ich obsesji, w tym nawet drobiazgowości ich działań). Kolekcjoner zamyka się w sferze logicznej nierozstrzygalności: wszelkie oznaki miłości, jakie ona może mu dać, zostaną zinterpretowane na opak. Największa czułość spotka się z tym większą podejrzliwością. Nawet jeśli usatysfakcjonowałyby go odpowiednie znaki, to nie potrafi znieść autentycznych zachodów miłosnych: w ramach tej logiki kobieta sama podpisała na siebie wyrok śmierci.

To nie sadystyczna historyjka – na to jest zbyt wzruszająca. Kto powiedział, że najlepszym dowodem miłości jest szacunek dla drugiego człowieka i jego pragnień? Być może ceną za piękność i uwiedzenie jest uwięzienie i skazanie na śmierć. Jedno i drugie jest zbyt niebezpieczne i nie sposób kobiecie oddać tego, co dała, i wobec tego można jej odpłacić tylko śmiercią. W jakimś sensie dziewczyna uświadamia to sobie, skoro reaguje na to uwodzenie wyższego stopnia, narzucone jej przez metaforę uwięzienia. Odpowiedzieć może jedynie oddając się w sensie seksualnym – a to zakrawa na banał w stosunku do wyzwania, jakie rzuca swoją urodą. Rozkosz seksualna nie uchyla potrzeby uwodzenia. Kiedyś wszyscy śmiertelnicy musieli odkupić swoje ciała za pomocą ofiary, współcześnie formy uwodzicielskie, może wszystkie żywe formy muszą odkupywać się poprzez śmierć. To prawo symboliczne, zresztą nie prawo, a nieuchronna reguła, pod którą podpadamy bezwarunkowo, jako pod coś arbitralnego i oczywistego, a nie zgodnego z jakąś transcendentną zasadą.

Czy należy stąd wnosić, że każda próba uwiedzenia kończy się zabójstwem obiektu, albo że zawsze – a to wariant tego samego tematu – wiąże się z próbą doprowadzenia drugiego czło-

wieka do szaleństwa? Czy urok, jaki się wywiera na drugiego człowieka, zawsze jest szkodliwy? Czy chodzi nam tylko o zemstę za urok, jaki inny na nas wywiera? Czy jest to gra na śmierć i życie, bliższa w każdym razie śmierci niż spokojnej wymiany przyjemności seksualnych? Uwodzenie zakłada, że to inny zapłaci za to, że zostaje uwiedzony, to znaczy za to, że został wyrwany sobie i stał się obiektem czarów: tutaj wszystko dzieje się zgodnie z symboliczną regułą bezpośredniego udziału, która narzuca ofiarnicze zależności między ludźmi a ich bóstwami w kulturach okrucieństwa, to znaczy relacje uznania i zezwolenia na nieograniczoną przemoc. Otóż uwodzenie należy do kultur okrucieństwa i jest ich jedyną ceremonialną formą, jak nam pozostała. To właśnie przyciąga naszą uwagę do śmierci, nie w jej formie organicznej i przypadkowej, lecz jako do czegoś koniecznego i rygorystycznego, jako do nieuniknionej implikacji reguł gry. Śmierć pozostaje najwyższym ryzykiem w każdym symbolicznym pakcie, zarówno gdy chodzi o wyzwanie, tajemnicę, uwodzenie czy perwersję.

Uwodzenie i perwersja tworzą subtelne relacje. Czyż uwodzenie nie jest formą odwrócenia porządku świata? A jednak wśród wszystkich namiętności, wszystkich poruszeń duszy to chyba perwersja w największym stopniu jest przeciwieństwem uwodzenia.

Obie są okrutne i obojętne, jeśli chodzi o seks.

Uwodzenie zawłaszcza wszystkie rozkosze, uczucia i wyobrażenia, nawet sny, odwracając ich pierwotny bieg i przeobrażając w wyrazistszą i bardziej wyrafinowaną grę, bez kresu i początku, niepodporządkowaną ani popędowi, ani pożądaniu.

Jeśli istnieje jakieś naturalne prawo seksu, zasada przyjemności, to uwodzenie polega na jej zaprzeczaniu i zastąpieniu regułą, arbitralną regułą gry. W tym sensie uwodzenie jest perwersyjne. Nieśmiertelność perwersji, podobnie jak nieśmiertelność uwodzenia, nie bierze się stąd, że wbrew wszelkiej moralności oddajemy się uciechom seksualnym, lecz z czegoś poważniejszego i subtelniejszego, z tego, że wyrzekamy się seksu jako odniesienia i moralności, nawet jeśli chodzi o związane z tym „uciechy”.

Gra, a nie zmysłowa rozkosz. Osobnik perwersyjny jest pod względem seksualnym zimny. Seks i seksualność przemienia w rytualny nośnik, ceremonialną i rytualną abstrakcję, w gorączkowe zainteresowanie znakami zamiast dialogu pożądania. W jego przypadku cała intensywność seksu skupia się w znakach i ich ciągach, tak jak u Artauda intensywność przechodzi na płaszczyznę następstwa zdarzeń teatralnych (wściekle wtargnięcie znaków w rzeczywistość). Ich przemoc jest ceremonialna, nie wiąże się z popędem, przemocą epatuje sam rytuał, jedynie reguły gry, gdyż to one kładą kres systemowi ukształtowanemu przez rzeczywistość: jest to prawdziwe okrucieństwo, niemające jednak nic wspólnego z przelewaniem krwi. W tym też sensie perwersja jest okrutna.

Źródłem fascynacji w perwersji jest oparty na regułach rytualny kult. Osobnik perwersyjny to nie ten, kto narusza prawo, lecz ten, kto się przed nim uchyla, ażeby poświęcić się regule, a więc ten, kto nie tylko unika celowości porządku seksualnego nastawionego na rozmnażanie, lecz unika samego owego porządku i związanego z nim symbolicznego prawa – po to, by zetknąć się z formą zrytualizowaną, regularną, ceremonialną.

Osobnik perwersyjny proponuje umowę, która umową nie jest, to znaczy nie jest transakcją między dwiema wolnymi osobami dokonującymi wymiany, lecz paktem mającym na celu przestrzeganie reguły i ustanawiającym relację pojedynku (jak w wyzwaniu), to znaczy wykluczającą udział trzeciej osoby (w odróżnieniu od umowy) i zakładającą nierozdzielność w kategoriach jednostkowych. I to właśnie ten pakt, ten pojedykowy układ określony przez siatkę zobowiązań nieznanych prawu, sprawia, że perwersja staje się niewrażliwa na wpływy otaczającego świata – nieprzenikniona dla analizy prowadzonej w kategoriach jednostkowej nieświadomości, a więc i psychoanalizy. Albowiem dziedzina reguły nie podpada pod jurysdykcję psychoanalizy, skupionej wyłącznie wokół Prawa. Perwersja to inny świat.

Układ pojedykowy uchyla prawo wymiany. Reguły perwersji znoszą naturalne prawo seksu. Arbitralna jak reguły gry, bez względu na swoją treść, perwersja narzuca się, co najważniejsze, właśnie jako reguła, znak lub system znaków oderwany od

porządku seksualnego (i być może jak u Klossowskiego, odchodząc od naturalnego prawa wymiany, staje się on nośnikiem rytualnej perwersji).

Stąd podobieństwo łączące klasztory, tajemne stowarzyszenia, zamki de Sade'a ze światem perwersji. Śluby, rytuały, ciągnące się bez końca ceremonie de Sade'a. Elementem łączącym jest kult reguły, a nie jej brak znamionujący nieład. W obrębie tej reguły osobnicy perwersyjni (para) mogą bez trudu uprawiać wszelkie zбочenia i spaczenia społeczne i uczuciowe, gdy dotyczy ich Prawo (toteż, według Goblota, w klasie mieszczańskiej można sobie pozwolić na wszystko pod warunkiem, że reguła klasowa, system arbitralnych znaków określających ją jako kastę, pozostaje nienaruszona). Dopuszczalne są wszelkie wykroczenia z wyjątkiem pogwałcenia Reguły.

A więc perwersję i uwodzenie łączy wyzwanie rzucone porządkowi naturalnemu. Niemniej jednak w wielu sytuacjach stanowią one jaskrawe przeciwieństwo, jak choćby w *Kolekcjonerze*, gdzie przeniknięta zazdrością perwersyjna namiętność triumfuje nad uwodzeniem. Albo w opowieści *Tancerka* przytoczonej przez Leo Scheera: esesman w obozie koncentracyjnym zmusza młodą Żydówkę, by zatańczyła mu przed śmiercią. Dziewczyna wykonuje polecenie i w trakcie tańca oczarowuje go, dzięki czemu może się do niego zbliżyć, ukraść mu broń i zabić. W starciu dwóch światów: świata esesmana uosabiającego siłę perwersji i oszołomienia, potęgę fascynacji (którą wzbudza wszechwładza szafarza życia), i świata dziewczyny, w którym uwodzi się poprzez taniec – zwycięża ten ostatni: uwiedzenie wdziera się w porządek fascynacji i odwracalności (przez prawie cały czas właściwie nie ma na to szans). I oto staje się oczywiste, że obie te logiki nawzajem się wykluczają i że jedna stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo dla drugiej.

Ale czy nie zawiązuje się między nimi stały cykl odwracalności? Przecież namiętność kolekcjonera ostatecznie kończy się poniekąd uwiedzeniem dziewczyny (a może tylko zauroczeniem, ale znowu, na czym polega różnica?), upojeniem, jakie wywołała, gdy rozpaczliwie próbując ogarnąć zajęty świat, równocześnie odsłoniła zapadlisko, pustkę, jakiej doświadcza się siłą anty-uwiedzenia, nowej formy wabienia.

Pewien typ uwiedzenia ma charakter perwersji: w przypadkach hysterii, która wykorzystuje uwiedzenie, żeby przed uwiedzeniem się bronić. Ale też uwodzicielska bywa i sama perwersja, gdy perwersyjny wybieg stosuje w celu uwiedzenia.

W przypadku hysterii uwiedzenie nabiera cech obscenicznych. Jednakże w niektórych formach pornografii obsceniczność nabiera cech uwodzicielskich. Uwodzić może i przemoc. A gwałt nie? Uwodzić może to, co ohydne i wstrętne. Gdzie kończą się uwodzicielskie wybiegi? Gdzie kończy się cykl odwracalności, czy też, kiedy należy go zatrzymać?

Jednakże głęboka różnica pozostaje faktem: osobnik perwersyjny jest skrajnie podejrzliwie nastawiony do uwodzenia i stara się je skodyfikować. Stara się ustalić jego reguły, sformalizować je w tekst, wyrazić je w pakcie. W ten sposób łamie podstawową regułę, regułę tajemnicy. Zamiast przestrzegać elastycznego ceremoniału uwodzenia, domaga się ceremoniału sztywnego i sztywnych zasad pojedynku. Przekształcając regułę w rzecz świętą i obsceniczną, wyznaczając ją jako cel, to znaczy jako prawo, kreśli strategię bezwzględnej obrony: jak w hysterii zwycięża teatr ciała, tak tu – teatr reguły. Ogólniej, wszelkie perwersyjne formy uwodzenia łączy to, że zdradzają swój sekret i podstawową regułę, zgodnie z którą powinna ona pozostać niewypowiadalna.

W tym też sensie perwersyjny jest sam uwodziciel. Gdyż on także odwodzi uwiedzenie od jego sekretnej reguły i czyni to rozmyślnie. Jest w uwiedzeniu tym, czym oszust w grze. Jeśli celem gry jest wygrana, to oszust okazuje się jedynym prawdziwym graczem. Gdyby uwiedzenie miało cel, to uwodziciel byłby idealną jego figurą. Lecz ani uwodzenia, ani gry nie można w ten sposób scharakteryzować i śmiało można założyć się, że postępowanie oszusta oraz zniżanie się do cynicznej strategii warunkuje nienawiść do gry, odrzucenie właściwej uwodzeniu gry – tak jak można się założyć, że postępowanie uwodziciela jest uwarunkowane strachem przed uwiedzeniem i koniecznością podjęcia wyzwania, jakie stanowi jego własna prawda. To właśnie kieruje go ku pierwszej seksualnej zdobyczy, a potem ku niezliczonym podbojom, w których fetyszuje on swoją strategię.

Osobnik perwersyjny zawsze wikła się w maniacką rzeczywistość panowania i prawa. Panowanie fetysyzowanej reguły, bezwzględne wpisanie w rytualizm. Nie ma już mowy o grze, o dynamice, reguła jest martwa i może jedynie odegrać własną śmierć. Fetyszyzm to uwodzenie śmierci, w tym tej, która zabija regułę w perwersjach.

Perwersja to spetryfikowane wyzwanie, uwodzenie to wyzwanie żywe. Uwodzenie to dynamika i przelotność, perwersja to monotonia i bezkres. Perwersja to teatr i współudział, uwodzenie to tajemnica i odwracalność.

Systemy naznaczone przez obsesję własnej systemowości: dostrajają się do śmierci jako energii fascynacji. Toteż namiętność kolekcjonera polega na osaczeniu, unieruchomieniu uwiedzenia przed przekształceniem go w energię śmierci. Terror zostaje rozbrojony przez ironię. Albo też uwiedzenie czyha na systemy w punkcie ich inercji, tym punkcie, gdzie w momencie utraty dynamiki nie ma już żadnego poza i nie jest już możliwa żadna reprezentacja – punkcie bez powrotu, w którym słabnie dynamika trajektorii, a przedmiot jest pochłaniany przez własną bezwładność i gęstość. Co się dzieje w otoczeniu takiego punktu inercji? Przedmiot zostaje zniekształcony jak tarcza słońca załamująca się za sprawą różnych warstw horyzontu – zgniecione przez własną masę, gdy już nie słucha własnych praw. O takich procesach inercji nie wiemy nic, z wyjątkiem tego, że krawędź tej czarnej dziury, punkt bez powrotu staje się momentem całkowitej odwracalności, katastrofą, w której łuk śmierci znajduje ujście w nowym efekcie uwiedzenia.

3. Polityczne przeznaczenie uwiedzenia

Namiętne upodobanie do reguł

*Żaden gracz nie może
przewyższyć samej gry.*
Rollerball

Dziennik uwodziciela mówi nam, że w uwodzeniu podmiot nigdy nie jest panem swojej strategii, i nawet jeśli jest ona przygotowywana z pełną świadomością stosowanych w niej środków, to sama podlega regule gry, która ją przekracza. Dramaturgia rytuału rozgrywającego się poza przestrzenią Prawa, uwodzenie – to gra i przeznaczenie, pchające protagonistów w stronę nieuchronnego końca, lecz bez naruszania reguł – gdyż to właśnie reguła ich zespala – i jest to wymóg podstawowy: gra musi się toczyć, nawet za cenę śmierci. Graczy wiąże z regułą coś w rodzaju namiętności, bez której sama gra nie byłaby możliwa.

Nasze życie toczy się w porządku Prawa, nawet gdy roi nam się jego obalenie. Przestrzeń pozaprawna to dla nas wyłącznie sfera wykroczenia i zniesionych zakazów. Albowiem wzór Prawa i zakazu odbija się w inwersyjnym schemacie wykroczenia i wyzwolenia. Wszelako przeciwieństwem prawa nie jest jego brak, jest nim Reguła.

Reguła wygrywa immanentne połączenie arbitralnych znaków, natomiast Prawo wznosi się na transcendentnym połączeniu znaków koniecznych. Reguła dotyczy cykli, powtarzalności konwencjonalnych procedur, natomiast Prawo to instancja oparta na nieodwracalnej ciągłości. Pierwsze pociąga za sobą zobowiązanie, drugie – ograniczenia i zakazy. Prawo wytycza granice, które nieuchronnie się przekracza. Natomiast „przekraczanie” reguł gry nie ma sensu: w ramach cyklicznej powtarzalności nie ma granicy, którą można by przeskoczyć (można

po prostu wyjść z gry). Ponieważ Prawo – zarówno to, które dotyczy sygnifikantu, jak i prawo kastracji czy zakaz społeczny – pretenduje do funkcji dyskursywnego znaku instancji prawnej i ukrytej prawdy, i skutkuje wyparciem i zakazami, a stąd podziałem na dyskurs jawny i utajony. Jako że reguła ma charakter konwencjonalny i arbitralny i nie zawiera żadnej prawdy utajonej, więc nie zna ani wyparcia, ani rozróżnienia między tym, co jawne i ukryte. Nie niesie żadnego znaczenia i donikąd nie zmierza, w przeciwieństwie do Prawa, które ma określony cel. Niekończący się odwracalny cykl Reguły jest przeciwieństwem linearnej, podporządkowanej celowi progresji Prawa.

W obu porządkach znak nie ma identycznego statusu. Prawo należy do świata reprezentacji i jest poddane interpretacji czy deszyfracji. Tworzy porządek zarządzeń i wypowiedzi, których podmiot nie jest neutralny. Jest tekstem, który podpada pod sensowność i referencjalność. Natomiast Reguła nie ma podmiotu, a modalność jej wypowiedzania ma niewielkie znaczenie; nie rozszyfrowuje się jej i nie dostarcza ona przyjemności sensu – liczy się tylko jej przestrzeganie i upajanie się tym faktem. To odróżnia także namiętne upodobanie do rytuałów gry od rozkoszy, która wiąże się z przestrzeganiem Prawa bądź jego naruszaniem.

Ażeby zrozumieć siłę rytualnych form, należy wyzbyć się myśli, że szczęście pochodzi wyłącznie z natury, a źródłem przyjemności jest zaspokajanie pragnień. Przeciwnie, w grach i zabawkach ujawnia się namiętne upodobanie do reguł, upajanie się nimi, zdolność, której źródłem jest ceremonia, a nie pragnienie.

Czy źródłem uniesienia odczuwanego w trakcie gry jest to, że sytuacja przypomina sen, w którym uwalniamy się od rzeczywistości, lecz w każdej chwili możemy go opuścić? Nie całkiem. Gra, podobnie jak sen toczy się zgodnie z pewnymi regułami, toteż ot tak sobie się jej nie porzuca. Jest zobowiązaniem, podobnie jak wyzwanie. Porzucenie gry grą już nie jest, w jej własnych ramach gry nie sposób zanegować i właśnie to przyciąga, a samą grę odróżnia od „rzeczywistości” – na mocy symbolicznego paktu, który zmusza do bezkrytycznego przestrzegania reguł

gry i prowadzenia jej do końca, na takiej zasadzie, na jakiej podejmuje się wyzwanie.

Ustanowiony przez grę porządek, wszak konwencjonalny, jest niewspółmierny z koniecznym porządkiem realnego świata: nie jest ani etyczny, ani psychologiczny, a jego zaakceptowanie (akceptacja jego reguł) nie oznacza ani rezygnacji, ani przymusu. Toteż w grach nie ma wolności w naszym moralistycznym i indywidualistycznym rozumieniu. Gry nie toczą się zgodnie z dialektyką dobrej woli, ową hipotetyczną dialektyką obejmującą sferę rzeczywistości i prawa. Wejście do gry oznacza wejście w system rytualnych zobowiązań, których siła stanowi pochodną jej formy inicjacyjnej – a nie naszej wolności, jak chcielibyśmy wierzyć, zgodnie z ideologią, która dostrzega tylko jedno, „naturalne” źródło szczęścia i rozkoszy.

Jedyną zasadą gry, co prawda nigdy nie ustanowioną jako zasada uniwersalna, jest to, że opowiadając się za regułą, uwalniamy się od prawa.

Reguła nie jest ugruntowana psychologicznie czy metafizycznie, nie jest zakorzeniona w wierze. Ani się w nią wierzy, ani nie wierzy – reguły się przestrzega. Ta rozproszona sfera wiary, związana z wymogiem wiarygodności obejmującym rzeczywistość ulatnia się w grze. Stąd jej nieśmiertelność: działać, obywając się bez wiary, sankcjonować bezpośrednią fascynację konwencjonalnymi znakami nieugruntowanych reguł.

Przekreślone zostają także długi: nie trzeba niczego spłacać, nie trzeba też wyrównywać żadnych rachunków z przeszłością. Z tego samego powodu obca jest grze dialektyka tego co możliwe i tego co niemożliwe: z przyszłością też nie mamy żadnych porachunków. Nic nie jest „możliwe”, ponieważ wszystko jest w grze i wszystko rozstrzyga się bez udziału wyboru i nadziei, zgodnie z automatyczną i nieubłaganą logiką. Dlatego właśnie przy stole do pokera nikt nie pozwala sobie na śmiech – logika gry jest zimna, ale nie swobodna, gra zaś, tocząc się poza nadzieją, nigdy nie jest obsceniczna i nigdy nie pozwala sobie na śmiech. Jest poważna, poważniejsza niż życie, co ujawnia paradoksalna sytuacja, gdy życie staje się stawką gry.

A zatem gra nie może opierać się na zasadzie przyjemności. Zakłada bowiem oczarowanie regułą i sferą, którą reguła okre-

śla. I nie jest to sfera iluzji czy rozrywki, lecz innej logiki, sztucznej i wtajemniczającej, gdzie uchylone zostają naturalne uwarunkowania życia i śmierci. Taka jest specyfika gry i taka jej stawka – i nie ma sensu sprowadzać jej do logiki ekonomii mówiącej o świadomym inwestowaniu czy logiki pożądania mówiącej o nieświadomych motywach. To podwójne uwarunkowanie, świadome czy nie, może dotyczyć jedynie sfery sensu i prawa, lecz nie reguł i gier.

Prawo opisuje potencjalnie uniwersalny system sensu i wartości. Jego celem jest obiektywne rozpoznanie. Dzięki tkwiącej u jego podstaw transcendencji konstytuuje się jako instancja totalizująca to, co rzeczywiste, wliczając w to wszystkie rewolucje i transgresje torujące drogę do uniwersalizacji prawa. Natomiast Reguła jest właściwością systemów ograniczonych i ścisłych, które opisuje, nie wykraczając poza nie, i wewnątrz nich pozostaje niezmienna. Reguła nie aspiruje do uniwersalności i, mówiąc ściśle, brak jej zewnętrzności, ponieważ nie ustanawia wewnętrznego cięcia. Dopiero przekroczenie Prawa ustanawia odwracalność sensu i wartości. Zaś immanentność reguły, jej arbitralność i ograniczoność prowadzą, każde we własnej sferze, do odwracalności sensu i obalenia Prawa.

To, że reguły zostają wpisane w sferę nieposiadającą żadnego „poza” (nie jest to już świat, skoro nie aspiruje do powszechności), równie trudno zrozumieć jak ideę skończoności świata. Granica funkcjonująca bez owego „poza” jest czymś niewyobrażalnym. Dla nas skończoność jest zawsze przeciwstawieniem nieskończoności, lecz sfera gier nie jest ani skończona, ani nieskończona – jest może ponadskończona. Ma wytyczone kontury, w których opiera się nieskończoności przestrzeni analitycznej. Ponownie wymyślić regułę to tyle, co przeciwstawiać się linearnej nieskończoności przestrzeni analitycznej w celu odnalezienia przestrzeni odwracalnej – gdyż reguła zawiera własną rewolucję, w dosłownym znaczeniu tego słowa: konwekcję ku punktowi centralnemu i odwrócenie cyklu (tak właśnie funkcjonują rytuały w obrębie cyklicznego świata), niezależnie od wszelkiej logiki przyczyny, skutku, początku i końca.

A więc koniec odśrodkowości: nagła, silna grawitacja przestrzeni, uchylenie czasu, który w tym momencie imploduje i nabiera takiej gęstości, że wymyka się tradycyjnym prawom fizyki – zwija się wewnętrzną spiralą ku środkowi, gdzie gęstość jest największa. To fascynacja grą, przezroczysta namiętność zacierająca ślad i pamięć, powodująca utratę sensu. Jest obecna w każdej namiętności, lecz w namiętnym upodobaniu do gry w stopniu najczystszy.

Najtrafniejsze byłoby tu porównanie z kulturami pierwotnymi, które opisywano jako zamknięte w sobie i pozbawione wyobrażenia na temat reszty świata. Jednakże w naszym społeczeństwie reszta świata istnieje tylko dla nas. Zamknięcie tamtych społeczeństw, choć nie ściśle, wynika z odmiennej logiki i ze względu na naszą pojęciową pułapkę uniwersalności może być rozumiane wyłącznie pejoratywnie jako ograniczoność.

W sferze symboliki tych kultur wyobrażenie reszty nie funkcjonuje. Także w grach, przeciwnie niż w rzeczywistości, nie ma żadnego „poza”. A że nie posiadają one ani historii, ani pamięci, ani nie mają mechanizmu wewnętrznej akumulacji (ponieważ stawki nieustannie się zużywa i odwraca, więc zgodnie z niewypowiedzianą regułą w trakcie trwania rozgrywki nie wolno niczego wycofać jako zysku czy „wartości dodanej”), więc w ich wewnętrznej sferze nie gromadzi się żadna pozostałość. Ale nie można też powiedzieć, że coś pozostaje na zewnątrz gry. „Reszta” oznacza nierozstrzygnięte równanie, niewypełnione przeznaczenie, odejmowanie lub nieprzyjęcie. Otóż w przypadku gry równanie zawsze znajduje idealne rozwiązanie, przeznaczenie gry spełnia się każdorazowo, nie pozostawiając żadnych śladów (i tym właśnie różni się od nieświadomości).

Teoria nieświadomości zakłada, że pewne uczucia, sceny czy znaczenia nie mogą już zostać wprowadzone do gry, że są wyłączone, poza grą. Gra z kolei opiera się na hipotezie, że wszystko można nią objąć. W przeciwnym razie należałoby przyznać, że zawsze już się przegrało. Tymczasem w grze nie ma przedmiotów straconych. Gry nie poprzedza nic, co dałoby się do niej sprowadzić – a zwłaszcza żadne uprzednie długi. Jeśli w obrębie gry odbywa się egzorcyzm, to jego przedmiotem nie jest dług zaciągnięty w obliczu prawa, lecz samo Prawo jako

niewybaczalna zbrodnia, jako element dyskryminujący, niewybaczalna transcendencja w obrębie rzeczywistości, prawo, którego naruszenie jedynie pomnaża jego zbrodnie – oraz nowe długi i rozpacz.

Prawo ustanawia równość jako zasadę: zgodnie z nią każdy jest wobec Prawa równy. Natomiast wobec reguły, przeciwnie, równości nie ma, gdyż nie oznacza ona jurysdykcji prawnej, a ponadto równość wymaga odrębności. Tymczasem partnerzy w grze nie są istotami odrębnymi, od razu zostają ustawieni w relacji pojedynku i antagonizmu, w żadnym razie nie traktowani jako jednostki. Nie występują solidarnie: solidarność jest przejawem formalnego myślenia społecznego, moralnego ideału rywalizującej grupy. Są natomiast ze sobą powiązani: równość jest zobowiązaniem niewymagającym solidarności, a przynajmniej nie w sensie tego, co należałoby uwewnętrznić czy poddawać refleksji.

Reguła funkcjonuje bez jakiegokolwiek formalnej struktury czy nadstruktury – moralnej czy psychologicznej. Właśnie dlatego, że jest arbitralna, nieugruntowana, pozbawiona odniesień, nie wymaga ani konsensu, ani woli czy prawdy grupowej – istnieje, i to wszystko, istnieje zaś wyłącznie jako reguła wspólna, podczas gdy Prawo unosi się nad rozproszonymi jednostkami.

Tę logikę wyraźnie ilustruje to, co Goblot nazywa w *La Barrière et Le Niveau* logiką klasy mieszczańskiej:

1. Całkowita równość partnerów w obszarze działania Reguły: to „poziom”,
2. Ekskluzywność Reguły, wyłączenie reszty świata: to „bariera”.

Eksterytorialność w obrębie własnej sfery i absolutna wzajemność w zakresie obowiązków i przywilejów: tę logikę gra przywraca w czystym stanie. Relacja agonu między partnerami nigdy nie podważa ich statusu, uprzywilejowanej wzajemności partnerów. Transakcja bowiem może skończyć się na niczym i określając ją stawki przepadają, stąd znaczenie wzajemnego oczarowania i arbitralność fundującej je Reguły.

Dlatego właśnie pojedynki wykluczają jakiegokolwiek wysiłek, zasługi albo osobiste przymioty (przede wszystkim w grze hazardowej w czystej postaci). Cechy osobiste liczą się jedynie ja-

ko przejaw uwodzicielskiego wdzięku i nie posiadają ekwiwalentu psychologicznego. I tak gra się toczy – zgodnie z boską przejrzystością Reguły.

Stąd oczarowanie wpisane w grę: jest efektem owego wyzwolenia z uniwersalności w przestrzeni skończonej – wyzwolenia z równości poprzez bezpośrednią równość, jaką gwarantuje pojedynki – wyzwolenia z wolności poprzez zobowiązanie, wyzwolenia z władzy Prawa poprzez arbitralność Reguły i ceremoniału.

W przestrzeni ceremoniału ludzie są poniekąd bardziej równi niż wobec Prawa (stąd być może nacisk na grzeczność, na ceremonialną zgodność zwłaszcza w klasach słabo wykształconych: łatwiej dzielić znaki konwencjonalne niż „inteligentne” i obciążone sensem). W grze są ponadto bardziej wolni niż gdzie indziej, gdyż nie muszą uwewnętrznić Reguły, muszą jedynie zachować protokolarną lojalność i nie ma mowy o jej przekraczaniu, jak jest w przypadku Prawa. Dzięki Regule jesteśmy wolni od Prawa. I od wszystkich ograniczeń, jakie niesie konieczność dokonywania wyboru, wolność, odpowiedzialność i sens! Terror sensu można znieść jedynie siłą arbitralnych znaków.

Lecz nie miejmy złudzeń: znaki konwencjonalne, rytualne znaki są ze sobą powiązane. Żaden nie może sobie znaczyć w izolacji, nadal zachowując spójne relacje z rzeczywistością czy prawdą. Wolność postulowana współcześnie przez znaki, podobnie jak wolność jednostki pozwalająca wyrażać siebie zgodnie z własnymi uczuciami czy pragnieniami (sensu), nie istnieje dla znaków konwencjonalnych. Te bowiem nie mogą działać na chybił trafił, obciążone balastem własnego odniesienia czy okrawkiem sensu. Znaki są ze sobą powiązane, nie w abstrakcyjnej strukturze języka, lecz w szalonej, uciekającej przed sensem dynamice ceremoniału, odbijają się i podwajają w znakach równie arbitralnych jak one.

Znak rytualny nie jest znakiem przedstawiającym. Nie nadaje się więc do tego, by go rozumieć. Natomiast wyzwala nas od sensu. I stąd właśnie nasz szczególny z nim związek. Długi hazardowe są długami honorowymi: wszystko, co dotyczy gry, jest ze względu na swoją konwencjonalność święte.

Roland Barthes w ten sposób uzasadnia we *Fragmentach dyskursu miłosnego* decyzję o przyjęciu porządku alfabetycznego: „Aby odwieść się od pokus szukania sensu, należało wybrać zupełnie nie znaczący porządek”⁵ – to znaczy ani zamierzony, ani zupełnie przypadkowy, lecz idealnie konwencjonalny. Albowiem, powiada Barthes, cytując matematyka: „nie należy lekceważyć siły przypadku zdolnej płodzić potwory” – to znaczy ciągi logiczne, a więc sens.

Inaczej mówiąc, całkowita wolność, bezwzględny brak uwarunkowania nie jest przeciwieństwem sensu. Sens niekiedy jest wytworem prostej gry nieładu i przypadku. Nowe przekątne sensu, nowe ciągi mogą zostać zagrożone ze strony niepowstrzymanej fali pożądania – jak w niektórych nowoczesnych filozofiach, drobinowych i wytężonych, które twierdzą, że podkopują sens poprzez załamywanie, tworzenie rozgałęzień czy ruchy Browna dynamizujące pożądanie – podobnie jak w odniesieniu do przypadku, nie możemy nie doceniać zdolności pożądania do wywoływania potworów (logiki).

Sensowi nie sposób wymknąć się poprzez rozkojarzenie, rozłączenie czy deterytorializację. Natomiast można, zastępując go bardziej podstawową symulakrą, porządkiem jeszcze bardziej konwencjonalnym – tak jak porządek alfabetyczny u Barthes’a, jak reguła gry, niezliczone rytualizacje życia codziennego, które udaremniają nieład (przypadek), a zarazem obracają wniwecz porządek sensu (polityczny, historyczny, społeczny), jakich chce się im narzucić.

Nieokreśloność, rozłączanie czy rozprzestrzenianie – na sposób gwiazd lub korzeni – jedynie rozszerza sferę wpływów sensu na cały obszar nie-sensu. To znaczy, uogólnia czystą formę sensu, abstrakcyjną celowość bez określonego celu czy treści. Jedynie rytuał uchyla sens.

Dlatego właśnie nie istnieją „rytuały przekroczenia”. Już samo określenie nie ma sensu, zwłaszcza gdy odnosi się je do

⁵ R. Barthes, *Fragmenty dyskursu miłosnego*. Przekład i posłowie Marek Bieńczyk. Wstęp Michał Paweł Markowski. Warszawa 1999, s. 44.

święta, które tyle kłopotów sprawiło naszym rewolucjonistom: bo czymże ono jest, naruszeniem Prawa czy jego odnowieniem? Nonsens: rytuał, rytualna liturgia święta nie należy do porządku Prawa i jego naruszania, lecz do porządku Reguły.

To samo dotyczy magii. To, co podpada pod Regułę, powszechnie interpretujemy w kategoriach prawa. Toteż magię postrzegamy jako próbę przechytrzenia praw rządzących wytwarzaniem i pracą. Ludy pierwotne mają takie same „utylitarystyczne” cele, co my, lecz żeby je zrealizować, raczej nie nadużywają racjonalistycznych procedur. Bo i nie w tym rzecz: magia to rytuał, którego celem jest podtrzymanie gry zależności będącej analogią świata, cyklicznego powiązania wszystkich rzeczy powiązanych ze sobą za pomocą oznaczających je znaków – to potężna reguła gry rządząca magią, zaś zasadniczy problem, jeżeli chodzi o funkcjonowanie rytuału, polega na wymuszeniu takiej nieustannej gry poprzez analogiczną przyległość, poprzez stopniowe uwodzenie. Nie ma to nic wspólnego z linearnością przyczyny i skutku. Ona bowiem – a poprzez nią rozumiemy świat – jest obiektywna, lecz nieregularna: to ona złamała regułę.

Magia nie należy nawet do świata podstępu przeciwstawianego prawu, magia nie oszukuje. Jest czymś innym. Dlatego nonsensem jest także ocenianie jej według kryteriów, w świetle których można by równie dobrze rozpatrywać arbitralność reguł gry w perspektywie „obiektywnych” darów natury.

Takie naiwnie obiektywistyczne ujęcia stosuje się również w odniesieniu do gier hazardowych. Cel gry miałby charakter ekonomiczny: łatwy zarobek. Identyczna metoda pomijania niektórych etapów, co w przypadku magii. Identyczne przekroczenie zasady ekwiwalencji i pracy, która rządzi „realnym” światem. Prawdy gry należałoby więc szukać w realnym świecie i w praktykach polegających na manipulowaniu wartościami.

Ale zapominamy o uwodzicielskiej sile gry. Nie tylko tej, której doświadczamy, gdy w jednej chwili dajemy się ponieść, lecz także tej, która przeobraża wartości pojawiające się wraz z regułą. Gry hazardowe, odwołując się do swojej prawdy, uwodzą: odcięte od prawa ekwiwalentów („pałą”), lecz także od prawa reprezentacji: pieniądź nie jest już znakiem reprezentującym,

gdyż zostaje przeobrażony przez grę. Otóż stawka nie ma nic wspólnego z inwestycją, w jej przypadku bowiem zachowuje formę kapitału – jako stawka nabiera charakteru wyzwania. „Postawienie” nie ma nic wspólnego z lokatą, nie więcej niż zaangażowanie seksualne z ryzykiem uwiedzenia.

Inwestycje, kontrinwestycje: to psychiczna ekonomia podniet seksualnych. Gra, stawka i wyzwanie – oto figury namiętności i uwodzenia. Ogólniej: pieniądze, język, seks i uczucie, wszystko to podlega całkowitej zmianie sensu w zależności od tego, czy zostało zmobilizowane w inwestycji, czy zostało zamienione w stawkę gry. Nie sposób tych dwóch rzeczy sprowadzić do siebie.

Gdyby grę określał cel, na miano jedyne prawdziwego gracza zasługiwałby oszust. O ile naruszając prawo można zdobyć pewien prestiż, to naruszając regułę czy oszukując prestiżu się nie zyskuje. Po prawdzie oszust nie może naruszyć reguł, skoro gra, nie tworząc systemu zakazów, nie posiada granic, które można by przekraczać. Reguł się nie „narusza”, można ich jedynie nie przestrzegać. A nieprzestrzeganie nie prowadzi do stanu przekroczenia, cofa natomiast pod jurysdykcję prawa.

Tak jest w przypadku oszusta, który z powodów ekonomicznych (albo psychicznych, gdy oszukuje dla przyjemności wygrania) neguje czy wręcz profanuje konwencje ceremoniału gry, a tym samym przywraca prawa rządzące w rzeczywistym świecie. Wprowadzając czynnik indywidualizmu, rozwiewa właściwy grze czar „pojedyńku”. Jeśli oszustwo karano kiedyś śmiercią, i nadal surowo się je karze, to dlatego, że jako zbrodnia przypomina kazirodztwo: złamane zostają reguły kulturowe, a jedynym beneficjentem są „prawa natury”.

Dla oszusta nie liczy się już stawka. Myli on stawkę z procesem wytwarzania wartości dodatkowej. Otóż stawka jest tym, co początkowo umożliwia grę, toteż przekształcanie jej w cel gry jest sprzeniewierzeniem. Na podobnej zasadzie reguła jedynie umożliwia grę, tworzy przestrzeń, w której toczy się pojedynek partnerów. Ktoś, kto widziałby w niej cel (taki jak prawo czy

prawda), zniszczyłby zarówno grę, jak i to, o co ona się toczy. Reguła nie funkcjonuje autonomicznie, nie ma owej wybitnej cechy, która według Marksa charakteryzuje towar i kupca, tej najświętszej wartości królestwa ekonomii. Oszust działa autonomicznie: odnalazł prawo, swoje własne prawo, wbrew arbitralnemu rytuałowi reguły – i to właśnie on ów rytuał dyskwalifikuje. Oszust jest wolny – i to tłumaczy jego upadek. Jest istotą pospolitą, ponieważ nie naraża się na działanie uwodzicielskiej siły gry, gdyż wzbrania się przed upojnością uwiedzenia. Można zresztą wysunąć hipotezę, że osobista korzyść jest jego jedynym alibi: w rzeczywistości oszukuje po to, by uniknąć uwiedzenia, oszukuje ze strachu przed uwiedzeniem.

Wyzwanie, jakie niesie gra, to już zupełnie inna sprawa, i gra zawsze jest wyzwaniem, a nie tylko wtedy, gdy toczy się przy stole. Świadectwem historia Amerykanina, który zamieścił w gazecie drobne ogłoszenie — „Przyślij mi dolara!” – w następstwie czego otrzymał dziesiątki tysięcy dolarów. Niczego nie obiecywał, a więc nikogo nie oszukał. Nie powiedział: „Potrzebuję dolara” – w takiej sytuacji nikt byłby mu nie przysłał. Jakimś sposobem wyzwolił możliwość cudownej wymiany. To coś więcej niż ekwiwalencja. To podbijanie ceny. Rzucił wszystkim wyzwanie.

Na czym polegała ta wysublimowana transakcja, w którą wdali się czytelnicy, zamiast kupić sobie za dolara loda? Nikt nigdy by nie uwierzył, że otrzyma w zamian dziesięć tysięcy dolarów – choć, swoją drogą, każdy z nich na swój sposób podjął wyzwanie, dobre jak każde inne, na wieść o magicznych widełkach, które i tak zawsze zapewniają wygraną:

„Nigdy nie wiadomo, może się uda (dziesięć tysięcy dolarów zwrótną pocztą), a w takim razie będzie to oznaka przychylności Bogów” (jakich? Tych, którzy wydrukowali ogłoszenie).

„Jeśli się nie uda, to dlatego, że mroczna instancja, która dała mi znak, nie podjęła mojego wyzwania. Tym gorzej dla niej. W sensie psychicznym wygrałem wbrew Bogom”.

Podwójne wyzwanie: rzucone przez spryciarza naiwniakiowi, lecz także przez głuptasa – przeznaczaniu. Jeśli los go przyniesie, wtedy umknie. Poczucie winy niezmiennie pozostaje siedliskiem egzorcyzmu, ale tak naprawdę nie jest to kwestia winy. Wysłanie dolara w odpowiedzi na niedorzeczne wyzwanie w ogłoszeniu to reakcja ofiarncza *par excellence*. Można to podsumować następująco: coś musi się za tym kryć. „Wzywam Bógów, niech reagują albo znikają” – a takie wyzwanie zawsze sprawia przyjemność.

Stawka i wyzwanie, wezwanie i licytowanie się – nie jest to kwestia wiary. Zresztą w „nic” się nie wierzy. Rzecz nigdy nie polega na tym, czy się wierzy, czy nie, w każdym razie nie bardziej niż w świętego Mikołaja. Wiara jest pojęciem niedorzecznym, tak samo jak motywacja, potrzeba, instynkt, to znaczy popęd i pożądanie, i Bóg wie co jeszcze – łatwe tautologie ukrywające przed nami fakt, że nasze działania nigdy nie są psychologicznie ugruntowane w wierze, lecz w stawkach i w wyzwaniach. Nigdy nie jest to kwestia starannej spekulacji na temat istnienia (istnienia Boga czy kogoś, kto ma dolara), lecz nieustannej prowokacji, gry. W Boga nie wierzy się, dokładnie tak samo, jak nie „wierzy się” w przypadek – nie licząc zbanalizowanej paplaniny religijnej czy psychologicznej. Rzuca się im wyzwanie, rzucają je też oni, prowadzi się z nimi grę i dlatego właśnie nie trzeba w nich „wierzyć”, wierzyć nie należy.

A zatem wiara jest w porządku religijnym tym, czym uwiedzenie w wyzwaniu miłosnym. Religia zwraca się ku bożej egzystencji – natomiast istnienie posiada status wyłącznie zubożały, rezydualny, gdyż jest tym, co pozostaje, gdy wszystko inne się usunie – wiara jest wyzwaniem rzuconym istnieniu Boga, wyzwaniem, by zaistniał i na powrót umarł. Wiara uwodzimy Boga, On zaś nie może nie odpowiedzieć, gdyż uwodzenie, podobnie jak wyzwanie jest formą odwracalną. I On miłosiernie odpowiada po stokroć na wyzwanie wiary. Całość tworzy system zobowiązań, jak w wymianie rytualnej, i Bóg zawsze zostaje zobowiązany, zmuszony do odpowiedzenia, choć wcale nie jest zmuszony do istnienia. Wiara zadowala się prośbą, by istniał i raty-

fikował istnienie świata – to forma odczarowana, nosząca wszelkie cechy umowy – za sprawą wiary Bóg staje się stawką: wyzwaniem istnienia rzuconego przez Boga człowiekowi (na które zawsze można odpowiedzieć śmiercią) – zaś człowiek rzuca Bogu wyzwanie, by odpowiedział na jego ofiarę, to znaczy, żeby w zamian zniknął.

Zawsze aspiruje się do czegoś więcej niż samo istnienie i czegoś więcej niż ekwiwalent wartości – a to coś więcej, to nieumiarkowanie wyzwania względem umowy, licytacja względem równowagi przyczyn i skutków, to właśnie jest rezultatem uwiedzenia – właściwego grze i magii. Jeśli doświadczaliśmy tego w uwiedzeniu miłosnym, to dlaczego nie przenieść tego na relacje wiążące nas ze światem? Symboliczna skuteczność to wcale nie pusty koncept. Odzwierciedla ona inny funkcjonujący obieg dóbr i znaków, formę o wiele skuteczniejszą i potężniejszą od obiegu ekonomicznego. W bajecznych wygranych przy stolikach hazardowych fascynują nie pieniądze, lecz więź odnowiona poza prawem i ekwiwalencją, poza zrealizowanym w umowie prawem wymiany, więź z tym innym obiegiem symbolicznym automatycznej i bezgranicznej licytacji związanej z uwodzeniem w porządku rzeczy.

Właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, by rzeczy uwodzić tak jak istoty – wystarczy odkryć reguły gry.

W całej rozciągłości dochodzi tutaj do głosu problem przypadku. Stawka w magii jest tym samym, co w grach hazardowych. Jest nią wartość rzucona w twarz przypadkowi traktowanemu jako instancja transcendentna, rzucona nie po to, by zjednać sobie jego przychylność, lecz oderwać od transcendencji, abstrakcji, by uczynić zeń partnera, przeciwnika. Stawka to wyzwanie, gra to pojedynek: przypadek zostaje wezwany do reakcji, jest zobowiązany przez stawkę gracza – bądź do określenia się – jako wróg lub sprzymierzeniec. Przypadek nigdy nie jest obojętny, gra przeobraża go w gracza i w figurę agonu.

Dość powiedzieć, że podstawową hipotezą gry jest to, iż przypadek nie istnieje.

Przypadek w nowoczesnym racjonalnym sensie, przypadek jako mechanizm losowy, czyste prawdopodobieństwo podporządkowane prawom prawdopodobieństwa (a nie regułem gry):

swego rodzaju Wielkie Neutralne Zrządzenie (WNZ), streszczająca w sobie płynną rzeczywistość rządzoną przez abstrakcje statystyki, odbóstwioną, odprawioną, odczarowaną boskość – tego rodzaju przypadek z całą pewnością nie pojawia się w przestrzeni gry. Gra ma właśnie zjednywać przypadek. Gra losowa neguje sens wszelkiej losowej dystrybucji panującej w świecie, dąży do złamania tego neutralnego porządku i wbrew zobowiązaniom odtwarza porządek rytualny, który zaszachuje wolny świat ekwiwalencji. I właśnie pod tym względem gra stanowi radykalne przeciwstawienie Prawa i ekonomii. Niezmiennie podważa rzeczywistość przypadku jako prawa obiektywnego i zastępuje ją światem wzajemnych powiązań, sprzyjających sytuacji pojedynku, agonu i nieprzypadkowości – światem czaru w mocnym sensie tego słowa, światem uwodzenia.

Stąd tyle przesądów i manipulacji wokół gier, które często (np. Caillois) postrzega się jako zwyczaje zdegradowane. Sięganie do praktyk magicznych, od stawiania na datę urodzin po wychwytywanie powtarzających się serii (na przykład jedenastka, bo w Monte Carlo poszło jedenaście razy), od najbardziej wyrafinowanych formuł zapewniających wygraną po łapkę królika w kieszeni płaszcza – wszystko to żywi się myślą, że przypadek nie istnieje, że świat tworzy sieć symbolicznych zależności – nie przygodnych związków, lecz zobowiązań, sieć uwieżeń. Wystarczy tylko uruchomić mechanizmy.

Gracz broni się za wszelką cenę przed wizją świata neutralnego, którego integralną część stanowi przypadek jako coś obiektywnego. Twierdzi, że wszystko daje się uwieść, cyfry, litery, prawa rządzące ich rozkładem – chce uwieść samo Prawo. Najbliższy znak, najdrobniejszy gest ma sens, co nie oznacza, że stanowi część jakiegoś racjonalnego ciągu, lecz że znaki są na siebie nawzajem wrażliwe i że każdy z nich może zostać uwiedziony przez inne, że świat spajają takie nieubłagane powiązania, które nie mają nic wspólnego z Prawem.

W tym tkwi „immoralizm” gry, często kojarzony z pragnieniem zbyt szybkiego zdobycia zbyt wielkiej wygranej. Ale to nadmierny zaszczyt dla takiego pragnienia. Gra jest o wiele bardziej amoralna. Jest amoralna, ponieważ porządek produkcji zastępuje porządkiem uwodzenia.

Jeśli gra jest przedsięwzięciem polegającym na uwodzeniu przypadku, które wplata się w ciągi znaków (niemające nic wspólnego z myśleniem przyczynowo-skutkowym czy przygodnymi ciągami), i jeśli wykazuje tendencję do uchylania obiektywnej neutralności przypadku i poświadczonej przez statystykę „wolności”, zniewalając ją pod postacią pojedynków, wyzwań czy regularnej licytacji, to nie sposób myśleć, jak Deleuze w *Logice sensu*, o „grze idealnej”, polegającej na uwolnieniu przypadku, na nadmiernej nieokreśloności, która wyzwoliłaby grę we wszystkich ciągach i tym samym umożliwiłaby radykalną ekspresję stawania się i pożądania.

Prawdopodobieństwo, że dwie sekwencje nigdy czy prawie nigdy się nie przetną, wyklucza samą ewentualność gry (skoro nigdy się nie przetną, to nie można mówić o przypadku). Ale tak samo jest z prawdopodobieństwem, że w danym momencie następuje przecięcie się nieokreślonej liczby sekwencji. Albowiem pojęcie gry warunkuje przecięcie się dwóch lub więcej ciągów w czasoprzestrzeni opisanej przez regułę, która zresztą jest warunkiem zaistnienia przypadku i nie oznacza ograniczenia wolności w odniesieniu do przypadku „bezwzględnego”, lecz określiła sam sposób istnienia gry.

Nie chodzi o to, że im więcej gry, tym „więcej” przypadku. Chodzi o skonceptualizowanie zarówno gry, jak i przypadku w kategoriach pewnej „wolności” kombinacji, immanentnego dryfu, stałego rozpadu porządków i ciągów, nieregularnego improwizowania pragnienia – swego rodzaju demona czy złośliwego ducha, który dałby na wszystkie strony, który ponownie tchnąłby lekką niepewność, nadwyżkę stawania się, przeciwstawiając się regularnej ekonomii świata.

I to właśnie jest niedorzeczne: stawanie się nie może być ani większe, ani mniejsze. Żadnego dawkowania czy przedawkowania. Albo świat funkcjonuje w cyklu stawania się i tak jest w każdym momencie, albo nie. W każdym razie nie ma najmniejszego sensu mówienie o „opowiadaniu się” za stawaniem się, przypadkiem czy pragnieniem, zakładając, że istnieją: nie ma wyboru. „Opowiedzenie się po stronie procesu pierwotnego wciąż pozostaje następstwem procesów wtórnych” (Lyotard).

Sama myśl, że grę i przypadek można przyspieszyć, zintensyfikować – zupełnie jakby chodziło o stężenie kwasu w roztworze – myśl, że stawanie się można tym samym wykładniczo spotęgować, sprawia, że przypadek staje się swego rodzaju funkcją energetyczną i jest pochodną utożsamiania go z pragnieniem. Ale to nie jest przypadek. Można by nawet przyznać, co potajemnie czyni gracz, że przypadek wcale nie istnieje. Bo przecież w wielu kulturach nawet nie występuje ani takie określenie, ani takie pojęcie, gdyż niczego nie postrzega się w nich w kategoriach przygodności, czy nawet w kategoriach prawdopodobieństwa. Tylko nasza kultura odkryła możliwość statystycznej, nieorganicznej, obiektywnej reakcji, reakcji martwej i płynnej, obiektywnej nieokreśloności i zagubienia zjawisk. Jakże szalone okazałoby się po namyśle założenie przygodności świata, który byłby pozbawiony wszelkich przymusów, wyprany z wszelkich reguł symbolicznych czy formalnych, i myśl, że w świecie rzeczy panuje molekularny i obiektywny nieład – taki sam, jaki gloryfikuje i idealizuje molekularna wizja pragnienia. Niewiele mniej szalone od tego, które proponuje obiektywny porządek rzeczy, powiązanie przyczyn i skutków, które miało swoje piękne chwile w epoce klasycznego rozumu, z którego zresztą wypływa, zgodnie z logiką rezyduuów.

Narodziny przypadku to pozostałość logicznego porządku określoności. Lecz nawet wtedy, gdy traktuje się go jako hipostazę rewolucyjnej zmiennej, wciąż pozostaje zwierciadlanym obrazem zasady przyczynowości. Jego uogólnienie, jego nieuwarunkowane „wyzwolenie”, jak w Deleuze’owskiej „grze idealnej”, stanowi część politycznej i mistycznej ekonomii rezyduuów powszechnie dzisiaj funkcjonujących – przy strukturalnym przekształcaniu określeń słabych w określenia mocne: przypadek, kiedyś obsceniczny i nie mający znaczenia, zostanie wskrzeszony w swej bezznaczeniowości i stanie się dewizą nomadycznej ekonomii pragnienia.

Gra nie jest tym, czym stawanie się, nie należy do porządku pragnienia, nie ma też charakteru nomadycznego. Określa ją, nawet w przypadku gier losowych, zdolność do odtwarzania nieskończoną ilość razy danego arbitralnego układu, w identycznych kategoriach. Jej formę określa cykliczność i powtarzalność. To właśnie ona i tylko ona definitywnie kładzie kres

przyczynowości i jej zasadzie – nie poprzez wtargnięcie chaotycznych ciągów, co jedynie rozprasza przyczynowość, sprowadzając ją do porzrzuconych fragmentów, a nie przewyciężając, lecz poprzez ewentualność powrotu (wiecznego powrotu, jeśli kto woli) do konwencjonalnej i regularnej sytuacji.

Nie weksel pragnienia i jego „wolność”, nie weksel naturalnego stawania się (heraklitejska zabawa światem albo zabawa dziecięcą), lecz wieczny powrót rytualnej formy, która jako taka jest pożądana. Każda sekwencja gry wyzwala nas w ten sposób z linearności życia i śmierci.

Istnieją dwa typy wiecznego powrotu. Statystyczny – neutralny, obiektywny i niewyrazisty, gdzie – zważywszy na to, że kombinacje, choćby najliczniejsze, w skończonym systemie nie mogą być nieskończone – prawdopodobieństwo wymaga, by ten sam układ w końcu się powtórzył, zgodnie z wielkim cyklem. LiCHA metafizyka: to naturalny wieczny powrót, zgodny z naturą i statystyczną przyczynowością. Druga wizja ma charakter tragiczny i rytualny: to powtarzalność oczekiwana, jak w grach, arbitralnego i nieprzyczynowego układu znaków, gdzie znaki bezlitośnie gonią się jak w ceremonialnym biegu. To wieczny powrót podporządkowany regule – to znaczy obligatoryjne następstwo rzutów i zakładów. I nie ma znaczenia, czy są to reguły gry samego świata: na horyzoncie odwracalnego w nieskończoność cyklu nie rysuje się żadna metafizyka, zwłaszcza metafizyka pragnienia, która wciąż należy do naturalnego ładu świata, czy też jego naturalnego nieładu.

Pragnienie jest oczywiście Prawem świata, jednak jego regułą jest wieczny powrót. Na szczęście dla nas, bo czy w przeciwnym razie można by mówić o przyjemności gry?

W stan najwyższego upojenia wprowadza rzut kości kończący się „wylimitowaniem przypadku”, gdy wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu zero wypada kilka razy z rzędu. Oto fantazmat ideału gry: ekstaza wywołana powstrzymaniem przypadkowości, gdy pod wpływem wyzwania powtarza się identyczny wynik i rzut uchyla przypadkowość i prawo. I cały świat gra w oczekiwaniu na tę symboliczną licytację, to znaczy wydarzenie

kładące kres przypadkowemu procesowi, nie wpadające jednak ponownie pod władzę obiektywnego prawa. Każdy rzut wywołuje jedynie umiarkowane upojenie, lecz gdy los podbija stawkę – znak, że sam wkroczył do gry – gdy sam los niejako rzuca wyzwanie naturalnemu porządkowi rzeczy i włącza się w szaleństwo albo w rytualne upojenie, wtedy uwalnia się namiętność, a umysły opanowuje prawdziwie śmiertelna fascynacja.

Nie ma to nic wspólnego z wyobraźnią, tkwi w tym natomiast nieodparta potrzeba zakończenia naturalnej gry różnic, jak również historycznego tworzenia się prawa. Nie ma donioślejszego momentu. Naturalnej eskalacji pragnienia można odpowiedzieć jedynie rytualnie przelicytowując je grą uwiedzenia; odwołującej się do umowy eskalacji prawa można odpowiedzieć jedynie przelicytowując ją upojeniem formalizacją reguł. Kryształiczna namiętność, nieznająca miary.

Gra nie należy do królestwa fantazmatu i niefantazmatyczna jest jej powtarzalność. Ta bowiem wywodzi się z „drugiej” sceny i jest figurą śmierci. Wyływa natomiast z reguły i jest figurą uwiedzenia i rozkoszy. Każda powtarzalna figura sensu, emocjonalna czy przedstawieniowa, jest figurą śmierci. Rozkosz wyzwala się jedynie dzięki wypranej z sensu powtarzalności, która nie wynika ani z ładu świadomości, ani z nieładu nieświadomości, lecz z odwrócenia i ponowienia czystej formy, która stanowi wyzwanie dla prawa treści oraz ich akumulowania, i je przewyższa.

Właściwa grze powtarzalność bije wprost z losu i jako los istnieje. Nie jako popęd śmierci czy tendencyjne obniżanie skali różnicy aż do entropijnego wygaszania systemów sensu, lecz jako forma rytualnej inkantacji, ceremoniału, w którym znaki raptownie przyciągają się, nie zostawiając miejsca na sens i mogąc jedynie się podwajać. Tutaj także występuje upojenie uwiedzeniem, pogrążenie się w powrotnym przeznaczeniu: wszystkim społeczeństwom, tylko nie naszym, znany jest ów teatr rytualności, będący zarazem teatrem okrucieństwa. W grze jest coś z tego okrucieństwa. W porównaniu z nią wszystko, co rzeczywiste, zalatuje sentymentalizmem. Prawda i nawet Prawo to tylko sentymentalni krewni czystych form powtórzenia.

Jak przeciwieństwem prawa nie jest wolność, lecz reguła, tak przeciwieństwem przyczynowości nie jest nieokreśloność, lecz obligatoryjność – ta nie tworzy linearnie powiązanego ciągu ani go nie rozbija, co można by uznać za romantyczną wersję rozstrojonej przyczynowości, lecz powiązanie odwracalne – które, przenosząc się ze znaku na znak, nieuchronnie domyka cykl, traktując eliptycznie jego początek i oszczędzając zakończenia – zupełnie jak w wypadku muszli i bransolet wymienianych w Polinezji. Cykl zobowiązań nie tworzy kodu. Zobowiązanie w sensie mocnym, rytualnym, zakorzenionym od niepamiętnych czasów w cyklu stworzonym przez rzeczy i ludzi, utożsamialiśmy z banalnym przymusem wywieranym przez prawa, które rządzą nami pod przeciwnym znakiem, znakiem wolności.

W czystym, nomadycznym przypadku, o którym mówił Deleuze, w jego „grze idealnej” występuje wyłącznie rozłączność i przyczynowość rozproszona. Ale tylko błąd pojęciowy pozwala odrębnie traktować grę i jej reguły w celu radykalizowania jej utopijnej formy. Dzięki temu samemu nadużyciu, czy ułatwieniu, można rozłącznie traktować przypadek i to, co go określa: obiektywny rachunek ciągów i prawdopodobieństw, i w ten sposób uczynić zeń *leitmotiv* idealnej nieokreśloności, idealnego pragnienia tworzonego przez nieustanne wydarzanie się niezliczonych ciągów. Ale dlaczego więcej ciągów? Dlaczego nie ruchy Browna? Dlatego że te ostatnie, choć sprawiają wrażenie idealnego fizycznego modelu radykalnego pragnienia, rządzą się swoimi prawami i nie tworzą gry.

Uogólnianie przypadku jako „gry idealnej” bez równoczesnego uogólnienia samych reguł gry przypomina fantazję polegającą na radykalnym ujmowaniu pragnienia poprzez usuwanie zeń prawa i braku. Obiektywny idealizm „gry idealnej”, idealizm subiektywny pragnienia.

Gra to system pozbawiony sprzeczności, niedrażony przez wewnętrzną negatywność. Dlatego właśnie z gry nie wolno się śmiać. A nie wolno jej parodiować właśnie dlatego, że charakter parodii ma cała jej struktura. Reguła bowiem funkcjonuje jako parodystyczna symulakra prawa. Nie odwrotność czy obalenie prawa, lecz jego odwrócenie w symulacji. Stąd dwoistość przyjemności, jaką sprawia gra: unieważnienie czasu i przestrzeni

w obrębie sfery oczarowania, w której panuje niepodważalna wzajemność – czyste uwiedzenie – oraz parodiowanie rzeczywistości, formalne licytowanie przymusów prawnych.

Czyż można stworzyć świetniejszą parodię etyki wartości niż niezłomnie poddając się zrządzeniom przypadku czy niedorzecznościom reguły? Czyż istnieje świetniejsza parodia wartości pracy, ekonomii, produkcji i kalkulacji niż wyzwanie i zakład, niż takie pojęcia, jak zakład i wyzwanie, fantastyczna nieśmiertelna dysproporcja między stawką a ewentualną wygraną (bądź przegraną, wszak równie nieśmiertelną)? Czyż istnieje świetniejsza parodia samego pojęcia umowy i wymiany niż magiczne porozumienie, ten „pojedynek” zobowiązania względem reguły, ta agonistyczna próba uwiedzenia przeciwnika i samego przypadku? Czyż istnieje lepsza negacja takich wartości, jak wola, odpowiedzialność, równość i sprawiedliwość niż to wyniesienie pomyślnego lub niepomyślnego zrządzenia, tego uniesienia, jakie wywołuje gra z losem jak równy z równym? Czyż istnieje świetniejsza parodia naszych ideologii wolności niż to namiętne upodobanie do reguły?

Czyż istnieje świetniejsza parodia samego uspołecznienia niż Borgesowska baśń *Loteria w Babilonie* z jej nieuchronną i fatalistyczną logiką i symulowaniem w grze tego, co społeczne?

„Jestem z zawrotnego kraju, w którym loteria jest najważniejszą częścią rzeczywistości”⁶ – tak rozpoczyna się opowiadanie o społeczeństwie, w którym loteria pochłonęła wszystkie inne instytucje. Początkowo była to tylko plebejska zabawa i co najwyżej można było w jej trakcie coś wygrać. Lecz „loterie” zaczęły nużyć, gdy okazało się, że „nie odwoływały się [...] do wszystkich zdolności człowieka – li tylko do jego nadziei”. Wobec tego ktoś pokusił się o reformę: do ogólnej liczby wygranych dołączono kilka losów niepomyślnych – ryzykując konieczność zapłacenia poważnej grzywny. Była to modyfikacja zasadnicza: wyeliminowała złudzenie, że cel gry określa ekonomia. Odtąd

⁶ J.L. Borges, *Loteria w Babilonie*. Przeł. Stanisław Zembrzuski. W: *Opowiadania*. Kraków 1979, s. 55.

gra miała charakter czysty i Babilończycy pograżali się w bezgranicznym upojeniu. W trakcie ciągnięcia losów mogło się zdarzyć wszystko, loteria zaś była potajemna, darmowa i powszechna – wszyscy wolni obywatele automatycznie mogli uczestniczyć w świętych losowaniach, które odbywały się co sześćdziesiąt nocy i które określały ich przeznaczenie aż do następnego losowania”. Szczęśliwy los mógł ich wykreować na bogaczy lub magów albo przynieść pożądaną kobietę, los niefortunny mógł spowodować okaleczenie albo śmierć.

Słowem, przypadkowość zaczęła się wciskać we wszystkie szczeliny ładu społecznego i porządku świata. Wszystkie błędy loterii były dobre, gdyż tylko uwydatniały jej logikę. Oszustwa, podstępny, manipulacje można było idealnie włączyć w system przypadkowości: kto powie, że są „rzeczywiste”, to jest, czy były wynikiem jakiejś naturalnej czy racjonalnej przyczynowości, czy też dziełem rządzącej loterii przypadkowości? Nikt nigdy. Predestynacja obejmuje wszystko, wyniki loterii mają wymiar uniwersalny, Loteria i Towarzystwo mogłyby z powodzeniem przestać istnieć, ich milczące działanie dokonuje się w sferze całkowitej symulacji: cała „rzeczywistość” podpada pod tajne decyzje Towarzystwa, a różnica między realną rzeczywistością a rzeczywistością przypadku zdążyła już, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, zaniknąć.

Ostatecznie wcale niewykluczone, że gdyby Towarzystwo nigdy nie istniało, porządek świata nie uległby zmianie. Lecz hipoteza jego istnienia wszystko zmienia. Tylko ona wystarczy, by zmienić całą rzeczywistość, taką, jaka jest, gdyż inna być nie mogła, w jedno wielkie symulakrum. Rzeczywistość to nic innego jak autosymulacja.

W naszych „realistycznych” społeczeństwach Towarzystw już nie ma – nasze społeczeństwa już zapomniały i budują na ruinach tej możliwej całkowitej symulacji. Nie pamiętamy już o spirali symulacji poprzedzającej rzeczywistość. Wprawdzie nasza świadomość tam funkcjonuje: w nierozumieniu poprzedzającym zawrotną nieokreśloność i symulację rządzącą świętym nieładem naszego życia. Nie w wypieraniu kilku uczuć czy wyobrażeń – to nasza nijaka koncepcja nieświadomości – lecz w naszym oślepieniu przed Wielką Grą, w obliczu faktu, że nasz

„rzeczywisty” los wraz ze wszystkimi „rzeczywistymi” wydarzeniami już spełnił się, nie w jakimś uprzednim życiu (choć ta hipoteza sama w sobie przewyższa naszą metafizykę przyczyn obiektywnych), lecz w cyklu nieokreśloności, cyklu gry – tyleż arbitralnej, co uzgodnionej. Borgesowska Loteria to symboliczne ucieleśnienie tej gry, która wyposażała nasz los w tę halucynacyjną właściwość, jaką bierzemy za prawdę. Logika umyka nam, choć nasza świadomość tego, co rzeczywiste, opiera się na naszej nieświadomej symulacji.

Przypomnijmy babilońską loterię. Bez względu na to, czy funkcjonuje, zakrywa nasze życie zasłoną bezwzględnej nieokreśloności. Arbitralnie rządzi najdrobniejszymi szczegółami naszej egzystencji. Nie ośmielamy się mówić o ukrytej infrastrukturze, gdyż w końcu, zgodnie ze swoim przeznaczeniem, ujawniłaby się jako prawda – tymczasem jest to kwestia przeznaczenia, to znaczy gry, która zawsze się toczy, ale i pozostaje nieczytelna.

Oryginalność Borgesa polega na tym, że tą grą objął całą strukturę społeczną. Tam, gdzie my widzimy grę jako superstrukturę, względnie nieważką w porównaniu z dobrą, solidną infrastrukturą stosunków społecznych, on przestawił do góry nogami całą konstrukcję i nieokreśloność przekształcił w instancję określoności. Nie jest to już ekonomiczny rozum pracy i historii, ani „naukowy” determinizm wymian warunkujący strukturę społeczną i los jednostek, lecz totalny indeterminizm, indeterminizm Gry i Przypadku. Predestynacja zbiega się tu z całkowitą płynnością, zaś arbitralny system z najbardziej radykalną demokracją (nieustanna wymiennosc wszystkich stanowisk – coś, co zaspokoiliby współczesne pragnienie wielowartościowości).

To odwrócenie jest niesłychanie ironiczne w odniesieniu do wszelkich umów, wszelkich racjonalnych fundamentów tego, co społeczne. Pakty dotyczące reguł oraz ich arbitralności (loteria) eliminuje sposób rozumienia tego, co społeczne, do jakiego przywykliśmy, tak jak rytuały kładą kres prawu. Nie inaczej było w tajnych stowarzyszeniach, w których rozkwicie należy widzieć opór przeciwko temu, co społeczne.

Nostalgia za uspołecznieniem opartym na paktach, rytuałach, losowości, nostalgia za wyzwoleniem z umowy i więzi

społecznych, nostalgia za przeznaczeniem okrutniejszym, lecz bardziej fascynującym, za wymianą – jest głębsza niż racjonalne wymogi tego, co społeczne, za pomocą których nas usypiano. Borgesowska opowieść to raczej nie fikcja, lecz opis bliski naszym wcześniejszym snom, a więc także naszej przyszłości.

W Bizancjum życie społeczne, porządek polityczny, jego hierarchie i sprawy wydatków regulowano na wyścigach konnych. Współcześnie nadal robimy zakłady na wyścigach, lecz zwierciadło demokracji daje jedynie nikły tego odblask. Ogromne sumy pieniędzy wydawane w zakładach to nic w porównaniu z ekstrawagancją zwyczajów bizantyjskich, gdzie całe życie publiczne było związane z zawodami jeździeckimi. Znaczenie gier nadal pozostaje znamienne w wielu typach aktywności społecznej i w szybkim obiegu dóbr i stanowisk społecznych. W Brazylii mamy Jogo de Bicho: zakłady, loterie i inne gry opanowały całe sektory ludności, która ryzykuje oszczędności całego życia i własną pozycję. Można by rzec, iż jest to przejaw ucieczki od niedorozwoju, lecz nawet w tej nowoczesnej żałosnej wersji jest to echo kultur, w których zmysł ludyczny i upodobanie do zbytku były generatorami zasadniczych struktur i modalności wymiany – a jest to schemat dokładnie odwrotny niż nasz, a zwłaszcza niż schemat marksistowski. Niedorozwój? Jedyne warstwy uprzywilejowane, wyniesione przez umowę społeczną, stosunki społeczne, mogą z wyżyn swojej pozycji, będącej wszak niczym innym jak symulakrą, której i tak nie sposób przeobrazić w wartość przeznaczenia, oceniać takie odwołujące się do przypadku zwyczaje należące do porządku wyższego niż ich. Albowiem tak jak wyzwanie rzucone przypadkowi, są one wyzwaniem rzuconym temu, co społeczne, oraz oznaką tęsknoty za światem przygód i bardziej ryzykowną grą wartości.

Pojedynek, biegunowość, cyfrowość

Loteria to symulakrum – nic bardziej sztucznego niż kierowanie biegiem spraw za pomocą niedorzecznych zarządzeń ufundowanych na przypadkowości. Nie zapominajmy jednak, że tak właśnie starożytność postąpiła ze sztuką wróżenia z trzewi

kurczaków czy lotu ptaków, a czyż nowoczesna sztuka interpretacji nadal tak nie postępuje, opierając się przy tym na o wiele mniej pewnym fundamencie? To wszystko to symulakrum. Różnica polega na tym, że w Borgesowskich *Fikcjach* reguły gry całkowicie wypierają prawo i to gra decyduje o ludzkim losie, natomiast w naszym społeczeństwie gry to zaledwie marginalne i błahe rozrywki.

W porównaniu z Borgesowskim literackim społeczeństwem, którego podstawę stanowią zrządzenia przypadku i predestynacja określona przez grę, zważywszy na okrucieństwo porządku, gdzie toczy się nieustanna gra i panuje bezwzględne ryzyko, my żyjemy w społeczeństwie stosunkowo niewielkich stawek i minimalnego ryzyka. Gdyby pojęcia te nie były sprzeczne, należałoby powiedzieć, że bezpieczeństwo stało się naszym przeznaczeniem – może też zresztą być i tak, że efekt tego okaże się zgubny dla naszego społeczeństwa – czego przykładem los nadmiernie chronionych gatunków, które umierają z powodu nadmiernego bezpieczeństwa w stanie udomowienia.

Otóż jeśli Babilończycy poddali się loteryjnemu szaleństwu, to dlatego, że w loterii było coś, co bez reszty ich uwiodło, co sprawiło, że rzucali wyzwanie wszystkiemu, co zasługiwało na istnienie, w tym swojej własnej egzystencji – i własnej śmierci. U nas przeciwnie – to, co społeczne, jest pozbawione uwodzicielskiej siły. No bo cóż mniej uwodzicielskiego od samej idei społeczeństwa? Zero uwodzenia. Nawet Bóg nigdy tak nisko nie upadł.

W stosunku do niebezpieczeństw uwiedzenia nawiedzających świat gier i rytualności, nasze społecznienie oraz powołane przez nie formy komunikowania się i wymiany wydają się ubogie i banalne, abstrakcyjne i zubożone – wprost proporcjonalnie do ich zeświecczenia pod znakiem Prawa.

Jednakże to zaledwie stadium pośrednie, gdyż epoka Prawa minęła, a wraz z nią epoka człowieka społecznego i umowy społecznej. Epoka, w której żyjemy, nie jest już nie tylko epoką reguł i rytuałów, lecz także epoką praw i umów. Współcześnie żyjemy według Norm i Modeli i nawet nie posiadamy określenia na oznaczenie tego, co pojawia się w miejsce uspołecznienia i tego, co społeczne.

REGUŁA
rytualność

PRAWO
uspołecznienie

NORMA
?????????

Obecnie funkcjonujemy na minimalnym poziomie realnego uspołecznienia i maksymalnym poziomie symulacji. Symulacja powoduje neutralizację biegunów, które organizowały przestrzeń perspektywiczną tego, co rzeczywiste, i Prawa, zanik energii potencjalnej, która zasilala jeszcze przestrzeń Prawa i tego, co społeczne. Epoka modeli to już odwodzące działanie antagonistycznych strategii, które określiły stawkę tego, co społeczne, i Prawa – w tym stawkę ich przekroczenia. Koniec przekraczania, koniec transcendencji – ale przecież i tak nie tkwimy w tragicznej immanencji reguł i rytuałów, lecz w chłodnej immanencji norm i modeli. Regulacja, odwodzenie, ciągi elementów taktycznych w przestrzeni pozbawionej odniesienia itp., lecz przede wszystkim to, że w epoce modeli cyfrowość sygnału zastąpiła biegunowość znaku.

POJEDYNKOWOŚĆ BIEGUNOWOŚĆ CYFROWOŚĆ

Trzy wzajemnie wykluczające się logiki:

- relacja pojedynku dominuje w grze, rytuale i w całej sferze określonej przez regułę;
- relacja biegunowa, czyli dialektyczna lub zaprzeczna, rządzi przestrzenią Prawa, tego, co społeczne, sensu;
- relacja cyfrowa (niebędąca już jednak „relacją” – mówmy o cyfrowym związku) organizuje przestrzeń Norm i Modeli.

W naprzemiennej grze tych trzech logik pojęcie uwodzenia w znaczeniu zasadniczym (jako pojedynku, rytualnego, agonistycznego, o maksymalną stawkę) należy zastąpić uwodzeniem w „łagodnym” sensie, uwodzeniem „nastrojem”, ludyczną erotyzacją świata, w którym nie ma stawek.

Ludyczność i uwodzenie na chłodno

*Bo żyjemy uwodzeniem
Lecz umieramy w fascynacji.*

Gra modeli, ich nieustannie zmieniające się połączenia charakteryzują świat ludyczny, w którym wszystko funkcjonuje jako potencjalna symulacja, gdzie wszystko – wobec braku Boga, który uznałby to, co do niego należy – może uchodzić za dowód na coś przeciwnego. Wartości wywrotowe tylko czekają na swoją kolej, a przemoc i krytyka same stają się modelami. Żyjemy w świecie elastycznym, powyginanym, z którego znikła perspektywa. Kiedyś zasadę rzeczywistości definiowano w kategoriach koherencji przedmiotów i ich użyteczności, funkcji i ich instytucji, rzeczy i ich obiektywnego znaczenia – dzisiaj zasadę przyjemności definiuje się w kategoriach nakładania się pragnień i modeli (oczekiwania i antycypacji przez symulowane reakcje).

„Ludyczność” to gra owego oczekiwania i modelu. Lecz biorąc pod uwagę to, że oczekiwanie wzbudzone jest przez model i że precesja modelu jest absolutna, wyzwania stają się czymś niemożliwym. Większość naszych stosunków wymiany regulują strategie gier, lecz te, definiowane jako zdolność do przewidywania wszystkich posunięć przeciwnika i blokowania ich zawczasu, uchylają wszelkie możliwe stawki. Teoria gier opisuje ludyczność świata, w którym o nic się nie gra.

„Werbung”, nakłanianie w reklamie. Sondaże i wszystkie modele działania mediów i polityki nie apelują do wiary, lecz do wiarygodności: nie udają już zaangażowania, ponieważ są selektywnie dostępne w pełnym zakresie – nie wyłączając czasu wolnego, który obok pracy występuje jako drugi łańcuch na ekranie czasu (a niebawem trzeci i czwarty?). Zresztą telewizja amerykańska przy swoich osiemdziesięciu trzech kanałach to istne ucieleśnienie ludyczności: nie można robić już nic innego, można tylko grać – zmieniać kanały, łączyć programy i tworzyć własny montaż (powszechność gier telewizyjnych to tylko echo, na

poziomie treści, tego ludycznego zastosowania mediów). I tak jak każda kombinatoryka, jest źródłem fascynacji. Nie można bowiem już mówić o sferze oczarowania czy uwiedzenia – zaczyna się epoka fascynacji.

Oczywiście, ludyczności nie sposób utożsamiać z uciechą. Można by natomiast ją kojarzyć z powieścią detektywistyczną, gdyż – upraszczając – oznacza sposób funkcjonowania w sieci powiązań, aranżowania i manipulowania. Obejmuje wszystkie możliwości „grania-bawienia się” w sieci – nie po to, by stworzyć jakąś alternatywę, lecz wirtualność, w której funkcjonuje się optymalnie.

Jak już wiemy, gra została zdegradowana do rangi funkcji – była to degradacja funkcjonalna, sprowadzająca ją do gry i zabawy jako terapii, gry i zabawy jako lekcji, gry i zabawy jako katarsis, gry i zabawy jako kreacyjności. W psychologii dzieci oraz w pedagogice społeczeństwa i jednostki gra powszechnie stała się „istotną funkcją”, niezbędną dla rozwoju fazą. A gdy wyrastała z zasady przyjemności, stawała się rewolucyjną alternatywą, dialektycznym przewyciężeniem zasady rzeczywistości (u Marcusego), ideologią zabawy i święta dla innych. Lecz nawet jako przekroczenie, spontaniczność czy estetyczna bezinteresowność, pozostaje wysublimowaną formą starej pedagogicznej dyrektywy, która nadaje jej swoje znaczenie, dopisuje swój cel i tym samym oczyszcza z uwodzicielskiej mocy. Zabawa jako marzenie, sport, praca, odpoczynek lub jako fizyczna higiena niezbędna dla równowagi psychicznej, dla systemów regulacji czy ewolucji. Czyste przeciwieństwo tego namiętnego upodobania do iluzji, które ongiś ją charakteryzowało.

Jednakże nadal mówimy o funkcjonalnych próbach podporządkowania gry i zabawy prawu wartości. Poważniejsze natomiast jest cybernetyczne włączenie gry do ogólnej kategorii ludyczności.

Jakże wymowna jest ewolucja gier: od tych, w których chodzi o rywalizację – gry sportowe, staromodne gry w karty czy nawet stołowy futbol – po całą generację flipperów (wyposażonych już w ekrany, ale jeszcze nie „telewizyjnych”, będących połączeniem elektroniki z ręcznymi manipulatorami) dzisiaj wypartych przez

tenis elektroniczny i inne skomputeryzowane gry o monitorach funkcjonujących dzięki cząsteczkom poruszającym się z wielką prędkością. Wymagane przez te gry manipulacje na poziomie atomowym są nie do odróżnienia od kontroli informacji stosowanej w „procesie pracy” czy od przyszłych zastosowań komputerów w gospodarstwach domowych, zapowiedzianych już przez telewizję i inne środki audiowizualne. Ludyczność jest wszechobecna i ujawnia się nawet wtedy, gdy wybieramy detergentowy środek do prania w supermarkecie. Bez trudu można dostrzec podobieństwa ze światem leków psychotropowych: gdyż i ten świat – jako manipulacja dokonywana na klawiaturze zmysłów czy na panelu neurologicznego instrumentarium – staje się ludyczny. Gry komputerowe to coś w rodzaju łagodnych narkotyków – w trakcie gry następuje właśnie takie somnambuliczne wyłączenie i odczuwalna euforia. Nawet kod genetyczny wykorzystuje się niczym klawiaturę służącą do wydawania poleceń żywym istotom, na której wypisuje się niezliczone kombinacje i wariacje, określające ich „przeznaczenie” – „tele”-przeznaczenie, ukazujące się na ekranie kodu cząsteczkowego. Wiele można by powiedzieć na temat obiektywności kodu genetycznego, który funkcjonuje jako „biologiczny” prototyp całego wszechświata, tego kombinatorycznego, rządzonego przez przypadek i ludycznego wszechświata, który obecnie nas otacza. Zresztą, czymże jest biologia? Jaką prawdę kryje? Czyżby tylko prawdę... Przeznaczenie przekształcone w panel sterowania. Za ekranem biologicznego zdalnego sterowania nie toczy się już żadna gra – żadnych stawek, złudzeń, wyobrażeń. Jest to wyłącznie sprawa modulacji kodu, grania tym kodem, na takiej zasadzie, jak się gra tonami i brzmieniami systemu stereofonicznego.

Skądinąd dobrym przykładem „ludyczności” jest stereofonia. W manipulowaniu parametrami dźwięku stawką nie jest już muzyka, lecz technika: optymalne wymodulowanie skali stereofonicznej. Magia konsoli i panelu sterowania: dominuje manipulowanie medium.

No a partia szachów rozgrywana z komputerem? Intensywność tej gry? Jaką przyjemność czerpie z niej komputer? To pierwsze wiąże się z grą, to drugie – z ludycznością. Podobnie z telewizyjną retransmisją meczu piłki nożnej. Przecież to nie

ten sam mecz: jeden jest gorący, drugi zimny – jeden jest grą, w której występuje emocja, wyzwanie, dramaturgia, drugi jest cyfrowy, wymodulowany (retrospekcje, ujęcia w zwolnionym tempie, odjazdy albo plany ogólne, kąty widzenia itp.): transmisja meczu to przede wszystkim wydarzenie telewizyjne, zupełnie jak Holocaust czy wojna w Wietnamie, od których nie bardzo pod tym względem się różni. Toteż wprowadzenie telewizji kolorowej w Stanach Zjednoczonych, powolne i z oporami, datuje się dopiero od czasu, gdy poważna sieć zdecydowała się wprowadzić kolor do wiadomości telewizyjnych: trwała wojna w Wietnamie i okazało się, że „gra” kolorów i techniczne wyrafinowanie sprawiły, że wojenne obrazy stały się bardziej znośne dla widzów. „Więcej” prawdy wywołało efekt ludycznego dystansu do wydarzeń.

Holocaust.

Żydów nie zmusza się już do przechodzenia przez komory gazowe i krematoria, lecz przez ścieżki dźwiękowe i taśmy filmowe, kineskop i mikroprocesor. Ostatecznie to tam, w wymiarze estetycznym, następuje zapomnienie i unicestwienie – dokonuje się w stylu retro, uzyskującym w tym wypadku wymiar masowy. Telewizja jako prawdziwe „ostateczne rozwiązanie”.

Wymiar historii, który wciąż krył się w zapomnieniu pod postacią poczucia winy, milczenia, teraz wyparował, ponieważ odtąd „cały świat wie”, gdyż cały świat zadrżał w obliczu eksterminacji – a to nieomylny znak, że „to” już nigdy się nie powtórzy. W istocie rzeczy, to, co wyegzorcyzmowano kosztem niewielu leż, już nigdy się nie wydarzy, ponieważ powtarza się teraz i to w formie rzekomego piętnowania w samym medium owego rzekomego egzorcyzmu – w telewizji. To samo zapomnianie, likwidacja, eksterminacja, a nawet unicestwienie wspomnień i historii – to samo pozbawianie rezonansu, a nawet tłumienie, pogłos czy zapadanie się w czarną dziurę, co w Auschwitz. I mielibyśmy uwierzyć, że telewizja zdejmie z nas brzemień Auschwitz, pobudzając zbiorową świadomość, skoro sama je podtrzymuje w innych formach, tym razem pod auspicjami medium odwodzącego, a nie miejsca unicestwienia.

Holokaust to, przede wszystkim (i wyłącznie), wydarzenie telewizyjne (fundamentalna reguła McLuhana, o której nie wolno zapominać), to znaczy, że usiłuje się ponownie rozgrzać zimny fakt historyczny, tragiczny lecz zimny, najpierwsze wielkie wydarzenie systemów zimnych, systemów schładzania, odwodzenia i eksterminacji, które następnie rozwijają się w innych formach (na przykład zimna wojna itp.) i dotyczą zimnych mas (co samych Żydów już nie dotyczy, ale w końcu zmusza ich do zarządzania własną śmiercią, masy już nie zbuntowane – odwiedzone od buntu przez śmierć, odwiedzone nawet od śmierci). Zimny fakt rozgrzany dla mas za pomocą zimnego medium, mas także zimnych, mas, które doznają jedynie pośmiertnych emocji, przejmującego i odstrasającego dreszczu, który pozwoli im obrócić katastrofę w zapomnienie, któremu towarzyszy krzepiąca estetyczna świadomość katastrofy.

Polityczne i pedagogiczne akcje podjęte po (telewizyjnym) wydarzeniu, które miały to wszystko ponownie rozgrzać i nadać temu wydarzeniu sens, wcale nie były nadmierne. Lęk przed ewentualnym wpływem programu na dziecięce umysły. Wszyscy pracownicy socjalni zaangażowani do jego przefiltrowania, zupełnie jakby to sztuczne zmartwychwstanie niesło zarazę! Niebezpieczeństwo polegało na czymś wręcz przeciwnym: wynikało ze społecznego bezwładu zimnych systemów: to, co zimne, przechodzi w zimne. Toteż trzeba było wszystkich zmobilizować, ażeby przestawić to, co społeczne i gorące w komunikacji, na zimnego potwora eksterminacji. Program ten spełnił swe zadanie następująco: wychwycił sztuczną temperaturę martwego faktu, ażeby rozgrzać martwe ciało społeczne. Stąd dodatkowy udział pozostałych mediów usiłujących rozdmuchać skutki programu na zasadzie sprzężenia zwrotnego: bezpośrednie sondaże utwierdzające masowy wpływ emisji, zbiorowe oddziaływanie przesłania – choć owe sondaże potwierdzały jedynie telewizyjny sukces samego medium.

Należałoby coś powiedzieć o zimnym świetle telewizji, o tym, że nie ma szkodliwego wpływu na wyobraźnię (w tym wyobraźnię dzieci), nie ma, gdyż nie jest już obrazem. Pod tym względem jest przeciwieństwem kina, które, choć w coraz większym stopniu skażone przez telewizję, podtrzymuje silną więź

z wyobraźnią, gdyż jest obrazem. Rzecz nie w tym, iż ekran to po prostu forma wizualna, lecz w tym, że jest mitem, czymś, co nadal zachowuje dwoistość, jak zwierciadło, fantazja, sen itp. Tego w telewizyjnym obrazie nie ma. Nie sugeruje on niczego, lecz magnetyzuje... bo to tylko ekran czy raczej zminiaturyzowany terminal, który automatycznie pojawia się człowiekowi w głowie – ekranem jest on sam i to telewizja go ogląda – przemienia w tranzystory wszystkie jego neurony i leci jak taśma magnetyczna, taśma, a nie obraz.

Wszystko to należy do porządku ludycznego, zaś ludyczność to obszar uwodzenia na zimno – „narcystyczny” czar systemów elektroniczno-informatycznych, czar chłodu medium i terminala, jakim się stajemy w autouwiedzeniu, jakiemu poddajemy się w otoczeniu otaczających nas konsoli.

Możliwość wystąpienia modulacji w obojętnym świecie, „gry” ruchomych elementów, w istocie zawsze wiąże się z fascynacją – jest nawet bardzo prawdopodobne, że ludyczność i libidalność ścierają się ze sobą gdzieś w okolicach systemów losowych, w stronach pragnienia, które nie prowadzi już do włamania na rubieżę prawa, lecz pociąga za sobą załamywanie się na wszystkich sensach świata, któremu prawo nie jest znane. To pragnienie także należy do porządku ludycznego i do ruchomej topologii systemów. To premia przyjemności (a równocześnie premia lęku), przyznawana każdej cząsteczce poruszającej się w sieci. Każdemu z nas zostaje przyznane owo lekkie psychodeliczne upojenie wielorakimi czy kolejnymi rozgałęzzeniami, połączeniami i rozłączeniami. Jesteśmy wszyscy zachęceni do wybrania tożsamości zminiaturyzowanych „systemów gier”, mikrosystemów gry, wyposażonych w zdolność samoczynnego regulowania.

Takie jest nowoczesne znaczenie pojęcia „gry”, znaczenie ludyczne, konotujące elastyczność i wielość połączeń: w tym sensie „gra”, sama ewentualność gry stoi u podstaw metastabilności systemów. Nie ma to nic wspólnego z grą jako pojedyńkiem czy relacją agonistyczną, to uwodzenie na zimno, zawiadujące sferą informacji i komunikacji. I właśnie w tym uwodzeniu na zimno wyczerpuje się dzisiaj to, co społeczne, i jego przedstawienia.

Znamy ten potężny proces symulacji. Wywiady za pośrednictwem mediów, telefony od słuchaczy, powszechne uczestnictwo, zmuszanie do wypowiedziania się: „To dotyczy was, to wy jesteście wydarzeniem, stanowicie większość”. Ponadto sondowanie poglądów, uczuć, podświadomości, żeby dać do zrozumienia, że „id” przemawia. Każdą informację nawiedza taka widmowa treść, homeopatyczny przeszczep, przebudzony sen o komunikacji. Układ kolisty, w którym inscenizuje się „pragnienie widowni”, zintegrowany obieg nieustannego nakłaniania. Potężne siły wydatkowane na utrzymanie tej symulakry, w celu uniknięcia brutalnej dys-symulacji, do której mogłoby dojść, gdyby rzeczywistość radykalnej utraty sensu stała się zbyt oczywista.

Uwodzenie/symulacja: komunikacja jako społeczne funkcjonowanie również w zamkniętym obiegu, w którym znaki podwajają niemożliwą do wskazania rzeczywistość. Zaś umowa społeczna stała się paktem symulacji, przypieczętowanym przez media i wiadomości. I nikt, można by dodać, nie daje się do końca zwieść: wiadomość jest odbierana jako aura, usługa albo hologram tego, co społeczne. Masy reagują na symulację sensu symulacją niejako obalającą: na odwodzenie reagują zniechęceniem, zaś na iluzje zagadkową ufnością. Wszystko krąży i może wywoływać wrażenie funkcjonalnego uwodzenia. Jednakże tego rodzaju uwodzenie nie ma więcej sensu niż cokolwiek innego i oznacza w tym wypadku jedynie ludyczne przyleganie do symulowanej informacji i namacalną atrakcyjność modeli.

Telepatia.

– Tu Rogers, słyszę cię pięć na pięć. Słyszysz mnie? – Tak, słyszę. – Słyszać, rozmawiamy. – Tak, rozmawiamy. – Oto litania słyszana w sieciach radiowych, w tym także pirackich i alternatywnych. Bawimy się w mówienie, słuchanie, bawimy się w komunikowanie, wykorzystując najbardziej wyrafinowane mechanizmy inscenizacyjne. Fatyczna funkcja języka, służąca ustanawianiu kontaktu i podtrzymaniu rozmowy – wyodrębniona przez Malinowskiego w trakcie badań prowadzonych nad Melanezyjczykami, a potem przez Jakobsona w jego wykresie funkcji językowych – w telewymiarze sieci nabiera cech hiper-

troficznych. Kontakt dla samego kontaktu przyjmuje postać swego rodzaju czystego, językowego samouwiedzenia, skoro o niczym się nie mówi.

Ta funkcja jest cechą naszej kultury. Malinowski bowiem opisywał coś zupełnie innego: symboliczną zwadę, językowy pojedynek – za pomocą tych rytualnych lokucji, beztreściowej, czczej gadaniny, autochtoni niezmiennie na przestrzeni dziejów rzucali wyzwania i składali sobie dary – jak w czystym ceremoniale. Język nie wymaga „kontaktu”: to my potrzebujemy komunikacji, żeby mieć specyficzną funkcję „kontaktu”, właśnie dlatego, że nam się wymyka. Dlatego przecież Jakobson mógł ją wyodrębnić w swoich analizach języka, choć zarówno samo pojęcie, jak i wyrażające je określenia są nieobecne w innych kulturach. Schemat Jakobsona i jego aksjomatyka komunikacji są współczesne z perypetią języka, który przestaje cokolwiek komunikować. Toteż sprawą pilną stało się analityczne przywrócenie funkcjonalnej możliwości komunikowania. A zwłaszcza funkcji „fatycznej”, która – w kategoriach logiki – jest banalną oczywistością: gdy się mówi, to się mówi. Tymczasem nie, i „fatyczność” jest oznaką, że należy podsycać kontakt, wytwarzać obieg, mówić bez końca, ażeby po prostu umożliwić język. Rozpacзлиwa sytuacja, w której zwykły kontakt zakrawa na cud.

Jeśli w sieciach następuje przerost fatyczności (to znaczy we wszystkich systemach komunikacji medialnej i informatycznej), to ze względu na odległość, która sprawia, że dosłownie żadne słowo nie ma już sensu. Mówi się, że się mówi, lecz poprzez mówienie jedynie weryfikuje się działanie sieci i to, że jest się do niej podłączonym. Na drugim końcu nie ma tu nawet „innego”, gdyż w zwykłej przemienności sygnału rozpoznania nie ma ani nadawcy, ani odbiorcy. Po prostu dwa wyjścia i sygnał od jednego do drugiego, który jedynie weryfikuje, że „idzie”, a więc nic się nie dzieje. Odwodzenie w postaci doskonałej.

Dwa wyjścia to nie to samo, co dwaj rozmówcy. W teleprzestrzeni (a to będzie dotyczyć także telewizji) nie ma już terminów – kresów, ani pozycji zdeterminowanych – określonych, a tylko terminale, w pozycji eks-terminacyjnej. Zresztą to właśnie tutaj rozpada się cały schemat Jakobsonowski, który spełnia swe funkcje wyłącznie w odniesieniu do klasycznego układu wypowiedzi

i komunikacji. W przestrzeni sieci, w której panuje czysta cyfrowość, traci on sens. Struktura, syntaksa, przestrzeń różnicy, to jeszcze reguluje dialog, znak (znaczące/znaczone) i wiadomość (nadawca/odbiorca) itp. Przy binarnym, czyli cyfrowym układzie 0/1 nie jest to już opozycja dystynktywna, regularna różnica. To „bit”, najmniejsza jednostka impulsu elektronicznego, która nie jest już jednostką sensu, lecz sygnałowym pulsowaniem. Nie jest to już język, lecz radykalne odwołanie. Tym jest matryca informacyjna i komunikacyjna i tak działają sieci. Potrzeba „kontaktu” jest odczuwana najdotkliwiej, gdyż nie tylko nie ma żadnej relacji typu pojedynkowego, jak w przypadku melanezyjskiego językowego potlacz, ale nie ma nawet międzyjednostkowej logiki wymiany, jak w przypadku języków klasycznych (jak jest u Jakobsona). Dwoistość i biegunowość dyskursu zastąpiła informatyczna cyfrowość. Całkowita dominacja medium i sieci. Zimne uznanie medium elektronicznego i samej masy jako medium.

Tele: istnieją tylko terminale. Auto: każdy jest sobie terminalem („tele” i „auto” to dwa rodzaje operatorów, wymiennych cząsteczek, które łączą się ze słowami, tak jak wideo łączy się z grupą ludzi czy telewizja z tymi, którzy ją oglądają). Grupa z kamerą wideo jest sama dla siebie terminalem. Nagrywa, działa samoregulatywnie, elektronicznie sobą zarządza. Sama się uruchamia i sama uwodzi. Uwodzi siebie, a nawet rozeroty-zowuje poprzez nieustanny podgląd samej siebie. Niebawem zarządzanie sobą stanie się normą każdej naładowanej cząsteczki funkcjonującej w sieci czy w systemach.

Ale już ciało zdalnie sterowane przez kod genetyczny nie jest dla siebie terminalem: zajmuje się wyłącznie optymalnym samozarządzaniem swoimi bankami pamięci.

Czyste przyciąganie – odpowiedzi przez pytanie, rzeczywistości przez model, 0 przez 1, sieci przez jej własne istnienie, rozmówców przez samo ich połączenie, czystą namacalność sygnału, samą właściwość „kontaktu”, czyste podobieństwo obu terminali: tak się przedstawia obraz uwodzenia rozproszonego, rozrzuconego po wszystkich funkcjonujących systemach. Samouwiedzenie/samozarządzanie, które odzwierciedla kolisty układ sieci i spięcia między jej atomami czy cząsteczkami (można by

tu także rozprawiać o narcyzmie, dlaczego nie? Choćby dlatego, że nie powinno się przenosić takich terminów jak narcyzm i uwodzenie do innego rejestru, który obejmuje symulację).

Toteż Jean Querzola pisze w *Le silicium fleur de peau* („Traverses”, nr 14/15), że biopsychotechnologia – wszystkie komputerowe protezy i samoregulujące się sieci elektroniczne – stanowią dla nas jakby bioelektroniczne lustro, w którym każdy człowiek, niczym jakiś cyfrowy narcyz, może przemknąć po nici popędu śmierci i zanurzyć się w swoim obrazie. Narcyz = narcoza (jak już ustalił McLuhan):

„Elektroniczna narcoza to najpoważniejsze ryzyko, jakie niesie cyfrowa symulacja... Od Edypa prześlizgnęlibyśmy się do Narcyza... Samoaranżowanie ciała i rozkoszy kończyłoby się tą powolną narcystyczną narcozą. Jednym słowem, silikonem jako zasadą rzeczywistości? Nie twierdzę, że ucyfrowienie świata ma być przyczyną rychłego końca Edypa, lecz tylko to, że rozwojowi biologii i techniki informatycznej towarzyszy rozpad struktur ujawniający inne miejsce, gdzie ojca już nie ma: ma to związek z matką, z wrażeniem rozptywania się w oceanie, z popędem śmierci. Zagroza nam nie nerwica, lecz raczej psychoza. Narcyzm patologiczny... Sądźmy, że rozumiemy więzi społeczne wzniesione na figurze Edypa. Lecz co uczyni władza, gdy owa figura przestanie funkcjonować? Czyżby po epoce autorytetu, epoka uwodzenia?”

Najświetniejszym przykładem tego „bionicznego lustra” i „narcystycznej nekrozy” jest klonowanie, skrajna forma samouwiedzenia: od Tego Samego do Tego Samego bez pośrednictwa Innego.

W Stanach Zjednoczonych dziecko mogłoby się rodzić w taki sam sposób, jak na przykład geranium, przez flancowanie. Pierwsze dziecko-klon – wyhodowany poprzez rozmnażanie wegetatywne. Pierwsze dziecko zrodzone z pojedynczej komórki jakiejś jednostki, posiada jedyne rodzica, „ojca”, którego będzie dokładną kopią, bliźniakiem idealnym, sobowtórem (D. Rorvik, *À son image: la copie d'un homme*). Flancowanie człowieka

w nieskończoność, z dowolnej komórki organizmu jednostki zdolnej sprostać funkcji matrycy dla identycznej jednostki.

„Moje genetyczne dziedzictwo zostało ustalone raz na zawsze, gdy pewien plemnik spotkał pewną komórkę jajową. To dziedzictwo zawiera wzór wszystkich procesów biochemicznych, które mnie stworzyły i zapewniają moje funkcjonowanie. Jego kopia jest wpisana w każdą z dziesięciu bilionów tworzących mnie komórek. Każda z nich wie, w jaki sposób mnie stworzyć; przede wszystkim jest komórką mnie, a nie komórką mojej wątroby czy mojej krwi. Jest więc teoretycznie możliwe wyprodukowanie z każdej z nich jednostki dokładnie takiej jak ja”.

Projektowanie i pograżanie się w lustrze kodu genetycznego. Nie ma lepszej protezy niż DNA, nie ma świetniejszego narcystycznego pomnożenia niż ów nowy obraz, jaki zostaje podsunięty współczesnej istocie zamiast i w miejsce jej obrazu zwierciadlanego: jego wzór cząsteczkowy. To tam właśnie odnajdzie ona swoją „prawdę”: w nieskończonym powtarzaniu jej „rzeczywistego” bytu, jej bytu biologicznego. Ów narcyzm, którego źródłem nie jest już zwierciadło, lecz wzór, to spotworniała parodia mitu Narcyza. Narcyzm na zimno, samouwiedzenie na zimno, nawet bez tego minimalnego dystansu, niezbędnego dla doświadczenia siebie jako złudzenia. Materializacja tego, co rzeczywiste, biologicznie podwojone w klonie, odcina możliwość zabawy własnym obrazem, a tym samym zabawy z własną śmiercią.

Sobowtór to postać wyobrażona, która tak jak dusza albo czyjś cień czy zwierciadlany obraz nawiedza podmiot niczym łagodna i zawsze nieubłagana śmierć. Materializując się, staje się śmiercią nieuchronną – to właśnie ta fantastyczna wizja dosłownie się dzisiaj materializuje w klonowaniu: klon to właśnie figura śmierci, lecz bez symbolicznej iluzji, która przesądza o jej uroku.

Bliskość podmiotu z samym sobą opiera się na niematerialności jego sobowtóra, na tym, że jest i pozostanie fantazmatem. Każdy może marzyć i powinien marzyć przez całe życie o doskonałym podwajaniu i pomnażaniu swojego istnienia, niemniej jednak jest to marzenie, które zostaje zniszczone, gdy próbuje

się je ziszczyć. To samo dotyczy pierwotnej sceny czy sceny uwiedzenia: one także funkcjonują wyłącznie w przypomnieniu i fantazji, nigdy w rzeczywistości. Do naszej epoki należy wypróbowanie i zmaterializowanie tej fantazji – podobnie jak wielu innych – i, poprzez całkowite odsensownienie, zmiana gry z sobowtorem z subtelnej rozmowy ze śmiercią i innym w wieczność tego samego.

Sen o wiecznych bliźniakach jako substytucie reprodukcji seksualnej. Komórkowy sen o rozmnażaniu się przez podział – najpewniejszej formie rodzicielstwa, gdyż pozwalającej ostatecznie obyć się bez innego i przejść od tego samego do tego samego (trzeba jeszcze przejść przez macicę kobiety i przez pozbawione jądra jajo, lecz ta pomoc jest przejściowa i anonimowa: mogłaby to być jakakolwiek kobieca proteza). Jednokomórkowa utopia, która, dzięki genetyce, umożliwi skomplikowanym istotom dostąpienie losu pierwotniaka.

Czyż to nie popęd śmierci popycha istoty seksualne w stronę przedseksualnych form rozmnażania (i czy ta forma rozmnażania się przez podział, to rozprzestrzenianie się poprzez bliskie sąsiedztwo, oznaczające dla nas śmierć, nie tkwi głębiej w naszej wyobraźni: jako coś, co neguje seksualność i dąży do jej unicestwienia, a że jest ona nosicielką życia, więc zarazem kryzysową i śmiertelną formą rozmnażania?) – a równocześnie zmusza te istoty do zanegowania wszelkiej inności, wskutek czego dążą już one tylko i wyłącznie do podtrzymania tożsamości, przezroczystości kodu genetycznego?

Zostawmy popęd śmierci. Być może w grę wchodzi tu fantazmat zrodzenia samego siebie? Nie, ponieważ podmiot może marzyć o wymazaniu postaci rodziców, a nawet o zastąpieniu ich sobą samym, lecz nie może wyeliminować symbolicznej struktury prokreacji: zostając dzieckiem samego siebie, nadal pozostaje się czymś dzieckiem. Klonowanie natomiast, przeciwnie, likwiduje nie tylko Matkę, ale i Ojca, krzyżowanie się ich genów, splątane bogactwo ich różnic i nade wszystko pojedynek, jakim jest poczęcie. Sklonowany osobnik nie poczyni samego siebie: flancuje się z jakiegoś segmentu. Można dywagować nad bogactwem tych wegetatywnych rozgałęzień, które w istocie rozkładają całą seksualność edypalną na rzecz seksu

„nie-ludzkiego”, ale faktem pozostaje, że Matka i Ojciec znikają, ustępując miejsca matrycy zwanej kodem. Nie ma już matki – jest matryca-macica. I to właśnie matryca kodu genetycznego będzie odtąd bez końca „rodziła” w sposób operacyjny, oczyszczony z wszelkiej przygodnej seksualności.

Nie ma też już podmiotu, ponieważ reduplikacja decydująca o tożsamości kładzie kres podziałowi. Stadium lustra zostaje zniesione, a raczej pokracznie sparodiowane. Koniec prastarego snu o narcystycznej projekcji podmiotu, gdyż ta wciąż wymaga lustra, w którym podmiot wyobcowuje się, by się odnaleźć, albo wpatruje się w siebie po to, by ujrzeć własną śmierć. Ale tu nie ma zwierciadła: przemysłowy przedmiot nie jest lustrem tego, kto – z nim identyczny – pojawia się po nim i tworzy serię. Jeden nigdy nie jest widmem, ideałem czy zagrożeniem dla drugiego, mogą się jedynie co najwyżej sumować, gdyż nie zostali poczęci drogą płciową i nie mają świadomości śmierci.

Segment nie potrzebuje pośrednictwa wyobraźni, żeby się zreprodukować – w nie większym stopniu niż dżdżownica – każdy segment tego stworzenia reprodukuje się dokładnie tak, jak jego całość – każda komórka amerykańskiego przemysłowca może dać początek nowemu przemysłowcowi. Dokładnie tak samo jak każdy fragment hologramu może stać się matrycą całości: wszystkie informacje są zawarte w każdym z porozrzucanych fragmentów.

Identyczna logika wyznacza kres pojęcia całości. Skoro w każdej z części można znaleźć całość informacji, więc pojęcie całości traci sens. To samo dotyczy kresu pojęcia ciała – tej jedynej w swoim rodzaju istoty nazywanej ciałem, której tajemnica polega na tym, że nie może zostać pokawałkowana na komórki, która jest układem niepodzielnym, co poświadcza jej seksualność. Paradoksalnie, klonowanie pozwoli sfabrykować istoty posiadające tożsamość płciową, ponieważ podobne do swoich modeli, podczas gdy seks stałby się tym samym funkcją beużyteczną – z tym, że seks akurat funkcją nie jest i wykracza poza poszczególne części i funkcje ciała. I w rzeczy samej przewyższa wszystkie dane, jakie można uzyskać na temat ciała, jakie rzekomo zgromadzone są w kodzie genetycznym. Dlatego właśnie kod jedynie umożliwia autonomiczną reprodukcję, niezależną od płci i śmierci.

Nauki biofizjoanatomiczne, dokonując sekcji organów i funkcji, rozpoczęły proces analitycznej dekompozycji ciała. Genetyka mikromolekularna jest jej logiczną konsekwencją, na poziomie abstrakcji i symulacji wyższego stopnia: mianowicie na poziomie jądra komórkowego, poziomie sterowania kodem genetycznym, wokół którego układu się cała ta fantasmagoria.

W wizji mechanistycznej można jeszcze mówić o „tradycyjnej” symulacji, gdyż każdy organ to jedynie częściowa i zróżnicowana proteza. W wizji biocybernetycznej najmniejszy nie-różnicowany element, komórka, staje się zarodkiem protezy całego ciała. Wzór wpisany w każdą komórkę staje się prawdziwą nowoczesną protezą wszystkich ciał. Bo jeśli proteza to na ogół przedmiot sztuczny, który zastępuje niedomagający narząd, czy przedłużenie ciała mające charakter narzędzia, to cząsteczka DNA zawierająca wszystkie dane ważne dla żywej istoty staje się protezą *par excellence*, gdyż umożliwia tej istocie samoprolongowanie się w nieskończoność – sprawiając, że stanie się ona jedynie nieskończonym ciągiem cybernetycznych awatarów.

A więc proteza jeszcze sztuczniejsza od wszystkich protez mechanicznych. Albowiem kod genetyczny nie jest czymś „naturalnym”: podobnie jak wszystkie części oderwane od całości i zautonomizowane, zmienia tę całość, zastępując ją (takie właśnie jest etymologiczne znaczenie protezy). W tym sensie można powiedzieć, że kod genetyczny kondensujący w sobie całą żywą istotę, gdyż zawiera wszystkie jej „dane” (symulacja genetyczna jest niewiarygodnie gwałtowna), to artefakt, sztuczna matryca, matryca symulacyjna, z której wyłonią się – ale już nie za sprawą reprodukcji, lecz czystej i prostej powtarzalności – identyczne istoty przypisane do tych samych instrukcji genetycznych.

Klonowanie to zatem ostatnie stadium symulacji ciała, to, w którym jednostka zredukowana do abstrakcyjnego wzoru genetycznego zostaje oddana do seryjnego rozmnożenia. Walter Benjamin stwierdził, że epoka reprodukcji mechanicznej dzieła sztuki pozbawiła je „aury”, niepowtarzalności związanej z jego „tu i teraz”, z jego formą estetyczną: jego przeznaczeniem nie jest już uwodzenie, lecz reprodukcja i w tym nowym przeznaczeniu

czeniu przybiera nową, polityczną postać. Oryginalność przepa-
dła i tylko nostalgia może dziełu przywrócić jego „autentycz-
ność”. Skrajny przejaw tego procesu można odnaleźć w naszych
współczesnych massmediach, gdzie oryginał w ogóle się nie po-
jawia, a rzeczy od samego początku przedstawia się w katego-
riach ich nieograniczonej reprodukowalności.

To właśnie przydarza się ludzkim istotom w dziedzinie klon-
owania. To właśnie dzieje się z ciałem, gdy traktuje się je wy-
łącznie jako magazyn informacji albo jako dane, które można
przetworzyć. Nic więc nie chroni przed jego seryjną reproduk-
cją dokładnie w tym samym rozumieniu, do jakiego odwoływał
się Benjamin, mówiąc o przedmiotach przemysłowych czy obra-
zach. Model genetyczny ma przewagę nad wszelkimi innymi
możliwymi ciałami.

Ten najazd techniki, odpowiedzialnej za to odwrócenie, opi-
sywanej już przez Benjamina jako medium totalne – olbrzymia
proteza dla całej generacji identycznych i nieodróżnialnych
przedmiotów i obrazów, bez uwzględnienia współczesnego po-
głębienia tej techniki umożliwiającej wytwarzanie identycznych
istot, bez możliwości powrotu do tej oryginalnej. Proteza ery
przemysłowej była nadal przedmiotem zewnętrznym, egzotech-
nicznym – natomiast te, które poznajemy, są rozgałęzione
i uwewnętrznione: to protezy ezotechniczne.

Żyjemy w epoce technologii miękkich, genetycznego i umy-
słowego software'u. Protezy ery przemysłowej, jej urządzenia
zmieniają obraz ciała – same przeobrażały się w wyobraźni i to
przeobrażenie stanowiło część obrazu ciała. Ale gdy w dziedzi-
nie stymulacji osiągnięto punkt, po przekroczeniu którego nie
było odwrotu, gdy protezy wnikają do anonimowego serca i na
poziom mikromolekularny ciała, gdy narzucają się ciału jako
matryca, przepalając wszystkie późniejsze obwody symboliczne,
tak że wszystkie przyszłe ciała staną się jego niemy powtórze-
niem – wówczas następuje koniec ciała i jego historii: jednostka
staje się już tylko nowotworowym przerzutem swojego podsta-
wowego wzoru.

Czyż klonowanie jednostek z jednostki X nie jest analogic-
zne do rozprzestrzeniania pojedynczej komórki utożsamia-
nej z rakiem? Istnieje ścisły związek między pojęciem kodu ge-

netycznego a patologią raka. Kod wyznacza minimalną formu-
łę, do której można zredukować jednostkę tak, ażeby można
(i tylko można) ją było powielić, natomiast w przypadku raka
ten sam typ komórki rozprzestrzenia się bez respektowania
praw organizmu jako całości. Toteż w przypadku klonowania
mamy powtórzenie Tego Samego, rozprzestrzelenie pojedyn-
czej matrycy. Kiedyś rozmnażanie płciowe chroniło przed tym,
lecz dzisiaj można w końcu wyizolować genetyczną matrycę
tożsamości i wyeliminować wszystkie różnicujące perypetie,
które przesądzały o uroku przypadkowości u jednostek. Ich
uwodzicielskość?

Przerzut zapoczątkowany przez przedmioty przemysłowe
kończy się w strukturze komórkowej. Rak jest w istocie choro-
bą, która określa całą współczesną patologię, gdyż jest uosobie-
niem zjadliwości kodu: wyraźny nadmiar identycznych sygna-
łów, wyraźny nadmiar identycznych komórek.

Klonowanie ma więc bezpośredni związek z nieodwracalną
tendencją do „poszerzania i pogłębiania samoprzezroczyście-
ści systemu, poprzez zwiększenie możliwości jego samoregulacji
i modyfikowania gospodarki informacyjnej” (Querzola).

Wszystkie popędy zostały wydalone. Cała wewnętrzność
(sieci, funkcje, narządy, obwody świadome i nieświadome) zo-
stanie uzewnętrzniiona pod postacią protez, które utworzą
wokół ciała idealny korpus, którego samo ciało stanie się sa-
telitą. Każde jądro zostanie wyłuskane i rzucone w prze-
strzeń satelitarną.

Klon jest materializacją wzoru genetycznego pod postacią
istoty ludzkiej. Ale na tym nie koniec. Wszystkie tajemnice cia-
ła – seks, lęk, nawet subtelna przyjemność istnienia – wszystko,
czego nie wiemy i nie chcemy wiedzieć o sobie, zostanie przemo-
dulowane w biosprzężenie zwrotne i nam odesłane pod postacią
„wbudowanej” informacji cyfrowej. To stadium bionicznego lus-
tra (Querzola).

Cyfrowy Narcyz w miejsce trójkątnego Edypa. Hipostaza
sztucznego sobowtóra, klon stanie się naszym aniołem stróżem,
widzialną formą naszej świadomości i ciałem z naszego ciała,

nie metaforycznie, lecz dosłownie. Nasz „bliźni” będzie odtąd halucynacyjnie podobnym do nas klonem, który już nigdy nie pozwoli nam na samotność i na osobiste tajemnice. „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego” – trudności życia zgodnego z Ewangelią zostaną rozwiązane. Mój bliźni to ja sam. A więc całkowita miłość. Całkowite samouwiedzenie.

Same masy to urządzenie klonujące, które funkcjonuje bez pośrednictwa innego. W gruncie rzeczy stanowią sumę terminali systemu – sieć, przez którą przechodzą impulsy cyfrowe: to właśnie tworzy masowość. Niepodatne na nakazy z zewnątrz, tworzą zintegrowane obwody narażone na manipulację (auto-manipulację) i na „uwiedzenie” (samouwiedzenie).

W rzeczywistości nikt już nie wie, w jaki sposób działa urządzenie reprezentacji, ani nawet czy jakieś jeszcze istnieje. Lecz ewentualne zdarzenia zachodzące w świecie symulacji wymagają jak najpilniejszej analizy. Co dzieje się między nieobecnym, hipotetycznym biegunem siły, a neutralnym, wymykającym się biegunem tworzonym przez masy? Odpowiedź: uwiedzenie, to funkcjonuje dzięki uwiedzeniu.

Lecz to uwiedzenie oznacza już tylko funkcjonowanie sfery społecznienia, która stała się niezrozumiała, polityki, której struktury zanikły. Na opuszczonym przez nią miejscu uwiedzenie wytycza pustą przestrzeń przecinaną przez chłodne strumienie słów, elastyczną sieć nasycaną przez impulsy magnetyczne. Nie napędza jej już władza, lecz fascynacja, nie produkcja, lecz uwodzenie. A jest ono co najwyżej pustą deklaracją, jaką tworzą symulowane pojęcia. Jednoczesne dyskursy „strategów” pragnienia mas (Giscard, reklamy, animatorzy, inżynierowie dusz ludzkich itp.) i „analityków” tej strategii, dyskursy opisujące w kategoriach uwodzenia funkcjonowanie tego, co społeczne czy należące do polityki, lub jego pozostałości, są tak samo próżne jak sama polityczna przestrzeń: jedynie załamują się, przechodząc przez tę próżnię. „Media uwodzą masy”, „masy same się uwodzą”: czczość tych sformułowań, w których słowo „uwodzenie” zostaje niewiarygodnie spłycone i odwiedzone

od swego dosłownego znaczenia zakładającego urok i śmiertelne oczarowanie, ostatecznie zaczyna oznaczać socjotechniczny smar wygładzający wszelkie relacje – gładką semiurgię i *soft* technikę. Odsyła więc po prostu do ekologii i wyznacza ogólne przejście od twardych energii do energii łagodnych. Łagodna energia, miękkie uwodzenie. Niszowość tego, co społeczne.

Ten typ uwodzenia – rozproszonego, ekstensywnego, nie ma już nic wspólnego z relacjami, których sens streszcza arystokratyczny pojedynek: mowa już o uwiedzeniu przejrzanym i poprawionym przez ideologię pragnienia. Uwodzenie spychologizowane – spospolitowane wraz z pojawieniem się na Zachodzie urojonej figury pragnienia.

Nie jest to figura panów, lecz historyczny produkt uciśnionych, będący znakiem ich wyzwolenia, figura pogłębianą po kłękach kolejnych rewolucji. Pragnienie jako forma wyznacza przejście od ich statusu przedmiotów do podmiotowości, lecz przejście, które samo jest tylko nieuchwytnym i uwewnętrznionym przedłużeniem porządku poddaństwa. Pierwsze przebłyski podmiotowości mas u zarania epoki nowoczesności i rewolucji, przebłyski samoświadomości podmiotów i mas, ich poddaństwa – pod znakiem ich własnego pragnienia! I oto rozpoczyna się wielkie uwodzenie. Bo skoro przedmiot można po prostu zdominować, to podmiot pragnienia z kolei należy uwieść.

Ta łagodna strategia będzie się rozwijać społecznie i historycznie: masy się upsychniczną, dzięki czemu zostaną uwiedzione. Przystroją się w pragnienia, ażeby się rozerwać. Ongi posiadały świadomość (zmistyfikowaną!) i były wyobcowane – teraz mają podświadomość, pragnienia (stłumione i zepsute) i są uwodzone. Ongi odwracały się od (rewolucyjnej) prawdy historii – dzisiaj odwracają się od prawdy własnego pragnienia. Biedne uwodzone i manipulowane masy! Ongi kazano im znosić ucisk, grożąc przemocą, teraz każą ją uznawać, grożąc uwiedzeniem.

Uogólniając, ta halucynacyjna teoria pragnienia i jej libidalna psychologia stanowią tło dla symulakry wszechobecnego te-

raz uwodzenia. Zastąpiła ona świat nadzoru i znamionuje ją – w odniesieniu zarówno do jednostek, jak i mas – podatność na łagodne przenikanie. Wsączana w homeopatycznych dawkach w przestrzeń stosunków osobowych i społecznych, unosi się dzisiaj uwodzicielskim cieniem nad pustynią stosunków społecznych i samej władzy.

W tym sensie faktycznie żyjemy w erze uwodzenia. Ale nie jest to już to wchłanianie czy potencjalne pożeranie, to zabójcze rozproszenie, przed którym żaden podmiot, żadna „rzeczywistość” nie może do końca czuć się bezpieczna (być może po prostu nie ma już rzeczywistości, którą można by odwieść, i prawdy, którą można by obalić) – nie chodzi już także o psucie niewinności czy cnoty (moralność jest już zbyt wątła, a perwersja za słaba) – a więc czyżby pozostało już tylko uwodzenie dla samego uwodzenia? „Uwiedz mnie”, „Daj się uwieść”. Wobec braku innych stawek pozostało uwodzenie. Nie jest to już przemoc przeciwko sensowi czy jego cicha eksterminacja, lecz forma, jaka pozostała językowi, gdy nie ma już nic do powiedzenia. Żadnej zawrotnej straty, lecz najmniejsza gratyfikacja, jakiej mogą sobie jeszcze udzielić istoty posługujące się językiem w wyczerpanym układzie społecznym. „Uwiedz mnie”. „Daj się uwieść”.

W tym sensie uwodzenie jest wszechobecne, jawnie lub skrycie, przenika pokusy, nastroje, czystą i prostą wymianę. To uwodzenie nauczyciela i jego ucznia (ja uwodzę cię, ty uwodzisz mnie, poza tym nie ma co robić), polityka i jego publiczności, władzy (ach, uwodzenie władzy i władza uwodzenia!), psychoanalitka i jego pacjenta.

Już jezuici słynęli z tego, że uwodzili w religijnym przebraniu, że ściągali tłumy na łono Kościoła katolickiego, uwodząc światowością i estetyką baroku czy przejmując sumienia możliwych za pomocą błahostek i pięknych kobiet. Jezuita to w istocie pierwszy nowoczesny przykład towarzystwa trudniącego się uwodzeniem mas i zastosowanej na masową skalę strategii pragnienia. W niemałym stopniu udawało im się i wcale niewykluczone, że gdy już pierzchną surowe uroki ekonomii politycznej i kapitalizmu producenta, rozpocznie się katolicka, jezuicka epoka łagodnej techniki uwodzenia i optymistycznej semiurgii.

Nie ma więc już mowy o uwodzeniu jako namiętności, lecz o oczekiwaniu na uwiedzenie. O zewie pragnienia i jego zaspokojenia, zamiast niepewnych stosunków władzy i wiedzy cechujących miłość i przeniesienie. A gdzie się podziała dialektyka pana i niewolnika, skoro pan został uwiedziony przez niewolnika, a niewolnik przez pana? Uwodzenie staje się co najwyżej ujęciem różnic i dyskursywnym libidalnym obnażeniem. Przy niejasnym związku między ofertą a prośbą, uwodzenie staje się już tylko wartością wymienną, napędza obieg wymian i ułatwia stosunki społeczne.

A co z zauroczeniem labiryntową konstrukcją, w której można się zgubić? Co pozostało po uwodzicielskim zwodzeniu? „Istnieje jeszcze inny typ przemocy, który nie posiada ani nazwy, ani zewnętrzny wyraz, niemniej jest niebezpieczny. Mówię o uwodzeniu” (Rollin). Tradycyjnie, uwodziciel to szalbierca, który, chcąc dopiąć swego, sięga po podstęp i nikczemność – a przynajmniej jest przekonany, że tak postępuje, gdyż kobieta, pozwalając się uwieść, poddając się szalbierstwu, często je unieważniała, wytrącała uwodzicielowi broń z ręki i sprawiała, że wpadał we własne sidła, gdyż omieszkął uwzględnić zwrotność uwiedzenia. I to zawsze obowiązuje: ten, kto chce się komuś spodobać, sam ulega jego urokowi. Na tej podstawie wokół relacji uwiedzenia (jako przeciwieństwa stosunków produkcji) można zorganizować całą religię kultury. Toteż greccy bogowie – uwodziciele/oszuści – wykorzystywali swą moc do uwodzenia ludzi, lecz z kolei sami byli uwodzeni, co faktycznie bardzo często sprowadzało się do uwodzenia ludzi – i na tym głównie polegało ich zajęcie. Tym sposobem stworzyli obraz świata rządzonego nie przez prawa, jak w chrześcijańskim uniwersum czy w ekonomii politycznej, lecz przez wzajemne uwodzenie, które przyczyniało się do zachowania symbolicznej równowagi między bogami a ludźmi.

Co pozostało po tej przemocy złapanej w pułapkę własnej sztuczności? Świat, w którym bogowie i ludzie starali się sobie nawzajem spodobać – nawet w pełnym przemocy ofiarniczym uwiedzeniu – skończył się. Podobnie jak sztuka rozumienia tajemnych znaków i analogii, podsuwanych przez magię wyposażoną w moc oczarowywania. A wraz z nią założenie, że cały

świat da się uwieść i przełożyć na znaki – nie tylko bogowie, ale i byty nieożywione, rzeczy, a nawet zmarli, których zawsze trzeba było uwodzić, zaczarowywać i rzucać na nich uroki za pomocą rozlicznych znaków i rytuałów, ażeby nie wyrządzali krzywdy. Dzisiaj trzeba przejść przez żalobę, samotną i posępną drogą przestawienia się i wejścia w nowy obieg. Świat stał się przestrzenią sił i stosunków sił, materializuje się w próżni jako obiekt do opanowania, a nie uwiedzenia. Przestrzeń produkcji, wyzwania energii, inwestowania i kontrinwestowania, świat Prawa i obiektywnych praw, świat dialektyki pana i niewolnika.

Sama seksualność wzrosła w tej przestrzeni jako jedna z jej obiektywnych funkcji i teraz zmierza do uwarunkowania wszystkich pozostałych, proponując alternatywny cel dla tych, które zatarły się lub wymarły. Wszystko jest nacechowane seksualnie i znajduje tu teren do gry i przygody. *Id* przemawia wszędzie. Każdy dyskurs objawia się jako wieczny komentarz do seksu i pożądania. W tym sensie można by powiedzieć, że wszystko przerodziło się w dyskurs uwodzenia, dyskurs rejestrujący jawne oczekiwanie uwiedzenia, lecz uwiedzenia łagodnego, którego osłabiona kondycja stała się synonimem wielu innych spraw w społeczeństwie – nastroju, manipulacji, perswazji, zaspokojenia, strategii pożądania, mistyki relacji osobowych, ekonomii przeniesienia, które łagodnie zmienia ekonomię rywalizacji i związane z nią siłowe relacje. Uwodzenie, które przenika całą przestrzeń języka, ma więcej sensu i treści niż władza, która wypełnia wszystkie szczeliny sieci społecznej: dlatego właśnie ich dyskursy z taką łatwością się współcześnie łączą. Zdegenerowany język uwiedzenia, zmieszany ze zdegenerowanym językiem polityki, wszędzie się sprawdza (albo, jeśli kto woli, nie sprawdza się nigdzie). Wystarczy, że panuje zgodność w zakresie modelu symulacji uwiedzenia, rozproszonego strumienia mowy i pożądania – tak, jak niejasny język uczestnictwa wystarczy do ocalenia pozorów społecznienia.

Dyskurs symulacji nie jest oszustwem: poprzestaje na rozgrywaniu uwiedzenia jako symulakry uczucia, symulakry pra-

gnienia i zaangażowania – w świecie, w którym dotkliwie odczuwa się ich potrzebę. Jednakże tak, jak „stosunki siłowe” nigdy nie były w stanie wytłumaczyć perypetii władzy w epoce *panopticum* – z wyjątkiem Marksowskiego idealizmu – tak uwodzenie czy stosunki oparte na uwiedzeniu nie są w stanie zdać sprawy ze współczesnych wydarzeń politycznych. Skoro uwiedzenie napędza wszystko, to raczej nie w tej łagodnej jego wersji, skorygowanej przez ideologię pragnienia, lecz przez uwiedzenie będące wyzwaniem, pojedynkiem i agonem, gdzie stawki są maksymalne, także te utajone, a więc nie strategia gier, lecz uwiedzenie mityczne, nie to psychiczne i funkcjonalne, zimne i minimalistyczne.

Uwiedzenie jako przeznaczenie

A zatem czy należy sądzić, że tak się przedstawia uwodzenie w postaci czystej, uwodzenie rozproszone – ani atrakcyjne, ani niebezpieczne – owo widmo uwiedzenia nawiedzające nasze odtajnione obwody, nasze pozbawione uczuć fantazje i sieć naszych kontaktów, w której do kontaktu nie dochodzi? To tak jakby nowoczesny happening zakładający współuczestnictwo i ekspresję, gdzie sceny już nie ma, miałby się stać czystą formą teatru. Albo tak jakby malarstwo i sztuka w postaci czystej miały polegać na hipotetycznym, hiperrealnym ingerowaniu w rzeczywistość – poprzez *acting-pictures*, *land-art*, *body-art* – gdzie nie ma już obiektu, ramy i sceny iluzji.

W istocie żyjemy pośród form czystych, w radykalnej, to znaczy widzialnej i nieodróżnicowanej obsceniczności figur ongi tajemnych i dobitnych. To samo dotyczy pierwiastka społecznego, który dzisiaj dominuje w czystej – to jest pustej i obscenicznej – formie. Podobnie – uwodzenia, które w obecnej postaci, utraciwszy element ryzyka, napięcia i czaru, przybiera formę lekkiej, niewyraźnej obsceniczności.

Czy trzeba aż odwoływać się do zaproponowanej przez Waltera Benjamina genealogii dzieła sztuki i jego przeznaczenia? Po pierwsze, dzieło sztuki ma status przedmiotu rytualnego, powiązanego z dawnymi formami kultu. Poza tym w nielicznych zobo-

wiązaniach przybiera on formę kulturalną i estetyczną, która nadal zachowuje jednostkowy charakter – nie immanentny, jak obiekt rytualny, lecz transcendentny i zindywidualizowany. Z kolei ta forma ustępuje miejsca formie politycznej, w której dzieło sztuki jako takie zanika w obliczu nieuchronnego postępu reprodukcji mechanicznej. Jeśli w przypadku formy rytualnej nie ma oryginałów (estetyczna oryginalność przedmiotów kultu ma niewielkie znaczenie w *sacrum*), to w przypadku formy politycznej zostaje ona ponownie utracona. Pozostaje jedynie rozmnażanie przedmiotów, gdy forma polityczna przekłada się na jak najszerzy obieg przedmiotów przy minimalnej intensywności.

Także uwodzenie miało swoją fazę rytualną (pojedyńku, magii, agonu), fazę estetyczną (odzwierciedloną w „estetycznej strategii” Uwodziciela, w ramach której orbita jego działania pokrywa się z orbitą działania kobiety i funkcjonowania seksualności, jest ironiczna i diaboliczna – wtedy właśnie uwodzenie nabiera sensu, jaki ma ono dla nas, odwodzenia, strategii, przekłętej niekiedy gry pozorów) i wreszcie fazę „polityczną” (żeby podjąć Benjaminowskie określenie, w tym miejscu cokolwiek dwuznaczne), w której całkowicie zanika jego oryginalność, rytualność i estetyzm, ustępując miejsca wszechstronnemu przewietrzaniu, w którym uwodzenie staje się nieformalną formą polityki, pomniejszoną ramą dla nieuchwytniej polityki poświęconej niekończącej się reprodukcji formy bez treści (ta nieformalna forma jest nierozzerwalnie związana z technikami produkcji seryjnej). Podobnie jak w przypadku obiektu, ta „polityczna” forma odpowiada właściwemu uwodzeniu maksymalnego rozproszeniu przy minimalnym natężeniu.

Czy na tym ma polegać los uwodzenia? Czy można przeciwstawić się temu inwolucyjnemu przeznaczeniu i postawić na uwodzenie jak na los? Wbrew prawdzie głębi – przeznaczenie pozoru? Tak czy inaczej, żyjemy dzisiaj poza sensem, i jeśli symulacja jest formą odczarowaną, to uwodzenie jest formą zaczarowaną.

Anatomia przeznaczeniem nie jest, tak samo jak polityka: przeznaczeniem jest uwodzenie. I ono właśnie jest pozostałością

przeznaczenia, gry, oczarowania, predestynacji i upojenia, a także milczącej skuteczności w świecie skuteczności widomej i wesołości.

Świat jest nagi, nagi jest król, a rzeczy oczywiste. Cała produkcja i sama prawda zmierzają ku ujawnieniu nieznośnej „prawdy” seksu. Na szczęście w gruncie rzeczy tak się wcale nie dzieje i uwodzenie wciąż udziela najbardziej zagadkowej odpowiedzi, a mianowicie, że „prawdę pragniemy rozbierać być może tylko dlatego, że zbyt trudno wyobrazić sobie, iż jest naga”.

Spis treści

1. Ekliptyka seksu	7
Wieczna ironia wspólnoty	15
Porno w stereo	31
Uwodzenie i wytwarzanie	39
2. Otchłań powierzchni	53
Święty horyzont pozorów	55
<i>Trompe-l'oeil</i> , czyli czarujące naśladowanie	61
<i>I'll be your mirror</i>	67
Śmierć w Samarkandzie	71
Tajemnica i wyzwanie	77
Wizerunek uwodzicielki	83
Ironiczna strategia uwodziciela	95
Strach przed uwiedzeniem	116
3. Polityczne przeznaczenie uwiedzenia	127
Namiętne upodobanie do reguł	129
Pojedynek, biegunowość, cyfrowość	152
Ludyczność i uwodzenie na chłodno	154
Uwiedzenie jako przeznaczenie	175



31006